

Socha:
Drzewa zamierają stojąc

Kieraciński:
Subwencje 2024

Szostek:
Cyfryzacja uczelni

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 6/2024

PL ISSN 1233-0930 22 zł (VAT 8%)

A kingfisher bird with vibrant blue and orange plumage is perched on a dark log in a shallow, clear stream. The stream is surrounded by lush green vegetation and trees, with the water reflecting the surrounding environment. The scene is peaceful and natural.

Lasy i klimat

Biskupski:
Krajobraz miejski i polityka

Kulesza:
Osobista historia literatury

Fert:
Nieznany hrabia Wielopolski



Zróżnicowany las mieszany ukształtowany aktywnymi działaniami hodowlanymi.

O lasach i klimacie czytaj na stronach 20-30.

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Subwencje 2024 w szerszym tunelu – Piotr Kieraciński	6
Cyfrowa perspektywa – Dariusz Szostek	9
KPN w zupełnie nowym składzie	11
Buławki w plecaku	12
Szczecińska nauka bez retuszu – Maciej J. Nowak	14
Nowe oblicze ewaluacji	15
Bizancjum nad Rawą – Przemysław T. Marciniak	16
Odwołanie rzecznika dyscyplinarnego ministra – Marek Wroński	17
WAM wraca	18
Nowi profesorowie	18
Nie zamierzają kończyć tej serii	19
Wybrano nowych członków AMU PAN	33
Materiały sponsorowane	13, 18, 37

ROZMOWA FORUM

Nie liczymy na lasy – rozmowa z prof. Jarosławem Sochą, specjalistą od badań leśnych z Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie	20
---	----

LASY I KLIMAT

Gospodarka leśna nie wymaga rewolucji – Janusz Szmyt	24
Drzewa uciekają stojąc – rozmowa z dr. hab. Michałem Bogdziewiczem, dyrektorem Centrum Biologii Lasu UAM	28

ŻYCIE NAUKOWE

Uczony i jego środowisko

Za co naukowiec odpowiada? – Paweł Kawalerski	31
--	----

Z archiwum nieuczciwości naukowej (208)

Ambitne kadry naukowe – Marek Wroński	34
--	----

Z archiwum nieuczciwości naukowej (209)

Plagiaty na łonie Królowej Nauk – Marek Wroński	38
Retrakcyjny rekord – Marek Wroński	40

ŻYCIE AKADEMICKIE

Życie po wyborach – Zbigniew Drozdowicz	41
Urbaniści i ideolodzy – rozmowa z dr. hab. Przemysławem Biskupskim z Wydziału Architektury PP	44

Publikuj lub giń

Stojąc u drzwi – Marek Misiak	49
----------------------------------	----

Z LABORATORIÓW

Rynek imprez biegowych – Liwia Delińska	52
Powrót historii literatury – Dariusz Kulesza	56
O walce z legendą Powstania Warszawskiego – Jacek Sawicki	60
Szczepienia chronią pokolenia – Artur Wolski	63

W STRONĘ HISTORII

Frangas non flectes – Józef Franciszek Fert	68
--	----

Portrety nauki polskiej

Psychiatra, naukowiec, filozof, człowiek – Marcelina Smużewska	72
---	----

OKOLICE NAUKI

Książki

Political correctness – studium pojęcia – Jacek Hnidiuk	77
Mieszkańcy kultury – Marek Misiak	77
Podróż śladami Humboldta – Justyna Jakubczyk	78
Sowiecki eksperyment – Bogdan Bernat	78
Bezgłośnie brzmienie – Juliusz Gałkowski	79
Dowartościowanie baśni – Marcin Lutomiński	79

FELIETONY

Szkiełko w oku

Nowa ortografia polska – Piotr Müldner-Nieckowski	76
--	----

Na marginesach nauki

Uczyć się, studiować – Leszek Szaruga	80
Projekt okładki – Sławomir Makal	

FORUM
AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXXI Nr 6 (367) Czerwiec 2024

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasza Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, <http://www.forumakademickie.pl>. Rada Patronacka: prof. dr hab. Wiesław Banys, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Elias, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczuk, prof. dr hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. Redaguje zespół: Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacja, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). Stała współpraca: Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. Promocja, kolportaż, konferencje: reklama@forumakademickie.pl), Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). Wydawca: Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasza Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. Druk: Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: <https://forumakademickie.pl/dla-autorow/>. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

MEiN

Projekt „Forum Akademickie – środowisko ogólnopolskiej debaty akademickiej” finansowany jest ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Edukacji i Nauki w ramach Programu „Społeczna odpowiedzialność nauki II”.

Pierwszy Polak na czele ALLEA

BERLIN Prof. Paweł Rowiński, hydrolog i hydrodynamik, dyrektor Instytutu Geofizyki PAN, został nowym prezesem Europejskiej Federacji Akademii Nauk (ALLEA). To pierwszy Polak na czele tej organizacji. Od 2018 roku zasiada w jej Zarządzie. W latach 2015–2022, przez dwie kadencje, pełnił funkcję wiceprezesa PAN. Od 2006 roku kieruje Międzynarodową Szkołą Hydrauliki pod auspicjami International Association of Hydraulic Research IAHR oraz Komitetu Gospodarki Wodnej PAN. ALLEA skupia ponad 50 akademii nauk i towarzystw naukowych. Jej misją jest budowanie współpracy między akademiami poszczególnych krajów, wspieranie prowadzenia i popularyzacji badań naukowych, a także współpraca z Komisją Europejską i władzami poszczególnych państw. Nasz kraj w ALLEA reprezentują Polska Akademia Nauk i Polska Akademia Umiejętności.



Fot. PAN

Zmiana na czele Rady NCN

KRAKÓW Prof. Anetta Undas została nową przewodniczącą Rady Narodowego Centrum Nauki. Od 30 grudnia 2022 r. funkcję tę pełnił prof. Robert Hasterok z Uniwersytetu Śląskiego. Na posiedzeniu, które odbyło się 6 czerwca, złożył jednak rezygnację. To pierwszy tego typu przypadek od momentu powstania NCN w 2011 roku. Prof. Undas zasiada w Radzie NCN od 2016 roku. Prowadzi prace w tym gremium do grudnia, kiedy to – jak co dwa lata – wymieniona zostanie połowa jego składu. Jest lekarzem chorób wewnętrznych, specjalistką w zakresie diagnostyki i leczenia chorób zakrzepowo-zatorowych. Kieruje Zakładem Kardiologii, Anestezjologii i Kardiologii Doświadczalnej Instytutu Kardiologii Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Rada to, obok dyrektora, jeden z dwóch organów NCN. W jej skład wchodzi 24 uczonych, powoływanych przez ministra nauki.



Fot. NCN

COPERNICUS dla astronomów

WARSZAWA Prof. Andrzej Udalski z Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Warszawskiego i prof. Joachim Wambsganss z Uniwersytetu w Heidelbergu zostali laureatami Polsko-Niemieckiej Nagrody Naukowej COPERNICUS. Uchonorowano ich wspólne badania dotyczące planet pozasłonecznych. Odkryli pierwszą planetę pozasłoneczną o wyjątkowo małej masie, „jedyne” około pięciokrotnie cięższą niż Ziemia. Ustalili także, że wokół niemal każdej gwiazdy w Drodze Mlecznej krąży planeta. Tym samym znacznie przyczynili się do rozwoju badań planet pozasłonecznych i lepszego rozumienia pozasłonecznych systemów planetarnych. Nagroda COPERNICUS przyznawana jest wspólnie przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej i niemiecką fundację badawczą DFG od 2006 roku w cyklach dwu-



Fot. Michał Jędrak



Fot. Friederike Hentschel

letnich. Jej wysokość wynosi 200 tys. euro. Każdy z laureatów otrzymuje połowę kwoty.

Polsko-francuska współpraca

WARSZAWA Prof. Denis Jacquemin z Université de Nantes i Institut Universitaire de France oraz prof. Daniel Gryko z Instytutu Chemii Organicznej PAN zostali laureatami Polsko-Francuskiej Nagrody Naukowej im. Marii Skłodowskiej-Curie i Pierre'a Curie. Wyróżnienie przyznawane jest przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej oraz francuską Akademię Nauk za wybitne osiągnięcia naukowe będące efektem współpracy polsko-francuskiej. Badacze zostali nagrodzeni za prace nad syntezą organiczną i obliczeniami kwantowo-mechanicznymi barwników. Prowadzone przez nich badania pozwoliły nie tylko dokonać znaczących postępów w dziedzinie materiałów luminescencyjnych, ale także odkryć nowe związki aromatyczne i przewidzieć ich właściwości fotofizyczne jeszcze przed syntezą. Potencjalne zastosowania tych nowych barwników mogą obejmować kopolimery o małej przerwie pasmowej, tranzystory organiczne, ogniwa słoneczne, diody emitujące światło w bliskiej podczerwieni. Wysokość nagrody wynosi 15 tys. euro dla każdego z laureatów.



Fot. Michał Jędrak



Fot. Friederike Hentschel

Laur dla astronoma i pasjonata przyrody

KRAKÓW Dr Piotr Guzik z Obserwatorium Astronomicznego im. Mikołaja Kopernika na Uniwersytecie Jagiellońskim otrzymał Nagrodę im. Artura Rojszczaka, tragicznie zmarłego filozofa, jednego z założycieli i głównych animatorów Klubu Stypendystów Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Tegoroczny laureat ukończył astronomię na UJ i informatykę stosowaną na Akademii Górniczo-Hutniczej. W kręgu jego zainteresowań badawczych są przede wszystkim komety, planetoidy i inne małe ciała Układu Słonecznego. Jest członkiem zespołu HYADES, realizującego na Wydziale Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej UJ grant ERC, w ramach którego powstanie teleskop kosmiczny do obserwacji wodoru i deuteru wokół małych ciał w Układzie Słonecznym. Pasją dr. Guzika jest także przyroda, interesuje się szczególnie owadami. Dwa lata temu odkrył nowy gatunek pasikonika w Polsce – *Isophya modesta* – dla którego zaproponował polską nazwę „Zrówieńka turnicka”.



Fot. arch. prywatne

Nagroda dla krystalografa

ZEIST Prof. Mariusz Jaskólski z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu został laureatem Max Perutz Prize. Nagrodzono go za badania krystalograficzne makrocząstek istotnych z medycznego punktu



Fot. Adrian Wykora

widzenia. Jest pierwszym Polakiem, który zdobył najważniejszą europejską nagrodę krystalograficzną. Wśród jego dokonań wyróżnia się odkrycie mechanizmu agregacji jednego z ludzkich białek amyloidogennych (istotnego dla zrozumienia np. podstaw choroby Alzheimera), rozwiązanie struktury proteaz i integraz retrowirusowych (w tym ASV i HIV), badania niezwykle ważne dla opracowania leków w terapii AIDS) oraz odkrycie struktur asparaginaz wykorzystywanych w terapii przeciwbiałaczkowej. Przyczynił się do rozwoju metodologii biologii strukturalnej, zwłaszcza w dziedzinie ultrawysokiej rozdzielczości krystalografii makromolekularnej i walidacji struktury. Wyniki jego badań są wykorzystywane w inżynierii leków przeciwnowotworowych i antywirusowych.

Nagroda dla młodego matematyka

KRAKÓW Dr Borys Kuca z Uniwersytetu Jagiellońskiego został tegorocznym laureatem Nagrody im. Kazimierza Kuratowskiego, najważniejszego wyróżnienia dla młodych matematyków w Polsce. Doceniono go za cykl



Fot. Arch. IPW/valne

prac poświęconych badaniu konfiguracji wielomianowych w kombinatoryce, teorii ergodycznej i geometrii fraktalnej, szczególnie doceniając wyniki dotyczące ciągłej wersji problemu Sárközy'ego. Rok temu wrócił do Polski po dziewięciu latach studiów i pracy na uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Finlandii i Grecji. Kieruje projektem „Między teorią ergodyczną a kombinatoryczną teorią liczb”,

realizowanym dzięki środkom z programu POLONEZ BIS. Jego prace mają na celu określenie, jakiego rodzaju konfiguracje można znaleźć w odpowiednio dużych podzbiorach liczb całkowitych. Nagroda została ustanowiona w 1981 r. przez Zofię Kuratowską, córkę jej patrona, a także Instytut Matematyczny PAN i Polskie Towarzystwo Matematyczne.

Doktorat h.c. – prof. Jacek Jassem

ŁÓDŹ Specjalista w dziedzinie radioterapii i onkologii klinicznej, został doktorem honoris causa Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. Jego główne zainteresowania naukowe to onkologia kliniczna, skojarzone



Fot. UMK

leczenie nowotworów i onkologia molekularna. Swoją karierę naukową związał z Gdańskim Uniwersytetem Medycznym, gdzie przez lata kierował Katedrą i Kliniką Onkologii i Radioterapii. Wiodącymi obszarami działalności naukowej prof. Jassem są przede wszystkim badania translacyjne i kliniczne w nowotworach złośliwych, szczególnie w raku płuca, raku piersi i raku jelita grubego, a także biologiczne i kliniczne aspekty

przerzutów mózgowych u chorych na nowotwory. Od wielu lat koordynuje opracowywanie polskich wytycznych dotyczących diagnostyki i leczenia raka piersi. Opracował m.in. projekt ustawy zakazującej palenia tytoniu w miejscach publicznych w Polsce (wprowadzonej w 2010) oraz koordynował powstanie „Strategii Walki z Rakiem w Polsce 2015–2024”.

Doktorat h.c. – prof. Stanisław Legutko



Fot. PO

OPOLE Prof. Stanisław Legutko z Politechniki Poznańskiej otrzymał tytuł doktora honoris causa Politechniki Opolskiej. Najwyższą godność akademicką przyznano mu za wybitne osiągnięcia naukowe i nienaganną postawę, zwłaszcza etyczną. Zajmuje się technologią i użytkowaniem narzędzi skrawających, technologią kół zębatych, eksploatacją maszyn oraz logistyką prze-

mysłową. Jego najważniejsze badania dotyczą adhezyjnego zużycia ostrzy narzędzi skrawających. W ostatnim czasie koncentruje się na problematyce eksploatacyjnej i technologicznej narzędzi skrawających do szybkościowego skrawania (HSC) oraz kształtowania zębów kół zębatych, komputerowego wspomagania projektowania procesów technologicznych (CAPP) narzędzi skrawających i części maszyn, nanotechnologii, szybkiego prototypowania, szybkiego wytwarzania oprzyrządowania i szybkiej realizacji produkcji. Jest dziewiątą osobą, która otrzymała tytuł doktora honorowego Politechniki Opolskiej.

Doktorat h.c. – prof. Gérard Mourou

WROCŁAW Inicjator europejskiego projektu Extreme Light Infrastructure (ELI) i laureat Nagrody Nobla sprzed sześciu lat otrzymał tytuł doktora honoris causa Politechniki Wrocławskiej. Jego dokonania w zakre-



Fot. PWR

sie wzmocnienia ultrakrótkich impulsów światła stały się przełomem nie tylko w rozwoju fizyki i fotoniki, ale i medycyny. Metoda CPA (ang. Chirped Pulse Amplification), opracowana wspólnie z Donną Strickland, rewolucjonizuje optykę, otwiera nowe dziedziny, takie jak generacja impulsów attosekundowych, nieliniową optykę kwantową, kompaktowe akceleratory cząstek. W 2005 r. prof. Mourou zaproponował budowę w Europie systemu super-laserów o ekstremalnych mocach, pozwalających prowadzić nowe badania materiałowe. Powstają one w trzech krajach: Czechach, na Węgrzech i w Rumunii. Jedenaście polskich instytucji naukowych utworzyło konsorcjum „ELI Poland”, którego zadaniem jest popularyzowanie korzystania z infrastruktury ELI do współpracy i kreowania nowych oryginalnych pomysłów badawczych.

Doktorat h.c. – prof. Krzysztof Pomian

GDAŃSK Filozof, historyk i publicysta, dyrektor naukowy Muzeum Europy w Brukseli, otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego. Doceniono go za „odważne podążanie nieprzetartymi ścieżkami wiedzy i poszukiwanie prawdy; za

wyznaczanie nowych obszarów badawczych; za wkład w rozwój globalnej humanistyki oraz za badania nad dziejami muzealnictwa światowego”. To ósmy historyk i 71 osoba wyróżniona przez gdańską uczelnię najwyższą godnością akademicką. Jego zainteresowania badawcze obejmują historię, politykę i filozofię europejską od Rosji poprzez Europę Środkową po świat śródziemnomorski, od starożytności po czasy współczesne. Jest jednym z najważniejszych twórców Muzeum Europy w Brukseli, które utrwala europejską pamięć, ukazując proces kształtowania się europejskiej wspólnoty historycznej i kulturowej na przestrzeni ponad 2,5 tysiąca lat. W ubiegłym roku otrzymał Sigillum Magnum, najwyższe odznaczenie Uniwersytetu Bolońskiego.



Fot. Alan Stocki

Doktorat h.c. – prof. Bogusław Buszewski

POZNAŃ Twórca polskiej szkoły chromatografii otrzymał tytuł doktora honoris causa Politechniki Poznańskiej. Jego zainteresowania naukowe



Fot. PP

związane są z chemią analityczną, medyczną i środowiska, jak też fizykochemią zjawisk powierzchniowych oraz z zastosowaniem chromatografii i technik pokrewnych (HPLC, SPE, GC, CZE, P&T/GC, GC/MS, LC/MS). Zajmuje się również metodami przygotowania próbek, spektroskopią i chemometrią. Całą swoją karierę zawodową związał z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika w Toruniu. Był prezesem Polskiego Towarzystwa

Chemicznego oraz Societas Humboldtiana Polonorum i prezydentem European Society for Separation Science. Przewodniczy Kapitulie Europejskiej Nagrody Nernsta-Tswetta. Sprawuje także funkcję przewodniczącego Komitetu Chemii Analitycznej PAN. Należy do grona najczęściej cytowanych polskich chemików. Jest pomysłodawcą Kujawsko-Pomorskiego Centrum Naukowo-Technologicznego im. prof. Jana Czochrałskiego w Toruniu, którym obecnie kieruje.

Doktorat h.c. – prof. Witold Pedrycz

LUBLIN Światowy ekspert od sztucznej inteligencji został doktorem honoris causa Politechniki Lubelskiej. Jest 21 osobą uhonorowaną najwyższą godnością akademicką przez lubelską uczelnię. Jego badania



Fot. Kazimierz Kozłuch

dotyczą obliczeń granularnych i zbiorów rozmytych, które są ważnymi koncepcjami w sztucznej inteligencji. Prace te mają duży wpływ na rozwój AI, a jego teorie znalazły zastosowanie w wielu praktycznych rozwiązaniach używanych w procesach decyzyjnych i przemyśle. Prof. Pedrycz jest kierownikiem Katedry Badań Kanadyjskich na Wydziale Inżynierii Elektrycznej i Komputerowej Uniwersytetu Alberta w Edmonton. Pracuje również w Instytucie Badań Systemowych Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Od blisko 6 lat związany jest również z Ośrodkiem Przetwarzania Informacji – Państwowym Instytutem Badawczym. Z Politechniką Lubelską, na której jest profesorem wizytującym, współpracuje od 5 lat. W ub.r. otrzymał najważniejszą kanadyjską nagrodę naukową Killama.

Miliony na infrastrukturę

WARSZAWA Ponad 644 mln zł trafi z Krajowego Planu Odbudowy na inwestycje w infrastrukturę badawczą. Dofinansowanie obejmie w sumie dziesięć przedsięwzięć umieszczonych na Polskiej Mapie Infrastruktury Badawczej. Najwyższe dofinansowanie – przeszło 135 mln zł – otrzyma Narodowe Centrum Badań Jądrowych w Otwocku-Świerku na projekt POLFEL – Polski Laser na Swobodnych Elektronach. To niejedyna inwestycja, na którą NCBJ otrzyma środki z KPO. Dofinansowane zostaną także dwa inne projekty: Maria Neutron Laboratory (prawie 20 mln zł) oraz NOMATEN CoRE (prawie 70 mln zł). Środki z KPO trafią też do: Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego Polskiej Akademii Nauk (87,4 mln zł), Uniwersytetu Warszawskiego (83 mln zł), Instytutu Wysokich Ciśnień PAN (77 mln zł), Instytutu Podstaw Informatyki PAN (58 mln zł), Instytutu Chemii i Techniki Jądrowej (11 mln zł), Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie (72 mln zł) oraz Politechniki Warszawskiej (32,5 mln zł).

Trzy mecze naraz to nie problem

GDYNIA Studenci Uniwersytetu Morskiego w Gdyni mogą już korzystać z nowoczesnego Centrum Sportu i Rekreacji. Powstało na terenie kampusu przy ulicy Morskiej, w miejscu wyburzonej poprzedniej hali sportowej. Budynek o powierzchni całkowitej blisko 9,5 tys. m² ma pięć kondygnacji, z czego jedną podziemną. Znajduje się w nim pełnowymiarowa hala sportowa, którą w miarę potrzeb można dostosować do różnych zajęć sportowych czy rekreacyjnych. Dzięki temu w tym samym czasie



Fot. UMG

mogą w niej być rozgrywane mecze trzech różnych dyscyplin. W hali znajduje się także ścianka wspinaczkowa i widownia dla 130 osób. Do tego strefa fitness i siłownia oraz sauna, a także szatnie z pełnym zapleczem sanitarnym i pokoje dla trenerów. Nowoczesna hala zostanie docelowo połączona z nowym domem studenckim, którego powstanie zaplanowano w drugim etapie budowy tego kompleksu sportowo-akademickiego. Koszt inwestycji wraz z wyposażeniem wynosi około 56 mln zł. Część tej sumy stanowi dotacja celowa Ministerstwa Infrastruktury.

Udane zdjęcie studentki

WARSZAWA Adrianna Wilewska, studentka kierunku edukacja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, otrzymała jedną z nagród głównych w prestiżowym Ogólnopolskim Konkursie Fotografii Reporterskiej Grand Press Photo 2024. Wygrała w kategorii Young Poland – Single. Zwycięskie zdjęcie przedstawia zabawkowy samolocik zawieszony na niebieskim suficie. Znajduje się w opuszczonym domu, gdzie zostały tylko pajęczyny, firanki i ta zabawka. Wyróżnienie w kategorii Young Poland – Stories otrzymał Antoni Nowak z Wydziału Sztuki Mediów Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Do tegorocznego finału jury konkursu pod przewodnictwem Jewhena Małoletki, laureata World Press Photo, Nagrody Pulitzera oraz Oscara za film *20 dni w Mariupolu*, nominowało 233 fotografie. Wśród nich znalazły się 42 zdjęcia pojedyncze, dziewięć reportaży oraz trzy projekty dokumentalne.



Fot. Adrianna Wilewska

Promuje Polskę jak należy

WARSZAWA Piotr Falkowski, główny specjalista ds. robotyki rehabilitacyjnej w Łukasiewicz – PIAP, doktorant wdrożeniowy na Politechnice Warszawskiej oraz autor patentu na egzoskielet rehabilitacyjny, został laureatem konkursu „Młody Promotor Polski”. Jego wynalazek przeznaczony jest dla osób, które w wyniku wypadku czy choroby nie mogą w ogóle poruszać górną kończyną albo zakres jej ruchu został znacząco ograniczony. Dzięki stypendium NAWA pracował dla Laboratorium Neurorehabilitacji w Aalborg University. Gala finałowa odbyła się w Pałacu Prezydenckim. Konkurs organizowany jest z inicjatywy Małżonki Prezydenta RP. Ma na celu uhonorowanie młodych Polaków, którzy dzięki szczególnym dokonaniom w działalności naukowej, kulturalnej i sportowej, a także aktywnej postawie i zaangażowaniu społecznemu, przyczyniają się do umacniania pozytywnego wizerunku naszego kraju oraz popularyzowania wiedzy o Polsce poza jej granicami.



Fot. KAKA media

Noble dla studentów

WARSZAWA Dziewięcioro studentów reprezentujących różne obszary nauki i sztuki zdobyło Studenckiego Nobla 2024: Anna Ronewicz z Uniwersytetu Szczecińskiego (dziennikarstwo i literatura), Sylwia Orzechowska z Akademii Muzycznej im. Ignacego Jana Paderewskiego w Poznaniu (sztuka), Julia Wilk z Politechniki Warszawskiej (nauki techniczne), Milena Patan z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (nauki przyrodnicze i energetyka), Bartosz Niewelt (na fot.) z Uniwersytetu Warszawskiego (fizyka i astronomia), Nicol Zielińska z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi (medycyna i farmacja), Kacper Rosner-Leszczczyński



Fot. Mateusz Mazelanik

w Uniwersytecie Wrocławskiego (nauki społeczne), Natalia Hawro z Politechniki Rzeszowskiej im. Ignacego Łukasiewicza (nauki ekonomiczne), Paulina Kalman z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego (działalność społeczna). Nagrodę specjalną, związaną z działaniami 3W (woda-wodór-węgiel), otrzymała Patrycja Grabowska z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Wszyscy laureaci otrzymali po 5 tys. zł. Konkurs organizowany jest od 2009 roku przez Niezależne Zrzeszenie Studentów.

Koreańscy w Horyzoncie

BRUKSELA Od przyszedłego roku Koreańscy będą mogli korzystać z programu Horyzont Europa. Tę formę kooperacji Unia Europejska oferowała do niedawna krajom położonym w jej geograficznym sąsiedztwie. Program HE wprowadził jednak zmianę tego podejścia, umożliwiając zrzeszanie się krajów o silnym profilu naukowym, innowacyjnym i technologicznym – stanowi to wyraz zaangażowania UE na rzecz doskonałości, postępu naukowego, rozwijania ekosystemów innowacji i promowania globalnej otwartości. Umowa stowarzyszeniowa umożliwi koreańskim podmiotom otrzymywanie finansowania z filaru II. To największa część programu, z budżetem w wysokości 53,5 miliarda euro, która koncentruje się przede wszystkim na wspólnych wyzwaniach globalnych, takich jak klimat, energia, gospodarka cyfrowa i zdrowie. Cały budżet Horyzontu Europa na lata 2021–2027 wynosi ponad 95 mld euro. Rozdysonowano do tej pory ponad 34 mld euro. Sumę tę przeznaczono na 11 738 projektów z udziałem 23 262 podmiotów ze 166 krajów.

Nowe centrum badawcze

SZCZECIN Centrum Eksploatacji Obiektów Pływających otwarto na Politechnice Morskiej w Szczecinie. To jeden z najnowocześniejszych ośrodków tego typu w Europie. W skład CEOP wchodzi specjalistyczne laboratorium, w których naukowcy poprowadzą badania z zakresu automatyzacji i żeglugi autonomicznej, technologii nawigacyjnych i technik satelitarnych, pozycjonowania obiektów w ruchu – na powierzchni wody lub w głębi, nowoczesnej infrastruktury wodnej, a także badania dna morza, pomiary hydro- i kartogra-



Fot. PMS

ficzne czy prace dotyczące bezpieczeństwa oraz skutecznego kalkulowania ryzyka w żegludze. Do dyspozycji mają m.in. autorskie wielkoskalowe modele redukcyjne statków, dzięki którym będą mogli pracować nad efektywnymi i skutecznymi rozwiązaniami dla żeglugi autonomicznej i nie tylko. Modele – masowca mv „TATRY” (PŻW) w skali 1:40 i kontenerowca Tripple E „MAJESTIC” MAERSK, 18 340 TEU w skali 1:70 – służą analizie ryzyka eksploatacji statków autonomicznych czy budowie matematycznych modeli i algorytmów do autonomicznego sterowania statkami bezałogowymi. Nowa inwestycja kosztowała blisko 30 mln zł.

Historyczny sukces Kalmana

USA Studenci Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie po raz pierwszy w historii wygrali zawody University Rover Challenge na terenie Mars Research Desert Station w amerykańskim stanie Utah. To jedno z największych i najbardziej prestiżowych zawodów robotycznych. W finale wzięło udział 38 najlepszych studenckich drużyn z całego świata. Mierzyły się z czterema misjami. W Science Mission zadaniem łazika było pobranie próbek gleby i skał za pomocą wiertła, a następnie zbadanie ich pod kątem oznak życia w mobilnym laboratorium chemicznym, umieszczonym na robocie. Equipment Servicing Mission sprawdzała precyzję manipulatora łazika oraz jego operatorów. Autonomous Navigation Mission polegała na pokonaniu trudnego, marsjańskiego terenu w trybie autonomicznej jazdy, czyli bez wsparcia operatorów. W Extreme Delivery Mission należało wykonać kilka zadań związanych ze znalezieniem i transportem wskazanych wcześniej przedmiotów oraz narzędzi. Ekipa AGH Space Systems wystartowała z łazikiem Kalman.



Fot. Andrzej Romaniński

Roboty w centrum

TORUŃ Dwa budynki o łącznej powierzchni prawie 2 tys. metrów kwadratowych z pracowniami dydaktycznymi i laboratoriami przeznaczonymi do badań oraz kształcenia w zakresie robotyki, sterowania maszyn,



Fot. Andrzej Romaniński

systemów wizyjnych, automatyki i informatyki stosowanej – to nowe otwarte Centrum Nauk Technicznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. W głównym gmachu zlokalizowano pracownie dla studentów automatyki, informatyki oraz fizyki technicznej. Drugi budynek to hala, w której badacze rozwijają sterowanie maszynami numerycznymi oraz laboratorium robotyki mobilnej, a także miejsce dla projektów realizowanych przez studentów z Technicznego Koła Naukowego. Pracownię robotyki wyposażono w kilka najnowszych robotów, które posiadają możliwość wirtualizacji programowania w nowoczesnych językach tzw. wodzenia. Można w niej programować robota w taki sposób, żeby naśladował ruchy programisty. Budowa CNT kosztowała ponad 20 mln zł, z czego 15 mln zł dołożył resort nauki.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Marcin Behrendt, Michał Ciepelski, Iwona Czajkowska-Deneka, Marcel Jakubowski, Zuzanna Szwedek-Kwiecińska, Joanna Sliwińska, Dominika Wojtysiak-Łańska, Łukasz Wspaniały

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej
www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku i na platformie X



Subwencja 2024 w szerszym tunelu

W rozporządzeniu z 29 maja minister nauki określił pojemność tzw. tunelu, ograniczającego działanie algorytmu przy ustalaniu wysokości subwencji na utrzymanie potencjału dydaktycznego i badawczego dla podległych mu instytucji naukowych. W tym roku wynosi on 100-106% (w roku 2023 był nieco węższy: 101-105%). Oznacza to, że gdyby po zastosowaniu algorytmu okazało się, że wartość subwencji dla danego podmiotu była niższa niż 100% subwencji ubiegłorocznej, i tak pozostanie ona na poziomie tamtej. Gdyby natomiast wychodził wzrost subwencji ponad 106%, pozostanie ona na takim właśnie poziomie. Nie znaczy to, że subwencja nie może wynieść więcej. W tym samym bowiem rozporządzeniu minister otworzył drogę do zwiększania subwencji dla uczelni i instytutów, które powstaną w wyniku połączenia uczelni bądź instytutów PAN. W takiej sytuacji subwencja może wynieść 110% sumy subwencji, które otrzymałyby oba podmioty z osobna. To zapowiedź promowania nie tylko werbalnego, ale finansowego konsolidacji uczelni. Minister nauki Dariusz Wieczorek wypowiada się bardzo stanowczo na temat potrzeby podjęcia takich inicjatyw. Dyrektor Departamentu Budżetu i Finansów MNiSW Jarosław Oliwa zwrócił mi uwagę, że instytucje, które istnieją krócej niż 5 lat, nie są objęte zasadą tunelu przy naliczaniu subwencji. Dotyczy to np. powołanej w ub. roku Akademii Piortkowskiej, której subwencja wzrosła z 7,2 mln zł w 2023 roku do ponad 12,3 mln zł w roku 2024, a zatem o 71%. Subwencja utworzonej w ub. roku Publicznej Uczelni Zawodowej w Grudziądzu wzrosła ze 194,3 tys. zł do 1 165,7 tys. zł, z tym, że w 2023 r. działała ona raptem 3 miesiące.

W roku 2024 komunikat o wysokości subwencji na utrzymanie potencjału dydaktycznego i potencjału badawczego Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego ogłosiło 14 czerwca, czyli dokładnie tak, jak w ubiegłym roku. Tym razem łączna wysokość subwencji wyniosła 17 878 711 000 zł. Podzielono tę kwotę między 259 instytucji (w ub.r. 252), w tym 64 publiczne uczelnie akademickie (w tym 9 laureatów konkursu IDUB), 31 publicznych uczelni zawodowych (w tym kilku, które są akademiami, ale wyraziły wole pozostania w tej grupie), 6 uczelni kościelnych (w tym 5 akademickich i 1 zawodowej), 24 niepubliczne uczelnie akademickie (to grupa, która powiększyła się o 8 po ewaluacji działalności naukowej w 2022 roku), 67 instytutów naukowych Polskiej Akademii Nauk (w ub.r. 68), 65 instytutów badawczych (w ub.r. 66; to grupa placówek naukowych, której liczebność w ciągu 30 lat najbardziej spadła), Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórkowej oraz Polską Akademię Umiejętności. W stosunku do ubiegłorocznej subwencji w wysokości 15 647 866 000 zł, tegoroczna jest wyższa o 2 230 845 000 zł, czyli o 14,26%. Jednak to tylko pozór, faktycznie bowiem w ubiegłym roku minister nauki wydał aż 13 komunikatów o subwencjach, w tym 12 o ich zwiększeniach. Tylko sumy z 3 komunikatów o zwiększeniach brane były pod uwagę przy naliczaniu subwencji na rok 2024: z 11 stycznia 2023 r. – wzrost subwencji o 600 mln zł w związku z podwyżkami wynagrodzeń w uczelniach o 4,4% od października 2022 r.; z 15 lutego 2023 r. wzrost subwencji o 1 mld 65 mln zł na podwyżkę płac w uczelniach o 7,8%; z 28 kwietnia 2023 r. – wzrost subwencji dla instytutów PAN o 37 891 600 zł w związku z podwyżką płac o 7,8%; no i wreszcie wspomniany komunikat o wysokości subwencji z 14 czerwca 2023 r. Daje to razem 1 702 891 600 zł zwiększeń plus podstawową subwencję z 2023 r., czyli 17 350 757 600 zł. Tymczasem w 2023 r. ministerstwo przyznało uczelniom i instytutom PAN jeszcze 9 dodatkowych zwiększeń o łącznej wartości 426 576 300 zł, z czego 150 mln zł przyznał już mini-

ster Wieczorek na budowę i remonty akademików w końcu grudnia 2023 r. Łącznie zatem w 2023 r. instytucje naukowe podległe ministrowi nauki otrzymały 17 777 333 900 zł w postaci subwencji (plus różne dotacje celowe, np. na pomoc materialną dla studentów i doktorantów). Trzeba zauważyć, że sytuacja instytutów PAN i instytutów badawczych była odmienna od uczelni. Subwencja dla 9 uczelni badawczych wzrosła o 15,1%, dla pozostałych uczelni akademickich o 15,4%, dla publicznych uczelni zawodowych o 9,6%, dla placówek PAN o 7,4%, a dla instytutów badawczych tylko o 2,9%. Te ostatnie jak dotąd nie dostały też zwiększeń subwencji, co zwiększy różnicę między nimi, a pozostałym grupami instytucji naukowych przy naliczaniu przyszłorocznej subwencji.

Jak informuje nas dyrektor Oliwa, kąt wzrostu tegorocznej subwencji wyniósł 3%. Wynika to z przedstawionego powyżej wyliczenia. Po uwzględnieniu zwiększeń subwencji w 2023, faktycznie ubiegłoroczna subwencja, brana pod uwagę przy naliczaniu tegorocznej podstawowej subwencji, była od niej niższa o 527 953 400 zł, czyli dokładnie o 3%. Musimy jednak pamiętać, że już w tym roku nastąpiło kilkakrotne zwiększenie subwencji instytucji podległych MNiSW, co znalazło odbicie w pięciu komunikatach: 23 lutego – na podwyżki płac o 30% dla nauczycieli akademickich i 20 dla pozostałych pracowników uczelniach podlegających MNiSW – 3 754 694 100 zł; 7 marca – dla uczelni z drugiej dziesiątki konkursu IDUB – to stała kwota, gdyż odnosi się do ich subwencji z 2019 roku – 49 116 300 zł; 30 kwietnia – na podwyżki płac w instytutach PAN – 190 000 000, czyli o 10 mln zł więcej niż pierwotnie zaplanowano; 17 maja – dla 11 uczelni, które po ewaluacji i zmianach w PSWN spełniają kryteria udziału w konkursie IDUB – 32 830 163, zł 78 gr oraz z 31 maja – dla 9 niepublicznych uczelni akademickich – 5 369 000 zł. Tylko zwiększenia z 23 lutego, 30 kwietnia i 31 maja będą uwzględniane przy naliczeniu subwencji na rok 2025. Zatem w pięciu komunikatach minister przyznał uczelniom i instytutom PAN (żaden nie dotyczył instytutów badawczych) łącznie ponad 4 mln zł. Z tej kwoty do podstawy subwencji 2025 będą wliczone 3 950 063 100 zł. Dotychczas na subwencje w roku 2024 podległym sobie instytucjom naukowym minister nauki przyznał **21 910 720 564 zł**. Takiego poziomu subwencja nigdy wcześniej nie osiągnęła.

W tym roku została złamana mityczna bariera miliarda złotych podstawowej subwencji dla jednej uczelni. W ubiegłym tylko Uniwersytet Jagielloński potarł się o tę kwotę. W komunikacie z 14 czerwca uniwersytetom Warszawskiemu i Jagiellońskiemu przyznano ponad 1 mld zł subwencji. UJ otrzymał 1 131 900,5 tys. zł, a UW 1 011 083,4 tys. zł. Oczywiście, oba te uniwersytety otrzymały też najwyższe dodatki na wzrost wynagrodzeń, odpowiednio 251,9 mln zł i 244,2 mln zł. Zatem owa mityczna miliardowa subwencja stała się faktem i to od razu z przytupem. Biorąc pod uwagę to, że każdy z nich otrzyma znaczącą kwotę (w papierach wartościowych) z racji udziału w IDUB oraz po ok. 200 mln zł w grantach Narodowego Centrum Nauki, można z niemal stuprocentową pewnością przewidzieć, że każdy otrzyma w tym roku z budżetu państwa ponad półtora miliarda złotych. To znaczy, że razem zgarniają ok. 10% środków zapisanych w budżecie państwa na naukę i szkolnictwa wyższe. Każdy z nich dostał znacznie więcej niż 31 publicznych uczelni zawodowych, czy wszystkie instytuty PAN łącznie, a od trzeciej z kolei Politechniki Warszawskiej dzieli każdy z nich od 300 (od UW) do 400 (od UJ) mln zł. Powyżej pół miliarda subwencji w gronie uniwersytetów otrzy-

mały Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (666,1 mln zł) i Uniwersytet Mikołaja Kopernika (516,9 mln zł). W grupie 400-500 mln zł znalazły się uniwersytety: Łódzki (493,7 mln zł), Wrocławski (459 mln zł), Śląski (426 mln zł) i Gdański (401,8 mln zł). W grupie 300-400 mln zł są uniwersytety: Warmińsko-Mazurski (391,7 mln zł) i Marii Curie-Skłodowskiej (338,7 mln zł). Pozostałe „stare” uniwersytety mieszczą się w zakresie 145-300 mln zł. Najniższe subwencje – poniżej stu milionów złotych – przypadają sześciu najmłodszych uniwersytetom, tym, które uzyskały taki status w wyniku ostatniej ewaluacji lub decyzji parlamentarzystów. Najniższą subwencję w tej grupie otrzymał Uniwersytet Kaliski (48,3 mln zł), Uniwersytet Pomorski w Słupsku (63,5 mln zł), Uniwersytet Bielsko-Bialski (65,3 mln zł), Uniwersytet Radomski (71,2 mln zł), Uniwersytet w Siedlcach (85,4 mln zł) i Uniwersytet Jana Długosza w Częstochowie (88 mln zł).

Wśród uczelni technicznych najwyższą subwencję ma wspomniana już Politechnika Warszawska (706,3 mln zł). W grupie 500+ są jeszcze Akademia Górniczo-Hutnicza (680,3 mln zł) i Politechnika Wrocławska (659,8 mln zł). Dobija się do granicy 500+, a ze zwiększeniami na pewno ją przebija, Politechnika Śląska (497,5 mln zł). W gronie 300+ są politechniki: Gdańska (390,8 mln zł), Łódzka (374,1 mln zł) i Poznańska (347,8 mln zł), a 200+: Krakowska (291,6 mln zł) i Rzeszowska (209,1 mln zł) oraz Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny (225,6 mln zł). Najniższą subwencję, jedyną poniżej 100 mln zł, ma w tej grupie Politechnika Koszalińska (85,7 mln zł). Pozostałe mieszczą się w granicach 100-200 mln zł.

W grupie uczelni przyrodniczych wysokością subwencji Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie z 351,7 mln zł wyraźnie odstaje od pozostałych, których subwencje mieszczą się w granicach od 176 mln zł (Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie) do 223 mln zł (Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu). Wśród uniwersytetów ekonomicznych różnice mają mniejszą rozpiętość: od niecałych 100 mln zł (Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach) do 168 mln zł (Szkoła Główna Handlowa). Akademie wychowania fizycznego mają subwencje od 40 (AWFiS w Gdańsku) do 62 mln zł (AWF we Wrocławiu). Odstaje od nich warszawska AWF z subwencją ponad 85 mln zł.

Obecnie mamy 31 publicznych uczelni zawodowych, a to dzięki temu, że w ubiegłym roku utworzono nową w Grudziądzu, a trzy, które w wyniku ewaluacji uzyskały uprawnienia akademickie, zdecydowały się pozostać w tym gronie (Tarnów, Łomża i Biała Podlaska). Grudziądzka uczelnia ma najniższą subwencję wynoszącą 1,165 mln zł. Poniżej 10 mln zł ma w tej grupie jeszcze tylko Akademia Nauk Stosowanych w Wałczu. Najwyższe subwencje mają Akademia Tarnowska (60 mln zł), ANS w Nowym Sączu (51 mln zł) i Akademia Bialska (44,3 mln zł). Powyżej 40 mln ma jeszcze PANS w Jarosławiu, a zbliża się do tej kwoty subwencja PANS w Chełmie.

Najbardziej w wyniku ewaluacji działalności naukowej wzrosła liczebnie – z 16 do 24 – grupa niepublicznych uczelni akademickich. Także sumaryczna subwencja dla tej grupy uczelni wzrosła relatywnie dużo, bo z 9,6 do 12,2 mln zł, czyli o 27%. To może być mylące, bowiem aż 9 uczelni ze „starej” szesnastki otrzymało subwencje niższe niż w 2023 – łącznie o ponad 160 mln zł. Najwyższe subwencje dostały: Uniwersytet SWPS (3,4 mln zł), Akademia Leona Koźmińskiego (1,3 mln zł) i Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie (905 mln zł, ale to o 48 mln zł mniej niż w 2023 r.). Powyżej 400 tys. zł dostały: Krakowska Akademia im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego (560 tys. zł), Akademia Ekonomiczno-Humanistyczna w Warszawie (490 tys. zł), Społeczna Akademia Nauk w Łodzi (453 tys. zł), Uniwersytet Dolnośląski DSW we Wrocławiu (446 tys. zł), Akademia Górnośląska w Katowicach (425 tys. zł), Akademia Humanistyczno-Ekonomiczna w Łodzi (413,3 tys.

zł), Akademia WSB (410 tys. zł) i Akademia Śląska (407 tys. zł). Najniższą subwencję w tej grupie otrzymał Uniwersytet WSB Merito w Poznaniu (53,4 tys. zł). Jest to także najniższa subwencja przyznana przez ministra nauki instytucji naukowej.

Minister nauki uposaża też placówki naukowe Polskiej Akademii Nauk – tym roku z listy zniknął zlikwidowany Instytut Parazytologii, a zatem jest ich 67. Łącznie na subwencję tej grupy przeznaczono 886,6 mln zł. Placówek, które otrzymują subwencję wyższą niż 30 mln zł, jest 6. Najwięcej dostaje Instytut Fizyki Jądrowej z Krakowa – 64 mln zł, daleko za nim jest drugi w kolejności Instytut Biologii Doświadczalnej im. Nenckiego – 40 mln zł i trzeci Instytut Chemii Fizycznej – 38,2 mln zł. Najniższe subwencje mają Międzynarodowy Instytut Maszyn Molekularnych IMOL – 1,5 mln zł i Europejskie Regionalne Centrum Ekohydrologii – 1,6 mln zł. Poniżej 10 mln zł subwencji ma 35 placówek PAN.

Kolejną grupą placówek naukowych subwencionowaną przez MNiSW są instytuty badawcze. Przeszły one w ciągu ostatnich trzydziestu paru lat najtwardsze reformy, zmniejszając się liczebnie z ok. 270 do raptem 65. Ich łączna subwencja wynosi niecałe 400 mln zł, a dodajmy, że nie objęły ich zwiększenia, które pozwolą innym grupom placówek wystartować z lepszej pozycji w naliczaniu przysiorocznej subwencji. Tylko 10 z nich ma subwencję wyższą niż 10 mln zł. Najwięcej dostały: Narodowe Centrum Badań Jądrowych – 45,4 mln zł, Narodowy Instytut Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie – 24 mln zł, Instytut Techniczny Wojsk Lotniczych – 17,5 mln zł i Główny Instytut Górnictwa – 17,3 mln zł. Najniższe subwencje liczone są w tysiącach, to Instytut Badań Edukacyjnych – 63 tys. zł i Centralne Laboratorium Ochrony Radiologicznej – 79,6 tys. zł.

Jako pierwszy całkowitą wysokość subwencji w roku 2024 dla podległych sobie uczelni artystycznych określił minister kultury i dziedzictwa narodowego. Na podstawie komunikatu z 19 marca 19 uczelni artystycznych otrzyma w 2024 roku niemal 999,5 mln zł. W stosunku do roku ubiegłego subwencja wzrosła o 189,6 mln zł, czyli o ponad 23% w stosunku do subwencji pierwotnej w roku 2023 (która wyniosła 809,9 mln zł). To znacznie powyżej poziomu inflacji. Najwyższe subwencje na rok 2024 otrzymały Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie – 77,85 mln zł. Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina w Warszawie – 77,3 mln zł oraz Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie – 74,3 mln zł. Najniższe Akademia Teatralna w Warszawie – 29,96 mln zł, ASP w Katowicach – 33,2 mln zł i Akademia Sztuk Teatralnych w Krakowie – 36,1 mln zł. Średnio na każdą uczelnię artystyczną przypadło 52,6 mln zł. Należy jednak pamiętać, że są to uczelnie o odmiennym charakterze: muzyczne, teatralne i filmowe, plastyczne oraz jedna „wielobranżowa”, a także różnej wielkości. Uczelnie artystyczne dostaną też 16,9 mln zł dotacji na działalność kulturalną – to tyle samo, co w roku 2023, ale także w 2022.

Minister zdrowia wysokość subwencji dla podległych sobie 9 uczelni medycznych ogłosił 31 maja. Podstawowa subwencja wyniosła 2 mld 355 mln zł, ale w tym samym rozporządzeniu minister ogłosił zwiększenie subwencji o niemal 40 mln zł, co dało 2 mld 389 mln zł. Należy jednak pamiętać, że 4 kwietnia minister zdrowia przyznał swoim 9 uczelniom 471 mln zł na podwyżki płac. Oznacza to, że do tej pory uniwersytety medyczne otrzymały w 2024 roku 2 mld 860 mln zł subwencji. Najwyższą dostał Warszawski Uniwersytet Medyczny – 424,24 mln zł. Na drugim miejscu jest Uniwersytet Medyczny w Łodzi (pamiętajmy, że kształci też lekarzy wojskowych, może już ostatni rok, ale w tym roku przyjmie 200 nowych) – 393,6 mln zł, a na trzecim Śląski Uniwersytet Medyczny – 374,33 mln zł. Najniższą subwencję ma, jak zawsze, Pomorski Uniwersytet Medyczny – 168,1 mln zł.

Piotr Kieraciński

Cyfrowa perspektywa

NiS 2, eIDAS, tożsamość cyfrowa, doręczenia elektroniczne, rozwój AI, czyli co czeka uczelnie w najbliższym czasie.

Ostatni rok kadencji Komisji i Parlamentu Europejskiego przyniósł wręcz tsunami legislacyjne w zakresie regulacji dotyczących nowych technologii, które w części już w tym roku, najdalej do 2026 r., obejmą także uczelnie, instytuty naukowe i badawcze, zarówno publiczne, jak i niepubliczne. Aby sprostać tym regulacjom, już w chwili obecnej powinniśmy przygotować nasze jednostki, dostosowując infrastrukturę techniczną, systemy informatyczne, ale także procesy, aby sprostać nowym wymaganiom.

Obraz cyfryzacji uczelni jest odbiciem problemów istniejących w polskiej administracji. Począwszy od braku jednolitej strategii cyfryzacji większości z nich, poprzez nie zawsze wysokie kompetencje cyfrowe (głównie wśród administracji, ale nie tylko), wieloletnie zaniedbania infrastruktury technicznej, drenaż uczelnianych kadr IT przez rynek (głównie ze względu na sporą różnicę w zarobkach), ale też często brak świadomości władz uczelni o zakresie nadciągających zmian, a co za tym idzie nowych obowiązków. Różna też jest determinacja władz uczelni w dążeniu do cyfryzacji, zmiany przyzwyczajęń, procesów, w tym zmiany obiegu dokumentów papierowych na elektroniczne, co często jest związane ze sporym oporem przynajmniej części środowiska akademickiego. Często chodzi też o brak liderów, którzy przy pełnym wsparciu władz potrafiliby przeprowadzić uczelnie przez bardzo trudny proces cyfryzacji. Załedwie w części z nich powołano prorektora ds. cyfryzacji czy też odpowiednio umocowanego pełnomocnika rektora do takich zadań. Nie wszystkie uczelnie mają strategię cyfryzacji, wyodrębnione budżety, nie wspominając o politykach cyberbezpieczeństwa czy też wdrożeniach w tym zakresie norm ISO 27000. Liczba ataków na infrastrukturę uczelniane, w szczególności w związku z wojną w Ukrainie, wzrosła prawie dwukrotnie w roku 2023 w porównaniu do roku 2022. Wiele z nich było skutecznych, a tylko ułamek informacji o tym (i słusznie!) przedostaje się do obiegu powszechnego. Co zaskakujące, często na uczelniach brakuje procedur opisujących sposób powiadamiania władz uczelni o takich incydentach, i to w sytuacji, gdy reakcja powinna być natychmiastowa. Na wielu uczelniach ostatnim ogniwem w zakresie cyberbezpieczeństwa jest dyrektor IT, pomimo że odpowiedzialnym za bezpieczeństwo na uczelni w tym cyberbezpieczeństwo jest rektor, a ryzyka związane z atakami obejmują szeroko pojętą informację, dane itd., a nie tylko same procedury informatyczne. Zarządzanie bezpieczeństwem, w tym cyberbezpieczeństwem, jest czymś znacznie szerszym niż IT. Są też takie instytucje naukowe, w szczególności uczelnie techniczne, gdzie zarówno infrastruktura, jak i polityki bezpieczeństwa oraz wdrożone procedury nie wywołują zastrzeżeń, a działania związane z cyfryzacją są przemyślane, długofalowe i zgodne z przyjętymi strategiami. Warto brać z nich przykład.

W państwach bardziej rozwiniętych cyfrowo uczelnie są liderami zmian w obszarze cyfryzacji. To one uczą cyfrowego myślenia (mocno odbiegającego od analogowego) oraz cyfrowego zarządzania procesami nie tylko przez kadrę akademicką, ale przede wszystkim przez studentów, stanowiących w przyszłości trzon gospodarki cyfrowej. Odwiedzając część polskich uczelni, mimo wspaniałych naukowców, zaangażowanych wizjonerów, wyjątkowych badań, grantów, wdrożeń B+R, ma się jednak wrażenie „powrotu do przeszłości”. Ogólny ogląd cyfryzacji polskich uczelni nie jest optymistyczny. Chociażby kwestia wykorzystania generatorów treści, algorytmów sztucznej inteligencji. Załedwie garstka uczelni przyjęła rekomendacje czy też wewnętrzne przepisy dotyczące ich wykorzystywania w pracy

naukowej, czy dydaktycznej. Wielu naukowców, ale i studentów, pyta, czy wykorzystywać, a jeżeli tak (bo dłaczego by nie), to jak wskazywać generatory treści jako narzędzie pracy naukowej. Problem jest poważny, w niektórych ośrodkach rozwiązywany, ale powszechnie w polskim szkolnictwie wyższym nie podejmowany. Wydaje się, iż jest to materia na tyle poważna i dotycząca wszystkich, iż rekomendacje mogłyby zostać przygotowane wspólnie m.in. we współpracy z KRASP.

Mamy wiele zaszczytów do nadrobienia oraz możliwość zbudowania nowoczesnych, dobrze cyfrowo zarządzanych uczelni w związku z perspektywami, ale także obowiązkami, jakie na nas nałożyły w najbliższym czasie UE. Poniżej tylko wycinek tego co nas czeka.

Rozporządzenie eIDAS 2 – szansa i nowe obowiązki

W 2023 i 2024 roku Unia Europejska dokonała przeglądu rozporządzenia eIDAS, wprowadzając szereg nowych narzędzi prawno-technicznych długo oczekiwanych przez rynek. Mają one na celu dalszy rozwój usług cyfrowych w UE oraz rozszerzenie dotychczasowych. Wśród najważniejszych zmian należy wymienić wprowadzenie jednolitej tożsamości cyfrowej dla obywateli i rezydentów UE oraz portfela cyfrowego, do którego będą stopniowo dodawane kwalifikowane atrybuty równoważne tradycyjnym dokumentom.

Już w dokumencie *Droga ku cyfrowej dekadzie* z 2022 roku (Decyzja Parlamentu i Rady UE 2022/2481) wskazano na potrzebę wprowadzenia na szeroką skalę zaufanej, dobrowolnej i kontrolowanej przez użytkownika tożsamości cyfrowej, uznawanej w całej UE oraz umożliwiającej każdemu użytkownikowi kontrolowanie swoich danych w interakcjach online, w tym z administracją publiczną, a co za tym idzie z uczelniami, a także możliwość poświadczania m.in. swoich kompetencji cyfrowymi atrybutami.

Zgodnie z preambułą rozporządzenia eIDAS 2.0 państwa członkowskie UE powinny dać możliwość wydawania i obsługi wiarygodnych atrybutów elektronicznych, co ma przyczynić się do zmniejszenia obciążenia administracyjnego poprzez umożliwienie obywatelom i rezydentom UE korzystania z nich w transakcjach prywatnych i publicznych. Każdy dostawca, który wydaje poświadczane atrybuty w postaci elektronicznej, takie jak dyplomy, akty urodzenia czy pełnomocnictwa, powinien być uznawany za dostawcę usług zaufanych (motyw 55 preambuły cytowanego rozporządzenia). Istotne jest również to, że kwalifikowany poświadczony atrybut będzie miał równoważny skutek prawny jak dokument papierowy i będzie podlegał transgranicznemu uznawaniu.

Jednym ze sposobów poświadczania atrybutów jest nałożenie na nie kwalifikowanego podpisu elektronicznego lub kwalifikowanej pieczęci elektronicznej. W tym kontekście warto rozważyć możliwość wydawania dyplomów uczelni w postaci elektronicznej, co ułatwi proces potwierdzania wykształcenia. Państwa członkowskie mają obowiązek zapewnić, że poświadczanie atrybutów zawiera odpowiednie dane oraz kwalifikowany podpis elektroniczny lub pieczęć elektroniczną. Warto zastanowić się, czy tradycyjne potwierdzenia wykształcenia oraz tytułów i stopni naukowych powinny funkcjonować w dotychczasowej formie drukowanego dyplomu, czy może forma elektroniczna, cyfrowy odpowiednik dyplomu powinien stać się priorytetem.

Umieszczenie danych potwierdzających uprawnienia w bezpiecznej chmurze oraz w portfelu cyfrowym obywateli stanowiłby istotny krok w kierunku pełnej cyfryzacji. Konieczne jest dostosowanie krajo-

wych przepisów prawnych do nowych wymogów eIDAS 2, aby umożliwić skuteczne wdrożenie tych zmian. Nie ma od nich ucieczki. Gdyby Ukraina nie zrobiła tego przed laty, wielu ze specjalistów nie byłoby w stanie dziś wykazać się uprawnieniami.

Już dzisiaj moglibyśmy wydawać dyplomy czy świadectwa ukończenia studiów podyplomowych w postaci elektronicznej, opatrzonej kwalifikowaną pieczęcią elektroniczną uczelni. Umożliwienie wydawania elektronicznych dyplomów może przyczynić się do rozłożenia obowiązku potwierdzania wykształcenia na uczelnie wyższe na dłuższy okres, co jest ważne w kontekście rosnącej liczby absolwentów studiów. Jest to również odpowiedź na potrzeby współczesnego świata cyfrowego i zapewnienie obywatelom skutecznej kontroli nad ich cyfrową tożsamością. Państwa członkowskie muszą już za 4 lata zagwarantować możliwość potwierdzenia wykształcenia jako kwalifikowanego atrybutu w portfelu cyfrowym. Więc i tak nas to czeka. Dlaczego nie zacząć od następnego roku akademickiego?

Doręczenia elektroniczne

W grudniu 2023 r. przesunięto obowiązek, zarówno po stronie administracji, jak i przedsiębiorców, wdrożenia tzw. ustawy o doręczeniach elektronicznych. W chwili obecnej w Ministerstwie Cyfryzacji prowadzone są prace nad zmianą tego aktu i bardziej liberalnym podejściem do obowiązku doręczania elektronicznego. Nie zmieni to jednak samego obowiązku uwzględniania przez uczelnie konieczności doręczania elektronicznego pism na skrzynkę elektroniczną do podmiotów, pracowników i studentów, ale też instytucji współpracujących, które będą tego chciały. Doręczenie takie jest równoważne z dotychczasową przesyłką poleconą za zwrotnym potwierdzeniem odbioru lub z doręczeniem osobistym.

E-doręczenie działa pod dotychczasowymi adresami doręczeń elektronicznych (ADE), z których każdy jest wpisywany do publicznego rejestru zwanego Bazą Adresów Elektronicznych (BAE). Rejestr ten jest w pełni jawny dla podmiotów publicznych i służy ustaleniu ADE adresata. Uczelnie będą miały obowiązek weryfikowania tych adresów i każdorazowego wysyłania na nie korespondencji w odniesieniu do podmiotów w nich wpisanych.

Ustawa przewiduje możliwość korzystania z publicznej lub kwalifikowanej usługi doręczeń. Odróżnia je przede wszystkim to, że publiczną zgodnie ze standardem wynikającym z Ustawy o e-doręczeniach świadczy operator wyznaczony, którym, zgodnie z decyzją prezesa Urzędu Komunikacji Elektronicznej, w latach 2016–2025 jest Poczta Polska SA i takie doręczenie ma skutek prawny wyłącznie na terytorium kraju. Kwalifikowaną usługę świadczą kwalifikowane podmioty zaufania, podlegające bezpośrednio pod regulacje rozporządzenia eIDAS, podlegające unijnym audytom także w zakresie bezpieczeństwa, a ich usługa jest skuteczna nie tylko na terytorium Polski, ale w całej Unii Europejskiej. Łatwość integracji kwalifikowanej usługi doręczenia elektronicznego z innymi systemami, w tym służącymi do masowego i automatycznego generowania pism, znacznie ułatwia zarządzanie, monitorowanie, a także ich wysyłanie. Warto monitorować prace nad ustawą i już teraz przygotowywać uczelnie do jej wdrożenia, co powinno nastąpić do 10 grudnia 2024 roku.

Problem cyberbezpieczeństwa na uczelniach

W związku z wojną w Ukrainie polskie uczelnie stanowią istotny cel na mapie cyberataków. Ich liczba gwałtownie wzrosła w porównaniu do okresu sprzed 2022 r. I raczej się to nie zmieni. Wkrótce, bo 17 października 2024 r., mija termin implementacji dyrektywy NIS2 w zakresie cyberbezpieczeństwa. Ministerstwo Cyfryzacji prowadzi prace nad nowelizacją ustawy o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa. Zostanie ona uchwalona i wejdzie w życie przed wskazaną powyżej datą. Już dzisiaj powinniśmy, jako uczelnie, bacznie obserwować proces legislacyjny, a nawet w nim uczestniczyć.

Dyrektywa rozszerza zakres przedmiotowy obowiązków z niej wynikających na nowe branże, ale co dla nas istotniejsze, rozszerza także zakres podmiotowy, obejmując podmioty administracji publicznej (zarówno instytucji rządowych na szczeblu centralnym, jak i na poziomie regionalnym) oraz wprowadza nową kategorię „sektory ważne”, do których zaliczeni zostają dostawcy usług cyfrowych, platform internetowych, ale także organizacje badawcze, które zostały zdefiniowane jako podmiot, którego głównym celem jest prowadzenie badań stosowanych lub eksperymentalnych prac rozwojowych z myślą o wykorzystaniu ich do celów komercyjnych z wyłączeniem instytucji edukacyjnych. Ustawa implementująca dyrektywę może rozszerzyć katalog tych podmiotów.

Niezależnie od NIS2 rektorzy mają obowiązek zapewnienia cyberbezpieczeństwa w uczelniach, monitorowanie i zgłaszanie incydentów, a także podnoszenie wiedzy i kwalifikacji pracowników i studentów w tym zakresie.

Warto przejrzeć polityki cyberbezpieczeństwa uczelni, stanowiące istotny element strategii mającej na celu zapewnienie długoterminowego bezpieczeństwa i stabilności operacyjnej organizacji, a jeżeli ich nie ma, to je przygotować i wdrożyć, dostosowując odpowiednio struktury i procedury do wymagań zapewniających bezpieczeństwo w tym obszarze. Niezwykle istotne jest, aby każda organizacja (uczelnia, ale też spółki uczelniane) zidentyfikowała, czy i w jakim stopniu podlega regulacjom NIS2. To pierwszy krok do zrozumienia obowiązków i przygotowania strategii dostosowawczej. W drugim etapie warto przygotować audyt zgodności, którego przeprowadzenie pozwala organizacjom na precyzyjne ustalenie, które obszary wymagają dostosowania do nowych przepisów, co ułatwia planowanie dalszych działań. Opracowanie efektywnych procedur reagowania na incydenty, pozwala na szybką i skuteczną reakcję, co jest kluczowe w minimalizowaniu szkód. I wreszcie, warto przygotować i rozwijać plany ciągłości działania uczelni, wymagane nie tylko w związku z cyberbezpieczeństwem, ale także na wypadek utraty danych.

Alokacja odpowiednich środków finansowych na cyberbezpieczeństwo jest kluczowa dla zapewnienia skutecznej ochrony i implementacji niezbędnych technologii oraz procedur. Warto rozpocząć poważną dyskusję nad finansowaniem uczelni w tym zakresie, a właściwie jego brakiem (środków celowych na cyberbezpieczeństwo), jak i sposobem zarządzania cyberbezpieczeństwem oraz infrastrukturą uczelnianą. Model oparty na własnych informatykach nie sprawdza się, w szczególności w uczelniach mniejszych i nietechnicznych. Warto poważnie przemyśleć uwspólnotowanie (przez kilka uczelni) infrastruktury informatycznej, w tym serwerowni, wspólne zakupy usług, licencji, w tym narzędzi ochrony bezpieczeństwa sieci, domen, jeden zespół reagujący na incydenty itd. Wspólne prace nad politykami cyberbezpieczeństwa, wzajemne szkolenia itd. Sporą rolę w zakresie koordynacji i promowania takich działań może przyjąć Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego wspólne z Ministerstwem Cyfryzacji, ale też i KRASP.

Na Śląsku podjęto działania w celu utworzenia eduISAC (Information Sharing and Analysis Center – Centrum Wymiany i Analizy Informacji), w którym dokonywana byłaby (a częściowo już jest) wymiana doświadczeń, wzajemne szkolenia oraz przekazywanie informacji o incydentach. „ISAC stanowi bardzo dobrą formę gromadzenia wiedzy na temat aktualnych zagrożeń i ryzyka, głównie dlatego, że składa się ze specjalistów, którzy znają specyfikę sektora i mają najbardziej aktualne informacje na temat zagrożeń. Taki stan wiedzy może być trudny do osiągnięcia dla organów właściwych. Jednocześnie ISAC może być dobrą platformą współpracy i wymiany informacji dla operatorów usług kluczowych. W obliczu incydentu nie zawsze konieczny jest zespół typu CERT/CSIRT działający w systemie 24/365”.

Dobrze finansowane centrum tego rodzaju, w połączeniu z koordynacją działań uczelni w zakresie cyberbezpieczeństwa, mogłoby w sporej mierze przyczynić się do zwiększenia bezpieczeństwa w polskiej nauce, a także podnieść kompetencje uczelnianych kadr.

Zamiast zakończenia

We wrześniu rozpoczyna się nowa kadencja władz uczelni. Najbliższe cztery lata będą kluczowe w zakresie uzyskania przewagi technologicznej i wykorzystania narzędzi algorytmicznych, w tym AI, w procesach biznesowych, ale także naukowych i edukacyjnych. Będą też kluczowe dla zapewnienia bezpieczeństwa i cyberbezpieczeństwa na uczelniach.

Dla wielu uczelni będzie to spory wysiłek i wyzwanie. Ale jeżeli mamy mieć jakiegokolwiek znaczenie na europejskim rynku nauki oraz edukacji, nie mamy alternatywy. Uczelnie, które wprowadzą narzędzia wynikające z przepisów unijnych, uzyskają przewagę nad pozostałymi. Nie mam wątpliwości, że wiele polskich uczelni nie będzie w stanie dokonać przeskoków technologicznych, a obraz pracowników administracji chodzących z teczkami do podpisu, mimo istnienia narzędzi pozwalających na pełną cyfryzację procesów, szybko nie

minie. Pomimo, że jest to szybsze, tańsze i efektywniejsze. Z moich obserwacji – a z racji pełnionej funkcji miałem okazję odwiedzić kilka polskich uczelni – proces informatyzacji naszych jednostek jest często chaotyczny, niespójny, z wadliwymi procesami i błędami przenoszonymi z procesów „papierowych”. Niespójność i brak integralności systemów uczelnianych (a bywa, że ich nadmierna liczba) powodują, iż wiele danych wciąż musi przenosić „interfejs białkowy”, czyli pracownik, a wiele czynności jest powielanych. Częstym błędem jest także dublowanie procesów „elektronicznych” i „papierowych”, co nie sprzyja efektywności wdrożeń. A temu oraz ułatwieniu pracy ma sprzyjać racjonalne wdrażanie paperless, ale także racjonalności zatrudnienia, bowiem procesy informatyczne powinny sprzyjać zmniejszaniu liczby czynności dokonywanych przez pracowników. Wadliwa cyfryzacja (bez stosownej zmiany procesów) wywołuje niezrozumienie, niechęć, frustrację, a nawet odrzucenie przez użytkowników.

Dr hab. Dariusz Szostek, prof. UŚ, jest prawnikiem specjalizującym się w prawie nowych technologii. Jest pełnomocnikiem rektora UŚ ds. cyfryzacji i dyrektorem Cyber Science (wspólnej jednostki UŚ, Politechniki Śląskiej, UE Katowice oraz NASK).

KPN w zupełnie nowym składzie

W związku z odwołaniem 29 lutego dotychczasowego składu Komitetu Polityki Naukowej minister nauki powołał 28 maja nowych członków w trwającej kadencji 2022–2027. Powołania wręczył im na pierwszym posiedzeniu wiceminister Maciej Gdula.

Akty powołania otrzymali: dr hab. **Piotr Bajor** z Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. **Jakub Fichna** z Zakładu Biochemii na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, prof. **Ewa Gruza** z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, prof. **Wojciech Jakubowski** z Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego, dr **Andrzej Kiebała** z Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, prof. **Małgorzata Kossowska** z Instytutu Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. **Agnieszka Sobczak-Kupiec** z Wydziału Inżynierii Materiałowej i Fizyki Politechniki Krakowskiej im. Tadeusza Kościuszki, prof. **Tomasz Szapiro** ze Szkoły Głównej Handlowej, dr **Magda Szczęśniak** z Instytutu Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, prof. **Wojciech Wolański** z Wydziału Inżynierii Biomedycznej Politechniki Śląskiej, dr hab. **Joanna Wolszczak-Derlacz** z Wydziału Zarządzania i Ekonomii Politechniki Gdańskiej, dr hab. inż. **Jacek Wróbel** z Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie.

Spośród członków Komitetu wybierany jest przewodniczący. Został nim prof. Tomasz Szapiro (na fot. trzeci z lewej), ekonomista, były rektor Szkoły Głównej Handlowej (2012–2016), obecnie kierownik Ośrodka Studiów Ukraińskich SGH. Przewodniczy Komisji Antykryzysowej w KRASP. W latach 2017–2021 zasiadał w Prezydium Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego (przewodniczył Komisji ds. kształcenia). W 2019 był przewodniczącym komisji wyborczej odpowie-

dzialnej za przygotowanie i przeprowadzenie pierwszych wyborów konstytuujących Radę Doskonałości Naukowej, utworzoną w miejsce Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów. W pracy naukowej zajmuje się metodami analizy decyzji w ekonomii i zarządzaniu.

Komitet Polityki Naukowej jest organem pomocniczym ministra. Przeprowadza ewaluację realizacji polityki naukowej państwa oraz opiniuje dokumenty przedstawione przez szefa Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. W KPN zasiada 12 członków, których kadencja, na skutek zmiany we wrześniu 2023 roku art. 340 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, została wydłużona z 2 do 5 lat.

Do głównych zadań KPN należy udzielanie pomocy ministrowi przy opracowywaniu: dokumentów dotyczących rozwoju nauki oraz polityki naukowej i innowacyjnej, projektu budżetu państwa oraz planu finansowego określającego środki finansowe na naukę, krajowych i zagranicznych priorytetów inwestycyjnych, a także opiniowanie: projektów aktów normatywnych dotyczących rozwoju nauki i innowacyjności, planów działalności Narodowego Centrum Nauki i Narodowego Centrum Badań i Rozwoju oraz sporządzanie merytorycznych ocen sprawozdań z ich działalności.

traman





studia
podyplomowe

KOMUNIKACJA NAUKOWA
I POPULARYZACJA NAUKI

SZCZEGÓŁY
TUTAJ:



ZAPISZ SIĘ

Buławy w plecaku

Wbrew nowym tendencjom redefiniującym określenie „młody naukowiec” (nawet do 40. roku życia) w jednym z najstarszych swoich programów START (początkowo nosił nazwę Stypendia dla młodych naukowców) Fundacja na rzecz Nauki Polskiej pozostaje wierna prawdziwej młodości. Młodzi są naukowcy przed 30. rokiem życia (nieco starsi tylko, gdy korzystają z regulaminowych możliwości) i tylko tacy mogą aplikować o stypendium w programie START. W 32. konkursie tego programu Fundacja wskazała 100 laureatów, w tym 59 mężczyzn i 41 kobiet, reprezentujących wszystkie dziedziny nauki. Każde z nich otrzyma roczne stypendium w wysokości 30 tys. zł, które może przeznaczyć na dowolny cel.

Wręczenie stypendiów miało miejsce 8 czerwca na Zamku Królewskim w Warszawie. To stałe miejsce tej uroczystości, tylko raz zrobiono wyjątek – w okresie pandemii Fundacja honorowała stypendystów w swoich ogrodach. Przypomniat tę okoliczność prof. Maciej Żylicz, prezes FNP, otwierając tegoroczną uroczystość. Mówił o tym, kim są tegoroczni laureaci START-u.

Zostali wybrani z grona 641 kandydatów, co oznacza, że współczynnik sukcesu w tegorocznym konkursie wyniósł 15,6%. Stopień doktora posiada 34 nagrodzonych, po połowie kobiet i mężczyzn. Tymczasem w Polsce przeciętny wiek uzyskiwania doktoratu wynosi ok. 35 lat. Łączna kwota przeznaczona przez FNP na stypendia w 32. konkursie programu START to ponad 3 mln zł.

Najwięcej nagrodzonych w tym roku badaczy i badaczek reprezentuje nauki biologiczne, medyczne i nauki o Ziemi – 30 stypendiów. Na kolejnych miejscach są reprezentanci: nauk chemicznych i nauk o materiałach – 25 stypendiów; nauk humanistycznych i społecznych – 20 stypendiów; nauk technicznych – 14 stypendiów; nauk fizycznych i matematycznych – 11 stypendiów. – To nowa sytuacja – zauważył prof. Żylicz. – Gdy po raz pierwszy wręczałem stypendia, większość laureatów reprezentowała nauki ścisłe: fizykę i matematykę.

Największa liczba laureatów pochodzi – ponownie – z Uniwersytetu Warszawskiego (16 stypendystów). Na drugim miejscu znalazła się Politechnika Wrocławska (13 stypendystów), a na trzecim Uniwersytet Jagielloński w Krakowie (11 stypendystów). Po 5 stypendystów mają Uniwersytet Wrocławski i Politechnika Gdańska. Najwięcej

stypendystów pracuje w instytucjach warszawskich – 30, we Wrocławiu – 21 i w Krakowie – 16. Po 7 stypendystów jest z Gdańska i Poznania. – Jednak nasi laureaci reprezentują też mniejsze ośrodki, spoza tych wielkich metropolii. Tam też rozwija się wspaniale nauka – podkreślał prof. Żylicz. Tegoroczni laureaci związani są z uczelniami (86, z czego 28 reprezentuje politechnikę), instytutami PAN (10), instytutami badawczymi (3), a jeden z firmą badawczą.

– Stoicie przed ważną decyzją: co dalej? Jako naukowcy jesteście pasjonatami. Ciężko będzie niezależnie od tego, co wybierze. Satysfakcja z wykonywania pracy naukowej jest ogromna i rekompensuje niedogodności, których doświadczają zwłaszcza młodzi badacze na początku kariery naukowej – mówił prof. Żylicz. Zauważył, że obecny system oceny i finansowania nauki nie promuje jakości. Należy go zmienić tak, by promował jakość, by optała się być dobrym. – Czy jest recepta na sukces w nauce? – pytał prezes FNP – Nie ma. Każdy robi to po swojemu. Ale własne spojrzenie na otaczający świat jest chyba największym sukcesem w każdej pracy, także naukowej. Nie publikujcie słabych prac, szkoda czasu. Tępcie nieprawdy lub półprawdy, wyrażajcie odważnie swoje opinie na tematy, w których się specjalizujecie – prof. Żylicz przypomniał słowa noblisty Richarda Feynmana wypowiedziane dawno temu na Uniwersytecie Stanforda. – W ten sposób spłacimy dług, jaki zaciągnęliśmy u społeczeństwa, które łoży na nasze wykształcenie i badania.

Prof. Tomasz Guzik, przewodniczący Rady FNP, uznał, że wręczenie stypendiów START jest najważniejszą uroczystością Fundacji, bo ono definiuje przyszłość polskiej nauki. Sukces laureatów jest sukcesem ich rodzin, które wspierają pasję i trudną drogę stypendystów. Przypomniał, że sam jest laureatem programu START, podobnie jak obecny na sali wiceminister nauki Andrzej Szeptycki. – Bycie naukowcem to najlepszy zawód, jaki można wykonywać. Nasz zawód to nasze hobby. To niesie pewną cenę – nawet gdy zasypiamy, wciąż myślimy o pracy, nigdy nie przestajemy pracować. Drugim pozytywnym naszej pracy jest to, że mamy przyjaciół na całym świecie, to unikalne dla tego zawodu. Nie pozwólcie zaniknąć tej pasji, która państwa dzisiaj tu zaprowadziła – mówił przewodniczący Rady FNP, który jest także laureatem Nagrody Fundacji.



Fot. Paweł Kula

Od 2009 r. Fundacja w programie START przyznaje także wyróżnienia kandydatom i kandydatkom, których osiągnięcia badawcze zostały ocenione przez recenzentów konkursu jako wybitne. Ich stypendia są podwyższone do kwoty 38 tys. zł. W tym roku otrzymali je: mgr inż. Elżbieta Wątor z Małopolskiego Centrum Biotechnologii UJ (Grupa badawcza Maxa Plancka) – nauki przyrodnicze i medyczne; dr Justyna Kocik-Król z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie – nauki chemiczne i o materiałach; dr inż. Erwin Wojtczak z Politechniki Gdańskiej – nauki techniczne i ścisłe oraz mgr Michał Nowakowski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II – nauki humanistyczne i społeczne.

W programie START przyznawane jest również Stypendium im. Barbary Skargi osobie, której badania wyróżniają się odważnym przekraczaniem granic pomiędzy różnymi dziedzinami nauki, otwierają nowe perspektywy badawcze i tworzą nowe wartości w nauce. Tegoroczną laureatką stypendium została dr Anna Dobrowolska z Wydziału Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Od roku 2015 r. FNP w programie START przyznaje wyróżnienie im. prof. Adama Sobiczewskiego. Może je otrzymać laureat prowadzący badania naukowe w dziedzinie matematyki, fizyki teoretycznej bądź astronomii, a głównym kryterium wyróżnienia jest wyjątkowo wysoka jakość dorobku naukowego kandydata. W tym roku otrzymał je mgr Piotr Ostropolski-Nalewaja z Wydziału Matematyki i Informatyki Uniwersytetu Wrocławskiego.

W bieżącym konkursie po raz trzeci przyznane zostało stypendium z wyróżnieniem im. prof. Wacława Szybalskiego, przeznaczone dla młodego naukowca prowadzącego badania w dziedzinach nauki uprawianych przez fundatora, czyli biotechnologii, genetyce lub biologii molekularnej. Stypendium otrzymał mgr Piotr Włodzimierz z Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN w Warszawie.

– Macie już buławy w plecaku. Możecie teraz zostać, kim chcecie: profesorami, ministrami, laureatami Nagrody FNP – mówił na zakończenie uroczystości prof. Maciej Żylicz. I przypomniał skąd się biorą środki na stypendia START. Od 2004 roku są finansowane z pieniędzy uzyskanych przez FNP z odpisu 2% środków z prywatyzacji jednoosobowych spółek Skarbu Państwa. W ten sposób w latach 2003-2004

pozyskała ona 52 mln zł. – Te środki pracują na państwa stypendia – zapewniał prezes FNP. Kolejnymi źródłami finansowania stypendiów są darowizny przekazywane przez prywatnych darczyńców. – Prof. Barbara Skarga przekazała na te stypendia całą rekompensatę, jaką dostała za czas młodości spędzony w sowieckich łagrach. Była blisko związana z Fundacją i otrzymała honorowe odznaczenie FNP – przypomniał prezes FNP. Prof. Adam Sobiczewski, fizyk jądrowy, współodkrywca (z naukowcami z Niemiec) nowego pierwiastka copernicium 112, darował Fundacji milion złotych, które przeznaczono na stypendia z dziedziny fizyki, astrofizyki i matematyki. Prof. Wacław Szybalski, biolog molekularny, który pracował w Stanach Zjednoczonych, przekazał FNP część swojego spadku. Dokładają się też inne prywatne osoby i firmy. W końcu FNP przeznacza na ten cel pieniądze uzyskane z odpisu 1,5% podatku dochodowego od osób fizycznych – to 60 tys. zł rocznie.

Stypendia START są przyznawane przez FNP od 1993 r. Do 2024 r. włącznie Fundacja nagrodziła 3,5 tys. młodych badaczy, przyznając 4136 stypendiów (w latach 2002-2015 istniała możliwość otrzymania stypendium START dwukrotnie). Łączna wartość wszystkich stypendiów wynosi ponad 96,5 mln zł.

Program START oferuje również dodatkowe finansowanie (stypendium wyjazdowe) na wyjazd studyjny do zagranicznego ośrodka naukowego oraz możliwość wzięcia udziału wybranych stypendystów w spotkaniu z noblistami w niemieckim Lindau.

Stypendyści i stypendystki programu START są wybierani w drodze wieloetapowego konkursu, w którym jakości ich dotychczasowego dorobku naukowego, udokumentowana patentami lub publikacjami w uznanych polskich i zagranicznych periodykach naukowych, oceniana jest przez uczonych będących autorytetami w swoich dziedzinach. Ostateczne decyzje o przyznaniu stypendium podejmuje zarząd FNP, a zatwierdza je Rada Fundacji.

Nabór wniosków do kolejnego konkursu START rozpocznie się jesienią br.

(DW, PK)

Pełną listę nagrodzonych można znaleźć na stronie internetowej www.fnp.org.pl.



UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI
W KRAKOWIE



INSTYTUT SPRAW PUBLICZNYCH



Studia Podyplomowe Zarządzanie w szkole wyższej - Menedżer szkoły wyższej

dwie specjalności:

Menedżer procesu

Menedżer projektu

więcej informacji:

<https://isp.uj.edu.pl/studia/studia-podyplomow/zarzadzanie-w-szkole-wyzszej-menedzer-szkoly-wyzszej>

Rekrutacja trwa do 19.09.2024!

www.isp.uj.edu.pl

www.facebook.com/isp.uj/

Szczecińska nauka bez retuszu

Dr hab. Maciej J. Nowak, prof. ZUT, kierownik Katedry Nieruchomości na Wydziale Ekonomicznym Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie i prezes Szczecińskiego Towarzystwa Naukowego, przedstawia konteksty uprawiania nauki w tamtejszym środowisku naukowym, a w tym kontekście zadania, jakie stoją przed kierowaną przez niego organizacją badaczy.

Jest lipiec roku 1945 w Szczecinie. Niedobitki wojsk niemieckich podejmują akcje dywersyjne. Pierwszy prezydent miasta, Piotr Zaremba, pisząc o tamtym czasie, wspominał chociażby ogromną falę pożarów rozpełtaną jednocześnie w wielu częściach miasta. Funkcjonowało zarówno kryminalne podziemie, jak i rozwinięte szabrownictwo. Do tego dochodziło wyzwanie związane z całościową wymianą mieszkańców: Niemców zastępowali przyjeżdżający z innych części kraju Polacy. Miasto musiało na nowo wypracować nie tylko warunki bezpieczeństwa, ale także swoją nową tożsamość. W tym samym 1945 podjęto prace nad powołaniem pierwszej szczecińskiej szkoły wyższej. Akademia Handlowa zaczęła funkcjonować już w 1946 roku. W tym samym roku powołano Szkołę Inżynierską (przyszłą Politechnikę Szczecińską), a w roku 1948 Akademię Lekarską (dzisiejszy Pomorski Uniwersytet Medyczny). Po kilku latach, w roku 1954, zaczęła również funkcjonować Wyższa Szkoła Rolnicza (późniejsza Akademia Rolnicza w Szczecinie). Z perspektywy organizacyjnej uczelnie trochę się zmieniały i uzupełniały: za szczególnie istotne uznać można powołanie w roku 1963 Państwowej Szkoły Morskiej (dzisiejszej Politechniki Morskiej), a w latach 80. XX wieku Uniwersytetu Szczecińskiego.

Punkt startowy szczecińskich uczelni był trudny. Ich pracownicy żyli zupełnie innymi problemami niż uczeni z Warszawy lub Krakowa. W swych powojennych dziennikach Karol Estreicher opisuje swoje krakowskie zmagania o odtworzenie Collegium Maius oraz wylewa żale związane z likwidacją Polskiej Akademii Umiejętności. Niemniej Kraków intensywnie uczestniczył w dyskusji o nauce, pomimo licznych ograniczeń i utrudnień, zwłaszcza tych natury politycznej. Trochę inaczej wyglądało to wówczas w uczelniach oddalonych od centrum. Najważniejsze było zorganizowanie możliwie dobrych warunków lokalowych, angażowanie wykładowców – na początku nie było ich zbyt wielu – oraz pozyskiwanie chociaż podstawowej aparatury badawczej i dydaktycznej.

Przykłady niektórych tego rodzaju barier zawarto w najnowszej, opracowanej przez prawie trzydziestu szczecińskich naukowców monografii *Wybitni szczecińscy naukowcy. Wybrane sylwetki* (M. Nowak, K. Kojder red., Volumina.pl, Szczecin 2024). Przywołajmy na przykład losy prof. dr. hab. inż. Józefa Kępińskiego, wybitnego chemika, który wywarł ogromny wpływ na rozwój szczecińskiej nauki. Został sprowadzony do Szczecina z Politechniki Warszawskiej. Niezależnie od pracy naukowej musiał liczyć się z tym, że laboratoria i sale wykładowe budowano praktycznie od zera, a jego współpracownicy stopnie naukowe musieli zdobywać w innych niż Szczecin ośrodkach, upłynęło bowiem dużo czasu zanim szczecińskie uczelnie zaczęły uzyskiwać odpowiednie uprawnienia. Były również bariery natury politycznej. Oczywiście, środowisko szczecińskie nie uczestniczyło w wydarzeniach politycznych w takim zakresie i stopniu jak ich warszawscy czy krakowscy koledzy. Ale nie zmienia to faktu, że polityka była czynnikiem utrudniającym rozwój nauki. Przykładem może być dorobek prof. dr. hab. n. med. Erwina Mozolewskiego. Zajmował się między innymi przetokami alloplastycznymi, zakładanymi po całkowitym usunięciu krtni. W roku 1972 zaproponował specjalną protezę. Podobna, opracowana później

przez naukowców ze Stanów Zjednoczonych, została znacznie szerszej rozpropagowana. Polska była izolowana politycznie i także w związku z tym szanse przebicia się pomysłowi Mozolewskiego były mniejsze. Niemniej w aktualnym piśmiennictwie coraz częściej podkreśla się pierwszeństwo jego pomysłu. Inny przykład to kariera prof. Leona Babińskiego, wybitnego przedwojennego prawnika (zajmującego się prawem międzynarodowym), który po wojnie osiadł w Szczecinie. Zwłaszcza w latach 50. pojawiły się problemy dotyczące uznania przedwojennego dorobku (i przedwojennej formy zatrudnienia) przy okazji przyznawania prof. Babińskiemu tytułu profesora nadzwyczajnego Wyższej Szkoły Ekonomicznej. W roku 1954 odbyło się posiedzenie Senatu uczelni, w trakcie którego odpytywano uczonego ze spraw nieistotnych z perspektywy naukowej, weryfikując zwłaszcza poprawność ideologiczną jego postawy. Prof. Babiński został w tym miejscu przywołany również z innego powodu. Jest to pierwszy prezes powołanego w roku 1956 Szczecińskiego Towarzystwa Naukowego. Orga-

nizacja ta przez wiele lat intensywnie działała, integrując środowisko naukowe i choćby częściowo zmniejszając ograniczenia wynikające ze wspomnianych wcześniej barier i problemów.

Współcześnie szczecińskie środowisko naukowe dotykają te same problemy, co inne ośrodki. Z jednej strony, można zwrócić uwagę na poważne osiągnięcia. Bardzo silną pozycję (całościowo) zajmuje Wydział Technologii i Inżynierii Chemicznej Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego. Jego liczni pracownicy aktywnie publikują, zajmując wyraźną pozycję w skali międzynarodowej. Przykładów można podawać wiele, chociażby prof. dr. hab. inż. Antoni Morawski, prof. dr. hab. inż. Mirosława El Fray, prof. dr. hab. inż. Ewa Mijowska. Wiele dynamicznych ośrodków badawczych funkcjonuje również na Pomorskim Uniwersytecie Medycznym w Szczecinie. To choćby zespoły profesorów Jana Lubińskiego czy Miłosza Parczewskiego, by przywołać ważne, kluczowe, niewyczerpujące z perspektywy całościowej charakterystyki przykłady. Można wymieniać również licznych młodych, rozwijających się naukowców, często jeszcze przed uzyskaniem stopnia doktora habilitowanego, z ponadprzeciętnymi osiągnięciami z zakresu między innymi biotechnologii, inżynierii chemicznej, technologii żywności, inżynierii mechanicznej, nauk biologicznych czy nauk farmaceutycznych.

Z drugiej strony występuje też sporo słabości. Często wynikają one z braku dostatecznej determinacji niektórych pracowników naukowych w zakresie zaangażowania w naukę. Niewątpliwie w niektórych dyscyplinach zauważalna jest presja kierowników jednostek w zakresie dopisywania ich do artykułów przygotowywanych przez zespoły, nawet jeżeli nie wnieśli oni żadnego wkładu lub był on znikomy. Wskazane powszechne choroby polskiego, bo nie tylko szczecińskiego, życia akademickiego to również konsekwencja obecnego systemu ukierunkowującego naukowców na „punktowo – slotowe” wyniki, ważne z perspektywy administracyjnej, ale mające się nijak do realnej perspektywy naukowej. Naukowcy powinni nie tylko rozumieć słabość perspektywy administracyjnej, ale także nie koncen-



trować się na niej nadmiernie. Jeżeli podejmują aktywność naukową, wszelakie sloty i punkty wypełnią się przecież same.

Po charakterystyce kontekstu historycznego oraz silnych stron i zagrożeń, warto zaproponować kierunki pracy. Główna rekomendacja jest jedna – dalszy intensywny rozwój naukowy. W całej Polsce mamy pewien problem ze sformułowaniem właściwej narracji na ten temat. Jakże chętnie jako naukowcy mimowolnie wpadamy w jałowe dyskusje dotyczące zróżnicowanych aspektów sfery biurokratycznej. W ten sposób tracimy czas i siły potrzebne na to, co kluczowe, czyli pracę naukową. Powracanie do tego, co jest z perspektywy nauki najważniejsze, to zadanie dla środowisk naukowych we wszystkich ośrodkach, również w szczecińskim.

Niezależnie od powyższego należy kontynuować myśl prof. Leona Babińskiego i innych założycieli Szczecińskiego Towarzystwa Naukowego: kluczowa jest szeroka integracja środowisk naukowych w każdym mieście. Zdecydowanie musi ona przekraczać bramy konkretnych uczelni. Umożliwi to zarówno dalszą, także interdyscyplinarną współpracę, jak również identyfikację obszarów badawczych ważnych z perspektywy miasta/regionu. W przypadku Szczecina mogą to być zagadnienia zróżnicowanych uwarunkowań rozwoju przestrzeni stolicy województwa zachodniopomorskiego, specyfiki i wyzwania zagospodarowania obszarów nadmorskich, choćby w kontekście podnoszenia poziomu morza i jego konsekwencji, jak też specyfiki rozwoju obszarów przygranicznych. Badania dotyczące specyfiki regionalnej nie mogą być jednak parawanem dla analiz cząstkowych, bez ambitnych prób wpisania ich w szerszą, uniwersalną dyskusję naukową.

Czasami w dyskusji na temat różnych ośrodków naukowych pojawiają się głosy o zróżnicowaniu szans i możliwości. Nie do końca zga-

dzam się z takim stanowiskiem. Zróżnicowanie rzeczywiście występowało w okresie komunizmu, kiedy szczecińskie uczelnie właściwie musiały budować całą swoją substancję materialną i personalną od początku. Jednak teraz nasze szanse zależą przede wszystkim od indywidualnego podejścia naukowego i pasji w realizacji wyznaczonych celów i założeń. W najnowszej dyskusji o polskiej nauce zasugerowany został podział na „aspirujące centrum” i „zadowoloną prowincję”. Przedstawiciele tego pierwszego podejmują próby możliwie najszerszego włączenia w ambitnie realizowaną naukę. Ci drudzy mają z kolei wyrażać zadowolenie z realizowanych w znacznie bardziej ograniczonym zakresie badań. O ile rzeczywiście częściowo taki podział wśród polskich naukowców istnieje, o tyle trudno przekładać go na konkretne ośrodki geograficzne. Pod tym względem występuje spore zróżnicowanie.

Właśnie promowanie prawdziwie naukowego, a nie biurokratycznego – punktowego, podejścia do nauki stanowi również jedno z kluczowych zadań nowych władz Szczecińskiego Towarzystwa Naukowego. Pamiętając o ważnej tradycji i związanym z nią dorobku, władze towarzystwa zamierzają w bieżącej kadencji organizować (potencjalnie interesujące również dla ośrodków spoza Szczecina) seminaria i posiedzenia naukowe. Kluczowym elementem działalności będzie również integracja naukowców z różnych uczelni i dyscyplin. Wspomniany powyżej prof. Karol Estreicher, walcząc o Polską Akademię Umiejętności, słusznie wskazywał na konieczność funkcjonowania w skali rozwiniętych akademicko miast wspólnych instytucji nastawionych na pogłębioną refleksję naukową. Mam nadzieję, że ten cel uda się nam zrealizować również na Pomorzu Zachodnim dzięki odrodzeniu działalności Szczecińskiego Towarzystwa Naukowego.

Nowe oblicze ewaluacji

W najbliższych tygodniach mamy poznać nowe zasady oceny publikacji naukowych. To jeden z elementów ewaluacji jakości działalności naukowej. Zanim do tego dojdzie, efekty swoich prac przedstawił Zespół doradczy przy prezie PAN. Jego zadaniem było wypracowanie reguł oceny zgodnie z zapisami Agreement on reforming Research Assessment (PAN jest sygnatariuszem tej umowy).

Gremium kierowane przez prof. Andrzeja Jajszczyka zarekomendowało ewaluowanie jednostek naukowych, a nie dyscyplin oraz zastąpienie obecnej oceny opartej na wskaźnikach bibliometrycznych ekspercką oceną środowiskową (peer review). Objęłaby ona m.in. publikacje wskazujące na ważne osiągnięcia naukowe, wpływ jednostki na gospodarkę i społeczeństwo, tworzenie narzędzi badawczych czy ważne prace dokumentacyjne. Dokonywałyby jej profesjonalnie wybrane zespoły międzynarodowe. – Ponieważ eksperckie ocenianie wszystkich jednostek pochłonęłoby ogromne koszty, takiej ocenie będą podlegały tylko jednostki najlepsze, kwalifikowane na podstawie uzyskiwanych dotychczas funduszy z grantów – wyjaśnia szef Zespołu.

Jednostki plasujące się niżej w rankingu krajowym nie byłyby oceniane, a ich finansowanie składałoby się z części stałej, zależnej od liczby zatrudnionych pracowników naukowych, oraz części zmiennej, związanej z sukcesami w zakresie pozyskiwania grantów na badania naukowe.

Za kluczową członkowie Zespołu uznają transparentność kryteriów oceny. Muszą one być jasne i znane przed rozpoczęciem procesu ewaluacji oraz pozostać stabilne w ciągu całego okresu raportowania. W ramowej propozycji nowego systemu podkreślono, że w procesie ewaluacji wyników badań konieczne jest równe traktowanie wszystkich rodzajów instytucji naukowych. W przypadku

pracowników uczelni (w porównaniu z instytutami PAN) autorzy dopuszczają możliwość mniejszej liczby wymaganych publikacji (per capita), ale zastrzegają, że nie oznacza to przyzwolenia na obniżenie jakości prowadzonych badań. Ewaluacja instytutów PAN wedle zarysowanej koncepcji miałaby służyć identyfikacji i wsparciu jednostek osiągających wyniki na światowym poziomie, a jednocześnie wskazaniu tych, które nie spełniają oczekiwanych kryteriów i wymagają restrukturyzacji.

Nowością w zaprezentowanych założeniach miałyby być fundusz uzupełniający tworzony z części środków uzyskanych przez daną jednostkę naukową z przyznanych dla badaczy grantów. Autorzy optują za tym, by było to nie mniej niż 50% sumy uzyskanych grantów, liczonej bez aparatury badawczej.

– To nie gotowy system ewaluacji, a jedynie propozycja ramowa, która wymaga dopracowania szczegółów. Przy braku rozwiązań idealnych zaproponowaliśmy kompromisowe, które zadziała jedynie przy znacznym podniesieniu nakładów na naukę. Bez tego nie tylko się nie sprawdzi, ale nawet pogłębi patologie. Nie mamy jednak pomysłu na sensowną ewaluację przy obecnym poziomie finansowania – podsumowuje prof. Jajszczyk.

Oprócz niego w skład zespołu wchodzi: prof. **Janusz M. Bujnicki** (Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie), prof. **Agnieszka Chacińska** (Międzynarodowy Instytut Mechanizmów i Maszyn Molekularnych PAN), prof. **Justyna Olko** (Uniwersytet Warszawski), dr hab. **Piotr Sankowski** (IDEAS NCBR) i prof. **Maciej Żylicz** (Fundacja na rzecz Nauki Polskiej).

MK

Bizancjum nad Rawą

Pogardliwy stosunek do Bizancjum to efekt jednej z najdłuższych propagandowych akcji w dziejach Europy, zapoczątkowanej jeszcze w średniowieczu. Dwulicowi Grecy (sic!), pławiący się w luksusie, żyjący intrygami, bezproduktywnymi teologicznymi rozważaniami, przekazujący sobie władzę w drodze morderstw raczej niż dziedziczenia. Polacy też swoje dołożyli, bo Jan Długosz, wspominając o upadku Konstantynopola, pisał „we wspomnianym mieście Konstantynopolu ustanowili domy publiczne z młodymi chłopcami” (cała jego wypowiedź brzmi jak anonimowy zacietrzewiony komentarz). Określenie *bizantyjski* (czasem pojawiające się po polsku w wersji *bizantyjski*) pod wpływem wybitnych postaci Oświecenia, które w kwestii Bizancjum aż tak oświecone nie były (jak stwierdził pewien brytyjski uczyony), w niemal wszystkich europejskich językach zaczęło oznaczać nadmierny luksus, nadmierną biurokrację, bezcelowe dyskusje. Język polski nie był tu wyjątkiem, chociaż coś nas w tej niechęci wyróżniało – na terenach pod rosyjskimi zaborami Bizancjum utożsamiono z Rosją. Jak celnie napisał Jerzy Axer: „Bizancjum miało twarz Moskala”. Wybudowany na placu Saskim – i po odzyskaniu niepodległości zburzony – ogromny sobór pod wezwaniem św. Aleksandra Newskiego, dziewiętnastowieczna wersja Pałacu Kultury i Nauki, był nazywany „bizantyjskim tortem”.

Niedawny „renesans” Bizancjum w polskim dyskursie politycznym jest zaskakujący i zasadniczo bezprzedmiotowy: ani bizantynistyka nie stała się nagle szczególnie modna, ani nie odnowiły się polskie skojarzenia Rosja–Bizancjum (co akurat miałyby sens, bo rosyjska propaganda nader chętnie korzysta z odwołań do Bizancjum). *Bizantyjski* był określeniem tak samo rzadko używanym, jak *jezuicki* (w znaczeniu przewrotny, dwulicowy). Nie umiem wyjaśnić tego fenomenu, wyjątkowego, wedle mojej wiedzy, na tle całej Europy, wliczając w to kraje, które miały kulturowe czy religijne związki z Bizancjum.



Lekcjonarz bizantyjski Jaharis, ok. 1100 r.

Finansowanie badań nad Bizancjum, których celem byłoby wytlumaczenie politykom, że w Cesarstwie istniała niezwykle sprawna administracja, jego władcy preferowali rozwiązania dyplomatyczne, jeśli można było uniknąć wojny, nie palono tam czarownic, nie urządzano procesów zwierząt, nie zamęczano ich ku uciesze gawiedzi, mogłoby być przesadą. A zatem – po co?

Wschodniego Cesarstwa, Rzymian i Polski nigdy nie łączyły bezpośrednie stosunki, to prawda. Ale już pośrednie jak najbardziej: Kaplica Trójcy Świętej w Lublinie została ozdobiona na zlecenie Jagiełły malowidłami w stylu bizantyjskim, obraz Czarnej Madonny w Częstochowie to tak naprawdę ikona w typie hodogetrii (wskazującej drogę), nieszczęsną bitwą pod Warną była częścią nieudanej próby pomocy upadającemu Konstantynopolowi. Mikołaj Kopernik przetłumaczył na łacinę fikcyjne listy autorstwa bizantyjskiego historyka Teofilakta Symokatty (choć dla niego był to autor grecki), a w siedemnastym wieku niejaki Stanisław Witkowski przełożył na język polski utwór najwybitniejszego XII-wiecznego bizantyjskiego poety, Teodora Prodromosa; zgodnie z praktykami epoki przerobił go na tekst o zgodzie i zadedykował Stanisławowi Stadnickiemu, „Diabłu z Łańcuta”. Romantycy wieszczę także interesowali się Bizancjum, Baladyna opisana jest jako księżniczka moźnej Trebizondy (ostatniego post-bizantyjskiego państwa), itd. itp.

Jeśli grecko-rzymska przeszłość była fundamentem cywilizacji, to Bizancjum było zarówno pomostem pomiędzy tym fundamentem a renesansem, jak i kulturą, która sama w sobie była fascynująca. Praktycznie cała literatura grecka, którą znamy (z różnymi papirusowymi wyjątkami), istnieje, bo przepisali ją bizantyjscy skrybowie (czasem też coś poprawili i dopisali). Ale Bizantyńczycy to nie tylko literatura przepisywaczy (w XIX wieku mówiono: bibliotekarzy). Literatura bizantyjska jest zabawna (są w niej gadające myszy, filozofujące szakale), obraźliwa (Bizantyńczycy byli mistrzami inwektyw), ale też przejmująca (jak w przypadku opisu zdobycia Salonik przez Normanów w XII wieku). Wśród bizantyjskich autorów jest jedyna średniowieczna historyczka (Anna Komnena).

Bizancjum nie ma bezpośredniego politycznego dziedzica (Grecy bardzo długo nie lubili swojej bizantyjskiej przeszłości), ale polityczne i społeczne konsekwencje istnienia wschodniego odłamu chrześcijaństwa (ortodoksji) są odczuwalne do dzisiaj. Amerykański politolog, Samuel P. Huntington, sformułował nawet nieco uproszczoną teorię „zderzenia cywilizacji”, twierdząc, że źródłem przyszłych konfliktów będą różnice kulturowe i religijne. Jedną z cywilizacji, które opisał, był krąg prawosławny obejmujący kraje z bizantyjskiego kręgu cywilizacyjnego (są zresztą polscy badacze, którzy twierdzą, że Huntington spłagiatował teorię Feliksa Koniecznego, który wprost wyróżniał „cywilizację bizantyjską”).

Polska bizantynistyka (zwana też bizantynologią) ma bogatą i długą tradycję. Pierwsza katedra historii Bizancjum powstała w Warszawie w 1935 roku, a teksty Leona Sternbacha (1864-1940), ojca polskiej bizantynistyki, są nadal powszechnie cytowane przez badaczy na całym świecie. Chociaż w Polsce nie da się studiować bizantynistyki jako osobnej dyscypliny, to mamy zarówno wielu znakomitych badaczy Cesarstwa (historyków i historyków sztuki), jak i liczące się centra („Ceranum” na Uniwersytecie Łódzkim). Ponieważ znaczna część literatury bizantyjskiej została napisana w języku starogreckim (niesamowicie to były czasy, kiedy umiejętności filologa klasycznego były warunkiem zatrudnienia na dworze cesarskim, czy w państwowej administracji), wielu bizantynistów studiowało właśnie filologię klasyczną.

Specyfika Uniwersytetu Śląskiego, gdzie w kwietniu tego roku powołano Centrum Badań nad Bizancjum, polega na tym, że spe-

cializujemy się w badaniach literatury bizantyńskiej, szczególnie tej późniejszej. Dzięki projektom Narodowego Centrum Nauki mogliśmy zatrudnić pracowników (w tym zagranicznych), tworząc rozpoznawalny międzynarodowo zespół. Romuald Pawlak w powieści *Armia ślepców* (2007) opisuje Śląsk, który stał się prowincją Wiecznego Cesarstwa Bizancjum. Bizantyńscy okupanci wyburzają Spodek, żeby na jego miejscu zbudować pałac logotety (wysokiego rangą urzędnika). Mamy nieco skromniejsze plany (poza tym lubimy Spodek). W listopadzie zainaugurujemy oficjalnie działalność międzynarodową konferencją o bizantyńskim stosunku do przyrody, którą współorganizujemy w Moguncji z Uniwersytetem Jana Gutenberga (dzięki uprzejmości niemieckiego podatnika).

Ponieważ głęboko wierzę również w to, że nasza rodzima literatura zasługuje na upowszechnianie za granicą (i że możliwe jest pisanie

o literaturze polskiej po angielsku, tak jak możliwe jest pisanie o literaturze niemieckiej po francusku), w centrum zainteresowania naszego Centrum jest też recepcja Bizancjum w literaturze polskiej. A jest takich utworów, czasem zupełnie zapomnianych, zaskakująco dużo.

Hieronim Wolf (1516–1580), który zapewne jako pierwszy użył terminu „bizantyński” na określenie Wschodniego Cesarstwa, na zlecenie rodziny Fuggerów z Augsburga zajął się wydawaniem dzieł bizantyńskich historyków. Zainteresowanie bizantyńskimi autorami miało (również dla niemieckiego podatnika) bardzo pragmatyczny wymiar, w ich tekstach szukano odpowiedzi na pytanie, jak radzić sobie z tureckim zagrożeniem. Badanie przeszłości się opłaca.

Przemysław T. Marciniak, Uniwersytet Śląski

Odwołanie rzecznika dyscyplinarnego ministra

W połowie maja br. minister Dariusz Wieczorek podjął bezprecedensową decyzję, odwołując jednego z dwudziestu ośmiu rzeczników dyscyplinarnych ministra. Wśród nich jest 14 prawników z dyplomem i 14 doktorów habilitowanych lub profesorów z każdej z dziedzin nauki. Odwołany to prof. dr hab. inż. Zbigniew Frąckiewicz (ur. 1951 r.), inżynier elektryk z wykształcenia, ostatnio zatrudniony w niepublicznej Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Bielsku Białej. Ta niewielka uczelnia prowadzona jest rodzinnie (Mareccy).

Zadaniem rzeczników ministra jest działanie wyłącznie na jego polecenie i prowadzenie wyjaśniających postępowań dyscyplinarnych przeciwko rektorom, przewodniczącym i członkom komisji dyscyplinarnych, którym zarzuca się naruszenie przepisów lub delikt dyscyplinarny. Prof. Frąckiewicz mieszka w Szczecinie i przez wiele lat był profesorem Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego. Odszedł z niego dobrych kilka lat temu, przechodząc na emeryturę po przegranych wyborach rektorskich, w których był konkurentem obecnego rektora ZUT, dr. hab. Jacka Wróbla.

Pamiętam go, jak walczył w WSA/NSA z minister Barbarą Kudrycką o dostęp do nazwisk recenzentów swojego grantu, który nie dostał finansowania. Wygrał, ale zrobił niedźwiedzią przysługę środowisku akademickiemu, gdyż w reakcji na tę sytuację ministerstwo szybko wprowadziło poprawkę do ustawy, mówiącą, że ocena grantów jest „tajemnicą przedsiębiorcy”. Stąd od lat nie można do niczego dojść nawet drogą dostępu do informacji publicznej.

Ostatnio miałem kontakt z prof. Frąckiewiczem, gdy bez żadnych podstaw prawnych zaangażował się w proces unieważnienia przewodu habilitacyjnego dr. hab. Rafała Wróbla (patrz artykuł *Szczecińska habilitacja na niemieckim doktoracie*, FA 11/2023). Jako „Rzecznik Dyscyplinarny Ministra” występował zarówno do mnie, żądając informacji chronionych tajemnicą dziennikarską, jak i do dyrekcji Instytutu Katalizy i Fizykochemii Powierzchni PAN w Krakowie, z żądaniem ukarania prof. Małgorzaty Witko. Jest ona wybitną emerytowaną profesorką fizykochemii i była wieloletnią dyrektorką tego instytutu. Prof. Witko na prośbę rektora ZUT latem 2023 r. sprawdzała i oceniała, czy anonimowe doniesienie uczelnianego sygnalisty, zarzucające Rafałowi Wróblowi plagiat doktoratu p. Beckera z Magdeburga i przeniesienie jego wyników do swojej habilitacji z 2014 r. jest prawdziwe. W formalnej opinii potwierdziła, że większość rysunków w szczecińskiej habilitacji jest identyczna z tymi w niemieckim doktoracie. Przewód habilitacyjny wznowiono, a wydział podzielił się na dwa obozy: jeden sto-

jący murem za habilitantem i utrzymaniem stopnia, drugi za odebraniem go. Prof. Frąckiewicz zarzucił publicznie prof. Witko popełnienie licznych błędów, starając się podważyć i zdyskredytować jej opinię, podpisując się jako „Rzecznik Dyscyplinarny Ministra”. W końcu zarzucił jej plagiat, twierdząc, iż przepisała zarzuty sygnalisty i tylko je potwierdziła. Niedorzeczność tych oskarżeń jest bezsporna, ale prof. Frąckiewicz w lutym 2024 r. zażądał od krakowskiego instytutu przeprowadzenia dyscyplinarnego postępowania wyjaśniającego wobec prof. Witko, podpisując się pod wnioskiem jako „Rzecznik Dyscyplinarny Ministra”. Interweniował także u prezesa PAN. Dlatego w Krakowie postępowanie w końcu podjęto, ale i szybko umorzono, nie znajdując podstaw do postawienia jakiegokolwiek zarzutów byłej dyrektorce. Trudno opowiedzieć, ile stresu miała z tego powodu prof. Małgorzata Witko.

„Rzecznik Dyscyplinarny Ministra” wszedł też w Szczecinie w pole sporów o płace ZUT-owskiej „Solidarności” z rektorem Jackiem Wróblem. To przelało czarę cierpliwości rektora, który 22 kwietnia br. wystąpił do ministra Dariusza Wieczorka z zapytaniem, czy przeciwko niemu – rektorowi – jest prowadzone postępowanie dyscyplinarne, bo „Rzecznik Dyscyplinarny Ministra” podważa jego kompetencje w rozwiązywaniu sporu ze związkami zawodowymi w uczelni.

W odpowiedzi z 15 maja br. minister Wieczorek powiadomił rektora ZUT, że odwołuje prof. Zbigniewa Frąckiewicza z funkcji rzecznika dyscyplinarnego. Uzasadnił to tym, że ten, powołując się na swoją funkcję, zajmował stanowisko w kwestii wynagrodzeń nauczycieli akademickich i pracowników ZUT, co nie jest związane z jego obowiązkami, a jest wysoce niewłaściwe i nieetyczne, nie licujące z powierzoną funkcją.

To samo tłumaczyłem prof. Frąckiewiczowi, kiedy pisał do mnie na początku listopada 2023 r. jako „Rzecznik Dyscyplinarny Ministra”. Po dwóch listach przestał i mamy już normalny kontakt. Niestety, w stosunku do innych korespondentów, temperament nie pozwolił mu wycofać się z podpisywania się swoją odebraną już funkcją „Rzecznika Dyscyplinarnego Ministra”. Władza i wpływy zawsze pociągają ambitnych.

Marekwro@gmail.com

Dr hab. n. med. Marek Wroński jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Kaliskiego. Zajmuje się patologią nauki od 26 lat.

Podczas spotkania w Wojskowym Centrum Kształcenia Medycznego w dniu 27 maja minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz zapowiedział odtworzenie Wojskowej Akademii Medycznej. Wspólnie z wojewodą łódzkim, prezydent Łodzi oraz rektorem Uniwersytetu Medycznego w Łodzi podpisał list intencyjny w sprawie powstania w Łodzi takiej uczelni. Inicjatywa ta jest związana z rozwojem sił zbrojnych RP i zwiększeniem zapotrzebowania na wojskowych kadr medycznych, nie tylko lekarzy, ale także pielęgniarek i ratowników medycznych.

W latach 1958-2003 działała w Łodzi Wojskowa Akademia Medyczna. Cieszyła się sporą estymą i wybierali ją także ci kandydaci na lekarzy, których nie interesowała kariera wojskowa. Jednak na początku transformacji ustrojowej zaczęto zmniejszać nabory na lekarskie studia wojskowe. Doprowadziło to do włączenia uczelni w strukturę Akademii Medycznej w Łodzi, gdzie utworzono Wydział Wojskowo-Lekarski. Nabory wojskowych na ten wydział były niewielkie. Zaczęły rosnąć od 2016 roku. Ostatnio wyznaczono limit 200 miejsc.

„Aktualnie kształcenie lekarzy na potrzeby wojskowej służby zdrowia odbywa się w Kolegium Wojskowo-Lekarskim, znajdującym się w strukturach naszej uczelni. Współpracujemy w tym zakresie z Wojskowym Centrum Kształcenia Medycznego oraz Akademią

Wojsk Łądowych we Wrocławiu. W sumie studiuje u nas 724 studentów w mundurach” – tak prof. Radziśław Kordek, rektor UMŁ, opisał obecną sytuację w zakresie kształcenia lekarzy wojskowych w UMŁ.

W WCKMed rocznie szkoli się kilka tysięcy żołnierzy, w tym podchorążowie, którzy medycynę studiuje właśnie na Wydziale Wojskowo-Lekarskim UMŁ. Dawny szpital kliniczny WAM (teraz im. WAM) jest teraz jednostką UMŁ. Rektor poinformował, że dostał zapewnienie, że pozostanie on w strukturach uczelni. „(...)poza nazwą, placówka nie ma za wiele wspólnego z kształceniem wojskowym, stanowi natomiast kluczowy zasób w procesie kształcenia studentów naszego uniwersytetu – zarówno pod względem kadrowym jak i infrastrukturalnym. (...) szpital ten pełni kluczową rolę w zapewnieniu dostępu do świadczeń zdrowotnych dla mieszkańców Łodzi (...). Głównym przedmiotem uzgodnień między uczelnią oraz MON-em będzie natomiast infrastruktura przy Pl. Hallera” – napisał w swoim komunikacie.

Min. Kosiniak-Kamysz poinformował, że w MON trwają prace nad ustawą powołującą WAM. Jej projekt jeszcze w tym roku ma trafić pod obrady Sejmu.

(p)

Nowi profesorowie

10 czerwca 2024 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: Anna Branach-Kallas (UMK), Łukasz Michał Grabowski (UO), Bohdan Halczak (UZ), Katarzyna Kwapisz-Osadnik (UŚ), Halina Mielicka-Pawłowska (UJK), Mariusz Misztal (UPKEN), Aleksandra Niewiara (UŚ), Maciej Rak (UJ), Anna Maria Wasyl (UJ), Maciej Wróblewski (UMK)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: Wojciech Piotr Adamczyk (PŚ), Andrzej Baier (PŚ), Marcin Paweł Banach (PK), Sebastian Marcin Borucki (PO), Jan Broda (ATH), Agnieszka Barbara Generowicz (PK), Dariusz Leszek Kardaś (IMP PAN Gdańsk), Piotr Kielczyński (IPPT PAN), Piotr Krzysztof Kolasiński (PWr), Agnieszka Maria Kopia (AGH), Rafał Marcin Łukasik (Laboratório Nacional de Energia e Geologia, I.P., Portugalia), Małgorzata Czesława Matusiak (PŁ), Paweł Emil Ocloń (PK), Jolanta Pauk (PB), Stanisław Porada (AGH), Anna Rudawska (PL), Marek Salamak (PŚ), Mariola Barbara Saternus (PŚ), Marcin Henryk Struszczyk (ITB „MORATEX”), Sebastian Werle (PŚ), Ryszard Wójcik (AJP), Sławomir Artur Wronka (NCBJ), Piotr Robert Żabiński (AGH)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: Bogusław Antoszewski (UMŁ), Agata Magdalena Bielecka-Dąbrowa (UMŁ), Anna Bogacz (RCKiK Poznań), Anna Marta Brytek-Matera (UWr), Adam Andrzej Czaplicki (AWF Warszawa, filia Biała Podlaska), Jarosław Bogdan Cwikła (UWM), Izabela Domitrz (WUM), Dorota Paulina Formanowicz (UMP), Dorota Agnieszka Frydecka (UMWr), Karolina Anna Gerreth (UMP), Maciej Tadeusz Godycki-Ćwirko (UMŁ), Tomasz Gosiewski (UJ), Anna Maria Gotz-Więckowska (UMP), Iwona Gregorczyk-Maga (UJ), Grażyna Gromadzka (UKSW), Dorota Maria Hojan-Jezińska (UMP), Wojciech Piotr Jacheć (SUM), Aleksander Kempny (Royal Brompton Hospital, Londyn), Ewa Franciszka Kluczeńska (SUM), Ilona Anna Kopyta (SUM), Katarzyna Kotfis (PUM), Aida Kusiak (GUMed), Przemysław Leszek (NIKSKW-

-PIB Warszawa), Krzysztof Maćkała (AWFWr), Ewa Matuszczak (UMB), Łukasz Matuszewski (UML), Katarzyna Młyniec (UJ), Marta Pokrywczyńska (UMK), Iwona Edyta Rotter (PUM), Marcin Rylski (IPiN), Beata Maria Sas-Korczyńska (URz), Marta Stelmach-Mardas (UMP), Dominika Anna Szalewska (GUMed), Marek Szczepański (UMB), Robert Ślusarz (UMK), Rafał Wojciech Tarkowski (UML), Piotr Zbigniew Tyszko (IMW Lublin), Marek Ussowicz (UMWr), Karina Wierzbowska-Drabik (UMŁ), Magdalena Agnieszka Więcek (AWFKr)

NAUKI ROLNICZE: Witold Grzywiński (UPP), Ewelina Hallmann (SGGW), Piotr Jedziniak (PIW-PIB Puławy), Jolanta Kowalska (IOR-PIB Poznań), Radosław Kowalski (UPL), Joanna Leszczyńska (PŁ), Zbigniew Lipiński (IRZiB PAN), Radosław Mirski (UPP), Anna Piotrowska-Długosz (PB), Adam Roman (UPWr), Katarzyna Śliżewska (PŁ), Mariusz Witczak (URKr), Dorota Wrońska-Pilarek (UPP)

NAUKI SPOŁECZNE: Janusz Jacek Brzeszczyński (UŁ), Piotr Fiszedler (UMK), Marta Gancarczyk (UJ), Magdalena Grębosz-Krawczyk (PŁ), Zbigniew Romuald Kmiecik (UMCS), Anna Maria Matuszczak (UEP), Magdalena Musiał-Karg (UAM), Anna Dorota Pacześniak (UWr), Ewa Roszkowska (PB), ks. Piotr Stanisław (KUL), Monika Maria Urbaniak (UMP), Jacek Zieliński (UHP)

NAUKI ŚCIŚLE I PRZYRODNICZE: Maciej Andrzej Budzanowski (IFJ PAN), Irina Galuskina (UŚ), Iwona Agnieszka Grabowska-Bold (AGH), Mariusz Kluska (UPH), Małgorzata Aneta Kotula-Balak (URK), Anna Maria Maciołek (IchF PAN), Hoa Kim Ngan Nhu-Tarnawska (UPKEN), Mikołaj Olejniczak (UAM), Tomasz Toliński (IFM PAN), Barbara Woronko (UW)

SZTUKI: Grzegorz Tomasz Dąbrowski (AMuz Bydgoszcz), Maciej Rafał Gallas (URz), Marcin Tadeusz Łukaszewski (UMFC), Wiktor Zygmunt Łyjak (UJK), Adam Marcin Palma (The University of Salford, Wlk. Brytania), Marcin Przybylski (ATAZ), Anna Maria Serafińska (ATAZ), Renata Szaferin-Wójtowicz (AMuz Bydgoszcz)

Nie zamierzają kończyć tej serii

Politechnika Gdańska po raz piąty z rzędu została Akademickim Mistrzem Polski. Taka seria nie zdarzyła się jeszcze nikomu w XXI wieku. Inaczej niż w ubiegłorocznym cyklu, na wyłonienie triumfatora nie trzeba było czekać do ostatnich zawodów.

Przed startem nowego sezonu wprowadzono istotną zmianę. Do końcowego rankingu postanowiono wliczać 30 najlepszych rezultatów danej uczelni spośród zawodów, w których zostanie ona sklasyfikowana. Do tej pory pod uwagę brano wszystkie wyniki, jakie osiągnęła jej studenci. Zmiana miała, w założeniach pomysłodawców, dać szansę na triumf większej liczbie uczelni. Jak przekonywał przed inauguracją cyklu Tomasz Wróbel, wiceprezes AZS ds. upowszechniania kultury fizycznej, wstępna symulacja dokonana na podstawie wyników z poprzednich lat pokazała, że w efekcie do walki o zwycięstwo w klasyfikacji generalnej może się włączyć nawet kilkanaście szkół wyższych.

W pierwszym sezonie obowiązywania nowych reguł... niewiele się jednak zmieniło. Od samego początku ton rywalizacji nadawali ubiegłorocznymi medalistami. Jeszcze w kwietniu na czele klasyfikacji był Uniwersytet Warszawski, miesiąc później na pierwsze miejsce awansowała Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie, a tej z kolei prowadzenie odebrała na początku czerwca Politechnika Gdańska. Sportowcy z nad morza pozostali liderami już do końca cyklu.

W tym roku rozegrano zawody w 35 dyscyplinach (po rocznej przerwie wróciło strzelectwo sportowe). Największą frekwencją cieszyły się konkurencje lekkoatletyczne, w których wzięło udział ponad 1200 zawodników z 95 uczelni. Duże było też zainteresowanie zawodami pływackimi (900 osób) i biegami przełajowymi (650). Ogółem na arenach AMP wystąpili reprezentanci ponad 120 uczelni.

Broniący tytułu studenci i studentki Politechniki Gdańskiej, podobnie jak w poprzednich złotych latach, wystartowali we wszystkich imprezach zaliczanych do cyklu. Największą sensacją było przerwanie ich 10-letniej dominacji w żeglarskim. Goryczy porażki dodawał zapewne fakt, że dokonali tego sąsiedzi z Uniwersytetu Gdańskiego. Inżynierowie za to nie mieli sobie równych w badmintonie, biegach przełajowych, karate, koszykówce 3 × 3, lekkoatletyce (kobiety) i trójboju siłowym (mężczyźni). Indywidualnie sięgnęli po blisko dwukrotnie więcej medali niż rok temu – w tym zdobyli 14 złotych. Na najwyższym stopniu podium stawali m.in.: Oliwia Paradowska i Dariusz Boratyński w biegach przełajowych (złoto wywalczyła również szta-

feta mieszana), pływaczka Dominika Molenda, karateka Michał Bąbos, trio: Kaja Kowalczyk, Aleksandra Siruts i Sandra Wikarska w aerobiku sportowym, Maciej Kowalewicz w strzelectwie sportowym, Cezar Sida w skoku wzwyż oraz Kamil Linstedt, który w trójboju siłowym sięgnął po swój piąty tytuł z rzędu!

Do końcowej punktacji liczyły się wyniki osiągnięte w: **aerobiku sportowym** (AWF Kraków), **badmintonie** (Politechnika Gdańska), **biegach przełajowych** (k i m: PG), **brzydzu** (Uniwersytet Warszawski), **ergometrze wioślarskim** (k: UW, m: Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie), **futsalu** (k: Wyższa Szkoła Gospodarki w Bydgoszczy, m: Uniwersytet Warszawski), **jeździectwie** (Akademia Leona Koźmińskiego), **judo** (AWF Katowice), **karate** (PG), **kolarstwie górskim** (UW), **koszykówce** (k: Politechnika Krakowska, m: Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni), **koszykówce 3 × 3** (k i m: PG), **lekkoatletyce** (k: PG, m: Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie), **narciarstwie alpejskim** (k: Uniwersytet Jagielloński Collegium Medicum, m: Akademia Górniczo-Hutnicza), **piłce nożnej** (k: Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, m: Uniwersytet Jana Długosza w Częstochowie), **piłce ręcznej** (k: AWF Warszawa, m: Politechnika Opolska), **pływaniu** (k: UW, m: AWF Katowice), **siatkówce** (k i m: Akademia Nauk Stosowanych Wyższej Szkoły Zarządzania i Administracji w Opolu), **siatkówce plażowej** (k i m: UW), **snowboardzie** (k: UJ, m: AGH), **szachach** (ALK), **strzelectwie** (Uniwersytet Zielonogórski), **szermierce** (AWF Katowice), **tenisie** (k: AWF Kraków, m: AMW w Gdyni), **tenisie stołowym** (k: Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu, m: Akademia Zamojska), **trójboju siłowym** (k: UJ, m: PG), **unihokeju** (Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie), **wioślarskim** (Uniwersytet Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy), **wspinaczce** (k: AWF Katowice, m: AGH), **żeglarskim** (Uniwersytet Gdański).

W klasyfikacji medalowej, z ponad pół setką krążków, bezkonkurencyjna na raz kolejny okazała się Akademia Wychowania Fizycznego w Katowicach.

Dla wielu uczestników Akademickich Mistrzostw Polski to jeszcze nie koniec sezonu. Na przełomie lipca i sierpnia niektórych czeka występ na igrzyskach olimpijskich w Paryżu.

MK



Rozmowa z prof. Jarosławem Sochą, specjalistą od badań leśnych z Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie

Nie liczymy na lasy

Lasy w Polsce, ale i w całej Europie, są coraz starsze, bardziej zasobne w drewno i coraz wyższe. To jednak nie jest powód do zadowolenia.

Panuje przekonanie o ogromnej roli lasów w pochłanianiu dwutlenku węgla. Czy badania naukowe to potwierdzają?

Sprawa nie jest prosta, bowiem las nie tylko pochłania dwutlenek węgla, ale także go uwalnia, np. w procesie rozkładu masy organicznej, gdy węglowodany utleniają się do dwutlenku węgla. Dysponujemy punktami pomiarowymi, w których to się mierzy, a nie tylko szacuje. Są specjalne wieże, które potrafią zmierzyć bilans emisji CO₂ dla określonego ekosystemu. W Polsce mamy taką wieżę choćby w Tucznie (okolice Torunia). Są też specjalne modele, które służą do wyliczenia bilansu emisji. Najpopularniejszy jest kanadyjski Carbon Budget Model. Do robienia bilansów węglowych dużych obszarów musimy się posiłkować tego rodzaju narzędziami, gdyż obserwacje można prowadzić na relatywnie małych powierzchniach. W modelach uwzględnia się wiele informacji, np. jaki jest przyrost masy drzewnej, ile drzew zamiera, ile jest wycinanych, jakie jest tempo dekompozycji liści, igliwia i drewna. To pozwala zbilansować poziomy emisji np. w danym kraju, czyli określić, ile lasy zmagazynowały węgla lub wyemitowały dwutlenku węgla, uwalniając zgromadzony wcześniej w tkankach roślin węgiel. O ile przez kilkadziesiąt powojennych lat w naszym klimacie notowaliśmy szybki przyrost drzew, wzrost zasobności lasów, a zatem kumulowanie węgla, o tyle ostatnio obserwujemy, że zamieranie drzew jest coraz większe w porównaniu z ich przyrostem. Mimo że drzewa i rośliny w ogóle wiążą dwutlenek węgla, to rozpad masy organicznej go uwalnia. Im skala dekompozycji biomasy jest większa, tym większe jest uwalnianie do atmosfery dwutlenku węgla. Jeśli dekompozycja przeważa nad wzrostem biomasy, może być tak, że więcej dwutlenku węgla jest emitowane niż pochłaniane.

Pan sugeruje, że obecnie mamy do czynienia ze zwiększonym zamieraniem drzew?

Zamieranie drzew jest problemem globalnym, a ma dwa źródła. Przez ostatnich kilkadziesiąt lat obserwowaliśmy przyspieszony wzrost drzew i akumulację dwutlenku węgla w lasach. Było to spowodowane tym, że wydłużył się sezon wegetacyjny, jako skutek wzrostu średniej temperatury, a równocześnie mieliśmy do czynienia z rosnącą depozycją azotu. Tlenki azotu, które są zanieczyszczeniem atmosfery, spadają na obszary rolnicze i lasy w postaci depozycji atmosferycznej. Jeszcze dwie-

ście lat temu pod naszą szerokością geograficzną wynosiła ona pół kilograma na hektar, w okresie drugiej wojny światowej to było już 2-2,5 kg, a obecnie jest to już około 10 kg czystego azotu rocznie na hektar.

Azot to jeden z najważniejszych nawozów w rolnictwie w naszej części świata, a w tym kontekście 10 kilogramów na hektar nie wydaje się czymś znaczącym.

Azot przyspiesza wzrost roślin, w szczególności drzew. Ostatnie badania zrobione na sieci monitoringowej lasów w Europie wykazały, że wpływa on w największym stopniu na wzrost lasów gospodarczych. Również wyniki badań pochodzące z sieci niemieckich powierzchni doświadczalnych, prowadzonych od ponad stu pięćdziesięciu lat, a część z nich jest teraz w Polsce, wskazują, że przyrost drzew jest o ok. 30 procent większy niż sto lat temu. Z naszych badań wynika, że stu-letnie sosny są średnio o 8 metrów wyższe niż przed stu laty. Jednocześnie jest globalna prawidłowość, że im drzewa szybciej rosną, tym krócej żyją, a w drzewostanach gospodarczych zostaną szybciej pozyskane. Zasobność lasów europejskich jest najwyższa od pięciuset lat – to nie jest tylko specyfika polska, o której często się pisze – i wynosi ok. 300 metrów sześciennych drewna na hektar. To oznacza, że z hektara lasu możemy wybudować sześć domów. Wydawać by się mogło, że to bardzo dobrze, jednak wyniki badań wskazują na rosnący problem zwiększonego zamierania drzew. A największe ryzyko zamierania występuje w lasach, które są najbardziej zasobne w drewno. Stare, duże drzewa potrzebują najwięcej wody, a zatem w okresie, gdy odczuwamy jej niedobory, takie lasy są w największym stopniu narażone na zwiększone zamieranie drzew. Niektórzy twierdzili, że sama ochrona lasów pomoże osiągnąć redukcję emisji CO₂. Las to nie jest jednak zbiornik bez ograniczeń. Po osiągnięciu pewnych zagęszczeń i zasobności ulega rozpadom. To właśnie najstarsze lasy w największym stopniu się rozpadają i zdarza się, że emitują więcej CO₂ niż go pochłaniają. Nie chodzi mi o to, żeby negować potrzebę ochrony starych drzewostanów, zwłaszcza zbliżonych do naturalnych, bo one mają szereg ważnych funkcji, ale globalnie, jeśli chodzi o emisyjność – wiązanie i uwalnianie węgla – to starsze lasy nam w tym nie pomagają, one raczej uwalniają węgiel. Autorzy wielu artykułów naukowych przekonują, że przyspieszenie wzrostu drzew



Prof. dr hab. inż. **Jarosław Socha** (ur. w 1970 r.) prowadzi badania nad konsekwencjami zmian warunków siedliskowych i produktywności lasów w wyniku zmiany klimatu i antropopresji, nad zaburzeniami i adaptacją lasów do zmiany klimatu oraz ich rolę mitygującą oraz nad modelowaniem wzrostu drzew i drzewostanów oraz produktywności siedlisk z wykorzystaniem danych teledetekcyjnych. Jest współtwórcą modeli wzrostu głównych gatunków lasotwórczych oraz modeli i map ryzyka zamierania drzewostanów w Polsce. Kieruje Katedrą Zarządzania Zasobami Leśnymi na Wydziale Leśnym Uniwersytetu Rolniczego im. H. Kołłątaja w Krakowie. Jest koordynatorem dyscypliny nauki leśne oraz przewodniczącym rady tej dyscypliny. Jest zastępcą przewodniczącego Komitetu Nauk Leśnych i Technologii Drewna PAN oraz członkiem Komitetu Ewaluacji Nauki. Kierował wieloma projektami badawczymi krajowymi i międzynarodowymi, był wykonawcą w projektach międzynarodowych (5PR UE, 7PR UE, H2020, Horyzont Europa, Forest Value) i krajowych (KBN, MNISW, NCBiR i PGL LP). Aktualnie realizuje 6 projektów naukowych (m.in. Horyzont Europa, Forest Value i NCN). Wypromował 8 doktorów nauk leśnych.

spowoduje także wzrost ich śmiertelności – to zjawisko już jest obserwowane – i zneutralizuje gromadzenie węgla spowodowane szybszym wzrostem. W strategii unijnej mówi się, żeby chronić najstarsze lasy. Zgadza się z tym, gdy chodzi o lasy zbliżone do naturalnych, unikatowe, bo naprawdę naturalnych właściwie nie mamy. Prof. Cornelius Senf (Uniwersytet Techniczny w Monachium) ze współautorami opublikował w „One Earth” prognozę, że zamieranie będzie zmieniało demografię lasów i do 2050 roku w połowie krajów Europy mediana ich wieku spadnie poniżej 30 lat. Dla porównania, w tej chwili w Polsce wynosi ona znacznie powyżej 60 lat. Jestem współautorem artykułu dotyczącego dynamiki rozpadu lasów w Europie związanego z wiatrolomami i wycinaniem lasów – to też są formy rozpadu, po angielsku określane ogólnie jako *disturbances*. Kiedyś te rozpady były powodowane głównie przez wiatry i pożary. Natomiast ostatnio największe znaczenie mają korniki i inne czynniki biotyczne powiązane z suszą, jak grzyby,

np. w Polsce duże szkody powoduje w ostatnich latach grzyb *Sphaeropsis sapinea*. To gatunek, który przywędrował z południa Europy, a u nas wcześniej nie miał większego znaczenia. Jednak susze, które występowały od 2015 roku, spowodowały w Europie masowe zamieranie drzew. Od 2018 do 2020 roku w samej Europie centralnej pozyskano 300 mln metrów sześciennych drewna z zamierania. To było szczególnie nasilone w Czechach. W naszych Tatrach do zamierania świerka przyczyniły się dwa czynniki: gradacja kornika drukarza i wiatrowały. Wcześniej wystąpiło to w Beskidzie Żywieckim. Mieliśmy tam sieć ponad sześćdziesięciu półhektarowych powierzchni badawczych. Żadna dziś nie istnieje. Świerki zamarły. Byłby to niewielki problem, gdyby dotyczył tylko świerka, ale w ostatnich latach także sosna, która była kiedyś postrzegana jako gatunek odporny, zaczęła zamierać, a u nas stanowiła 70 proc. składu gatunkowego lasów. Część lasów, np. Puszcza Solska, która ma ubogie siedliska, a zatem drzewa są lepiej przystosowane do trudnych warunków, radzi sobie z suszami lepiej. Problem zaczął się jednak w dyrekcji lubelskiej na żyznych obszarach Roztocza i za wałem Roztocza, gdzie od roku 2015 obserwowaliśmy masowe zamieranie drzew. Tam zaczęliśmy badania. Potem zamieranie sosny poszło przez Radom aż do Wrocławia. Lasy zaczęły wzbudzać sensację – wszyscy zauważyli, że wycina się drzewa. To nie są tylko planowe cięcia. Żeby ograniczyć gradację kornika, usuwane są drzewa zaatakowane przez owady. W lasach gospodarczych leśnicy mają taki obowiązek. To w lasach gospodarczych zgodne z zasadami działanie, które obniża szkody czynione przez kornika, to przyjęty sposób działania. Jednak na dłuższą metę nie uratuje to lasów w sytuacji zagrożenia suszą, która powoduje spadek odporności drzew. Ograniczamy gradację tylko w danej chwili. To jest działanie gospodarcze i doraźne. Są badania, które pokazują, że zagrożone są nie tylko wskazywane jako mniej odporne gatunki iglaste, lecz także gatunki liściaste, szczególnie buk i dąb, a nawet brzoza. To nie napawa optymizmem na przyszłość. Żle się dzieje z naszymi lasami.

Jak to wpływa na możliwość gromadzenia węgla?

Jeśli mówimy o lasach w kontekście wiązania dwutlenku węgla, to ten potencjał może polegać na tym, że gromadzimy go w drzewach w lasach gospodarczych, które są wycinane, a surowiec drzewny wykorzystywany jest np. do budowy domów. Wtedy efekt ochrony klimatu może mieć miejsce w sporej skali. Ostatnio mówi się o wyłączeniach z użytkowania pewnych fragmentów lasów. To w wielu miejscach jest słuszne, bo ochronimy cenne przyrodniczo tereny. Natomiast w przypadku wyłączenia nieodpowiednich drzewostanów często może to przyspieszyć proces zamierania drzew, które tego rodzaju bierną ochroną obejmujemy. Zgadza się z ideą ochrony biernej pewnych fragmentów lasów. Nie powinniśmy jednak sugerować, że w ten sposób ochronimy klimat. Nie ochronimy też bioróżnorodności, rozumianej jako większa liczba gatunków. Natomiast ochronimy gatunki związane z martwym drewnem, zwłaszcza grubym martwym drewnem – jest szereg organizmów, które potrzebują właśnie takich warunków, rzadko występujących w lasach gospodarczych. Podawanie w jednym zdaniu zbitki

słownej „zwiększymy bioróżnorodność i ochronimy klimat”, jest wprowadzaniem w błąd. Nie jest to prawda. Mamy bardzo mało lasów naturalnych, które cechuje nieco większa odporność. W większości przypadków mamy do czynienia z lasami bardzo przekształconymi przez gospodarkę i antropopresję.

A Puszcza Białowieńska?

Na terenach objętych ochroną w postaci parku narodowego jest dość zbliżona do lasu naturalnego. Mamy jednak teraz do czynienia z zagrabianiem Puszczy Białowieńskiej. To w części skutek eutrofizacji siedlisk, czyli wspomnianej już zwiększonej znacznie ilości azotu. Na terenie lasu rozprzestrzenia się grab, który ma przewagę konkurencyjną na żywniejszych siedliskach. Sprzyjają mu też warunki klimatyczne: w Puszczy jest cieplej, nie mamy już kontynentalnego klimatu, jak jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Nawet nie wchodząc do lasu, przez emisję azotu ingerujemy w warunki naturalne, zmieniamy las, zaburzamy wzrost drzew. Ostatnio dostałem zdjęcie jodły z nadleśnictwa Gorlice o grubości 80 cm u podstawy, ale ostatnie 20 przyrostów miało aż 40 cm, czyli stanowiły połowę jej grubości. To niewiarygodne. Obserwujemy pojawianie się jemioli na jodłach, na sosnach zresztą też, mamy tysiące hektarów lasów jodłowych porażonych przez jemiolę. Staje się ona pasożytem i przyczynia się do zamierania drzew. To nas niepokoi. Gdy jest susza, te szalejące pod względem przyrostu drzewa są skrajnie osłabiane. Im mają większy przyrost, tym większa średnica naczyń, a wysokość drzew wymaga pompowania wody coraz wyżej. Drzewa, które przez większość swego życia rosły w zupełnie odmiennych niż dziś stosunkach wodnych, nie radzą sobie w sytuacji niedoborów, niższego poziomu wód, z których mogą czerpać pokarm. Warto również wspomnieć, że jesteśmy drudzy w Europie – po Czechach – pod względem obszaru objętego anomaliami wilgotności gleb. Zdziwiło mnie, że piąta pod tym względem jest Finlandia. Dla drzew nie ma fundamentalnego znaczenia sama wilgotność, one radzą sobie również z niskim poziomem wody, dostosowując system korzeniowy do suchych, a sosny zwyczajne nawet do skrajnie suchych warunków. Natomiast niekorzystna, a czasami wręcz zabójcza jest zmiana warunków wilgotnościowych. A właśnie z nią mamy teraz do czynienia. Sosna może rosnąć i na suchej wydmy, i na mokrym bagnie. Jednak potrafi dostosowywać się do warunków tylko do trzydziestego, czterdziestego roku życia. Potem zdolność adaptacji do środowiska zanika. Stąd problemy starych drzew wynikające ze zmian klimatycznych i środowiskowych.

Czy znamy skalę zamierania lasów w Polsce?

Zrobiliśmy badania dla całej Polski dotyczące ryzyka zamierania, gdyż mamy informacje o cięciach sanitarnych związanych z suszą, które zawierają dane o miąższości i lokalizacji zamierających drzew. Na podstawie charakterystyk siedlisk i drzewostanów zbudowaliśmy modele opisujące ryzyko zamierania w wyniku suszy oraz opracowaliśmy mapy tego zjawiska dla poszczególnych gatunków na obszarze Polski. Gdy spotykałem się z leśnikami, padało pytanie: co z płytą krotoszyńską znaną z olbrzymich dębów. Z naszego modelowania wynika, że istnieje ryzyko zamierania wskutek obniżenia poziomu wody. Dęby stanowią teraz około pięciu procent drzewostanów w polskich lasach, ale ze względu na swoje możliwości dostosowania się do różnych warunków i na eutrofizację lasów ich udział może wzrosnąć. Sosna zwyczajna natomiast ustępuje, ponieważ traci optimum klimatyczne w Polsce.

Mówi się o tym, żeby prowadzić selekcję drzew w kierunku odporności na suszę.

Jestem przeciwnikiem wszelkich selekcji. U nas przez lata wybierano drzewa najwyższe, najlepsze, cenne pod względem

gospodarczym i z nich zbierano nasiona do produkcji sadzonek. Część obserwowanego aktualnie przyspieszonego przyrostu może być skutkiem tej selekcji. Drzewa charakteryzujące się pewnymi pozornie korzystnymi cechami mogą być mało odporne na różne czynniki. Jednym z patogenów, który ostatnio atakuje drzewa na Półwyspie Iberyjskim, jest nicien węgorek. Nie opierają mu się drzewa wyselekcjonowane. Lepiej, żeby selekcja dokonywała się naturalnie, a można to uzyskać np. przez odnowienia naturalne. Nie produkujemy wówczas sami sadzonek, tylko zdajemy się na naturę. Udział odnowień naturalnych się zwiększa. Gdy przygotowujemy teren zrębu pod nasadzenia z wykorzystaniem orki, uwalnia się sporo węgla zgromadzonego w ściółce i glebie. Zatem odnowienia naturalne bez uprawy gleby mają też istotne znaczenie dla zatrzymania węgla w ekosystemie. Nie zawsze jednak jest to możliwe, zwłaszcza gdy mamy w danym miejscu niewłaściwy gatunek. A w tej chwili mamy 29,7 proc. powierzchni kraju zalesione, ale mamy też ok. 3 proc. naturalnych sukcesji, zatem faktyczna leśistość może wynosić nawet 33 proc. Natomiast po wojnie mieliśmy 20 proc. Zatem ponad 3 miliony hektarów to lasy posadzone na terenach porolnych. Sadzono sosnę, modrzew, brzozę, świerk, czyli gatunki dobrane ze względu na spodziewaną wówczas produktywność i możliwość wysadzenia na terenach otwartych, ale nie najwłaściwsze dla danych siedlisk. Zatem tam nie zastosujemy teraz odnowień naturalnych. Trzeba na podstawie właściwości glebowych, klimatycznych, topograficznych ustalić, jakie gatunki byłyby w danym miejscu najwłaściwsze i sztucznie je tam wprowadzić. Dotyczy to około 30 proc. naszych lasów.

Zwiększona ilość azotu powoduje także zmianę składu flory mykoryzowej i grzyby ektomykoryzowe, korzystne szczególnie w przypadku suszy, gdyż wspierają drzewa w suchych okresach, zastępowane są przez grzyby endomykoryzowe, które wykazują znacznie mniejsze właściwości wspierające w czasie suszy. To dodatkowo osłabia nasze ekosystemy leśne. Drzewostany na gruntach porolnych muszą zmagać się z niekorzystnymi z punktu widzenia drzew i lasu warunkami, w tym mykoryzowymi.

Podobno wiemy o naszych lasach wyjątkowo dużo.

Polska jest krajem o najlepiej pomierzonych lasach na świecie. Francuzi, Brytyjczycy i Szwedzi modelują na naszych danych, ponieważ mamy w Polsce pełną informację o lasach, łącznie z pojedynczymi drzewami. Umożliwił to projekt realizowany ze środków programu ramowego Horyzont Europa. To, że mamy najlepiej pomierzone lasy, znaczy też, że są one najlepiej poznane. W Polsce ułatwia to struktura własnościowa, bowiem w 80 proc. są to lasy państwowe, zatem dostęp naukowców do lasów jest właściwie nieograniczony, a do tego mogą oni liczyć na pomoc leśników, którzy w zamian uzyskują od badaczy dane do swoich działań. To bardzo korzystne z przyrodniczego, ale też społecznego i gospodarczego punktu widzenia. Wcześniej robiliśmy inwentaryzację lasów w ramach planów urzędzenia lasu co 10 lat, ale przełomem był przeciwpowodziowy projekt ISOK, w którym cały obszar Polski został zeskanowany za pomocą lotniczego skanowania laserowego. Ta metoda pozwala na uzyskanie chmury punktów pokrycia terenu i modelu terenu. Mając odbicie od koron drzew, jesteśmy w stanie zmierzyć wysokość każdego drzewa, a odpowiednie algorytmy są w stanie wykręcić pojedyncze drzewa. Ostatnio w mojej katedrze zebraliśmy dane ze skanowania lotniczego. Kupiliśmy w tym celu specjalną macierz o pojemności 50 TB. Dane z pomiarów lotniczych ściągnaliśmy około czterech miesięcy. Po wykonaniu detekcji pojedynczych drzew okazało się, że w kraju mamy 4 miliardy 216 milionów 67 tysięcy 541 drzew. Ta wartość zmienia się codziennie, ale tyle było wła-

śnie w momencie skanowania konkretnych obszarów. Te dane są wciąż aktualizowane. Gdy w Głównym Urzędzie Geodezji i Kartografii pojawia się nowy skan jakiegoś obszaru, wczytujemy te dane i aktualizujemy swoją bazę drzew. Te aktualizacje pozwalają nam obserwować także tempo wzrostu drzew. Na tej podstawie jesteśmy w stanie określić, ile jest drewna na każdym hektarze, czyli jaka jest zasobność naszych lasów. Widzimy też zmiany zasobności, każde drzewo, które ubyło oraz ile drewna przybyło. Podobne badania, ale innymi metodami, prowadzą leśnicy. Nasze wyniki różnią się o kilka procent. To wynika z metodologii i celu pomiarów. W tej chwili także w Lasach Państwowych używa się skanowania lotniczego. W projekcie NCBR BIOSTRATEG powstała nowa metoda, która wykorzystuje dane z inwentaryzacji wielkoobszarowej. Została ona wdrożona w Lasach Państwowych.

Pierwsi na świecie zrobiliśmy na podstawie tych skanowań modele wzrostu drzew uwzględniające m.in. warunki pogodowe. Opublikowaliśmy wyniki tych prac w czasopiśmie „Forest Ecology Management” i „Agricultural and Forest Meteorology”. Zbudowaliśmy model, który pozwala wyliczać przyrost w zależności od opadów i innych danych meteorologicznych. Kiedyś mówiło się, że drzewa w lesie są niepoliczone. To przysłowie jest już nieaktualne. Mamy policzone wszystkie drzewa, także te, które zamierają. Teraz informacje z Lasów Państwowych o cięciach weryfikujemy też za pomocą danych satelitarnych. Stosujemy w tym wypadku rozdzielczość 3 na 3 metry i widzimy, które dokładnie drzewo zostało wycięte. Mamy dane dotyczące miąższości, czyli przypisaną każdemu z drzewostanów informację o liczbie zamierających metrów sześciennych drewna co roku.

Dużo jest tych zamierających drzew?

Ostatnie zamierania w wyniku suszy to 3-5 milionów metrów sześciennych drewna rocznie, ale w wyniku wiatrowału w roku 2017 r. mieliśmy do czynienia z kilkunastoma milionami metrów sześciennych uszkodzonych drzew w jednym roku. Taka jest skala tego zjawiska.

Zamieranie drzew w takiej skali to stosunkowo nowe zjawisko.

Nasze lasy są zagrożone wskutek zmian klimatycznych, głównie suszy, i antropopresji – depozycji azotu. To ostatnie zjawisko zatrzymało się gdzieś w latach 90. na poziomie 10 kilogramów rocznie na hektar, ale w jednym punkcie pomiarowym w Kotlinie Kłodzkiej mamy depozycję na poziomie 18 kg. Zatrzymało się, ale się nie zmniejsza, zatem lasy są nawożone i zagrożenie szybszym zamieraniem cały czas istnieje. Klimat to nie tylko susza, ale także wyższa temperatura, która powoduje szybszą ewapotranspirację, czyli parowanie wody. Mamy też częstsze niż dawniej huragany, które powodują spore szkody. No i wreszcie wraz z ociepleniem realnym zagrożeniem stają się pewne gatunki owadów czy grzybów, które jeszcze niedawno nie miały znaczenia dla lasu. W wyniku wydłużenia sezonu wegetacyjnego – to skutek ocieplenia klimatu – mamy do czynienia z kilkakrotnymi wylęgami szkodników, a zatem tempo gradacji jest kilkakrotnie wyższe niż dawniej, a tym samym i zagrożenie znacznie większe.

Mówił mi pan, że w Kanadzie lasy emitują więcej dwutlenku węgla niż przemysł.

Wracając do bilansu węglowego lasów, w ubiegłym roku w Kanadzie spłonęło ok. 8,4 mln hektarów lasów. W Polsce mamy nieco ponad 9 milionów ha, a zatem to tak, jakby spaliły się całe polskie lasy. World Resources Institute przeprowadził analizę, która dowodzi, że wtedy te lasy wyemitowały dwa razy

więcej dwutlenku węgla niż cały kanadyjski przemysł. Słyszałem od osób, które zajmują się wspomnianym modelem CBM, że w 2018 roku emisja dwutlenku węgla przez lasy też przekroczyła poziom emisji przemysłu kanadyjskiego. Miałem okazję obserwować lasy w Kanadzie, mimo że są to lasy borealne, mają problem z kornikiem, z suszą.

Czy odmładzanie lasów jest sensowne z ekologicznego punktu widzenia?

Jeśli ekologiczny punkt widzenia oznacza to, że chcielibyśmy, żeby drzewa pokrywały dany obszar, to tak. Myślimy, że gdy jedno drzewo obumarło, to wyrosną nowe. Ale to nie takie proste, bo zaczyna się od spontanicznej sukcesji, która nie zawsze daje oczekiwane skutki. Zastąpienie starych pokoleń drzew nowymi, dostosowanymi do siedliska, to w Polsce konieczność. Relatywnie mała część naszych lasów jest zbliżona do naturalnych, tam moglibyśmy zdać się na sukcesję naturalną.

Takie naturalne lasy lubimy najbardziej.

Badania wskazują, że nie. Okazuje się, że przeciętnej osobie najbardziej podoba się las gospodarczy z dużymi, rzadko rosnącymi drzewami, gdzie można pospacerować, zbierać grzyby.

Wróć jeszcze do kwestii naturalności. Od pewnego czasu leśnicy amerykańscy robią kontrolowane pożary, żeby wypalić paliwo, które leży na ziemi, czyli suche gałęzie i stare liście. To pozwala zachować stare drzewa, które mają grubą korowinę i nie cierpią od małych pożarów, a eliminuje problem pożarów niekontrolowanych i dużych. W Kalifornii w takich dużych pożarach spłonęło w ostatnich latach 4 proc. powierzchni stanu, a przy okazji ogień pochłonął kilkadziesiąt tysięcy domów i firm. NGO-sy walczą tam teraz z leśnikami, żeby robili te kontrolowane pożary, żeby uniknąć tak wielkich strat, jak w ostatnich latach. Program ochrony biernej lasów, wyłączeń z użytkowania, robiono tam w latach 80. ubiegłego wieku i skończyło się to przewagą zamierania nad przyrostem i wielkimi pożarami. Zredukowano wówczas pozyskanie drewna do jednej trzeciej wartości. Przyrost, który rósł cały czas od II wojny światowej, utrzymał się przez kolejne 10 lat. Ale w kolejnych dziesięcioleciach przyrost zmniejszył się o połowę, a zamieranie zaczęło rosnąć i obecnie dwukrotnie przekracza przyrost. Na samym zachodnim wybrzeżu USA w latach 2018-20 naliczono 6 mld stojących martwych drzew. Według informacji USDA Forest Service lasy amerykańskie stają się emitentem CO₂. Oczywiście, w długim terminie to nic takiego, wypadną jedne gatunki, pojawią się nowe, ale zapewne często inne. Wiemy już, że kolejne lasy w Polsce nie będą już ani takie wysokie, ani tak zasobne, jak obecnie. Widać to zjawisko na południu Europy. Idea, że ograniczenie użytkowania lasu pomoże klimatowi, jest dość naiwna, bo o wiele łatwiejsza do przyjęcia niż ograniczenie konsumpcjonizmu. To była idea wynikająca z obserwacji tego, co działo się przez długi czas w strefie umiarkowanej. Teraz zamieranie drzew zaczyna brać górę nad przyrostem. To już dochodzi do strefy borealnej. Liczenie na to, że lasy przyczynią się do kompensacji skutków emisji z paliw kopalnych jest naiwnością. Unia Europejska wzywa do ochrony starych drzewostanów, ale to nie rozwiąże problemu. Oczywiście należy chronić część starych lasów, tych najbardziej zbliżonych do naturalnych, ale inne przebudujemy na stabilne drzewostany, które nie będą zamierać, lecz rosnąć, pochłaniając CO₂ i produkując drewno, w pełni odnawialny surowiec. W tematyce zarządzania lasami jest za dużo dezinformacji, emocji i polityki, a za mało wykorzystuje się wiedzę pochodzącą z badań naukowych. A to nie służy podejmowaniu dobrych decyzji.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Gospodarka leśna nie wymaga rewolucji

Czy można maksymalizować jednocześnie wszystkie funkcje lasu? Maksymalizacja podaży drewna będzie w sprzeczności z maksymalizacją funkcji środowiskowych. Maksymalizacja funkcji rekreacyjnych będzie w kontrze do maksymalizacji funkcji związanych z ochroną przyrody. Stąd pojęcie optymalizacji w realizowaniu wszystkich funkcji lasu. Czy współczesny model gospodarki leśnej w Polsce jest zatem złym modelem?

Decyzja Ministerstwa Klimatu i Środowiska z dnia 8 stycznia 2024 r. o wstrzymaniu lub istotnym ograniczeniu działań gospodarczych na pewnych obszarach leśnych wywołała emocje nie tylko wśród leśników, których pracy bezpośrednio dotyczy, ale także wśród sporego grona naukowców z dyscypliny nauk leśnych, dla których wybór fragmentów lasów gospodarczych przeznaczonych do wyłączenia z planowego gospodarowania nie znajduje merytorycznego uzasadnienia. Wstrzymanie lub ograniczenie gospodarki leśnej dotyczy lasów gospodarczych na powierzchni ok. 94 tys. hektarów. Łącznie stanowią one raptem ok. 1,3% powierzchni lasów pozostających w zarządzie Lasów Państwowych, co w skali kraju nie jest istotną wielkością, jednak to dopiero początek działań w ramach ogólnopolskiej akcji „chronimy nasze lasy przed wycinką”, której celem jest wyłączenie z pozyskania drewna 20% lasów gospodarczych. Pojawiają się dwa fundamentalne pytania: 1) jakie przesłanki merytoryczne uzasadniały podjętą przez urzędników decyzję oraz 2) kto wskazał wymienione w decyzji obszary leśne, w których należy istotnie ograniczyć prowadzoną dotychczas gospodarkę leśną. Z informacji publicznych dowiadujemy się, że celem wyłączenia z gospodarki leśnej we wskazanych w decyzji lasach gospodarczych jest konieczność „ochrony obszarów leśnych o szczególnie cennych walorach przyrodniczych”. Cel wydaje się jak najbardziej szczytny i niebudzący żadnych kontrowersji. Szczególną ochroną mają być objęte m.in. lasy położone w Bieszczadach, Puszczy Boreckiej, Puszczy Świętokrzyskiej, Puszczy Augustowskiej, Puszczy Knyszyńskiej, Puszczy Karpackiej, Puszczy Rominckiej, lasy Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego oraz lasy okolic Iwonicza-Zdroju, Wrocławia i Puszcza Bukowa. Wybór tych obszarów wynikał z tzw. oczekiwań społecznych, a ich wyrazem był apel 116 organizacji pozarządowych oraz grupy naukowców z Polskiej Akademii Nauk. Szkoda, że głos samych leśników, a także naukowców z wydziałów leśnych uczelni publicznych był jedynie przysłowiowym „głosem wołającego na puszczy”.

Gospodarka leśna w Polsce wobec potrzeb społeczeństwa

Zarządzanie lasami w Polsce jest uwarunkowane prawnie. Zgodnie z Ustawą o lasach z 1991 r. gospodarkę leśną prowadzi się na podstawie zatwierdzanych przez stosownego ministra (MKiŚ) planów urzędzenia lasów. W ustawie wskazano, że celami gospodarki leśnej są: 1) zachowanie lasów i ich korzystnego wpływu na klimat, powietrze, wodę (...) oraz na równowagę przyrodniczą; 2) ochrona lasów, zwłaszcza lasów i ekosystemów leśnych stanowiących naturalne fragmenty rodzimej przyrody lub lasów szczególnie cennych ze względu na (...); 3) ochrona gleb i terenów szczególnie narażonych na zanieczyszczenie lub uszkodzenie oraz o specjalnym znaczeniu społecznym; 4) ochrona wód powierzchniowych i głębinowych (...); 5) produkcja, na zasadzie racjonalnej gospodarki, drewna oraz surowców i produktów ubocznego użytkowania lasu.

Pierwsze cztery cele związane są z realizacją przez lasy funkcji środowiskowych i społecznych, ostatni cel to funkcja produkcyjna lasu. Mimo uszeregowania celów gospodarki leśnej w ustawie ustawodawca nie miał jednak zamiaru wskazywać ważności poszczególnych celów, co jest często błędnie interpretowane przez różne grupy osób. W ustawie uwzględniono zatem wielofunkcyjność lasów, a wielofunkcyjna gospodarka leśna winna zapewniać realizację możliwie wszystkich funkcji lasu. Wielofunkcyjny model gospodarki leśnej tożsamy jest z modelem trwale zrównoważonej gospodarki leśnej. Najbardziej ogólnym celem wielofunkcyjnej gospodarki leśnej, z definicji, jest zaspokajanie oczekiwań i potrzeb społeczeństwa względem wszelkich dóbr i usług ekosystemowych płynących z lasu (materialnych i niematerialnych). Drewno jest jednym z dóbr, z których każdy z nas korzysta każdego dnia. Nie inaczej jest z funkcjami środowiskowymi czy społecznymi. Wskazywanie na pozyskanie drewna z lasu – tzw. masowe wycinki głoszone historycznie w przestrzeni publicznej – jako przejaw niezrównoważonej gospodarki leśnej jest wielkim nieporozumieniem, wynikającym z niewiedzy osób głoszących takie

informacje. Dzięki totychczas prowadzonej gospodarce leśnej w Polsce możliwe było i jest m.in. zaspokajanie stale rosnących oczekiwań społeczeństwa względem dostępu do drewna. Sumarycznie ilość drewna dostarczana na rynek rośnie, jednakże wskaźnik ten nie jest wskaźnikiem racjonalnej lub nieracjonalnej gospodarki leśnej. Takim wskaźnikiem w leśnictwie może być natomiast stosunek pozyskania drewna do jego przyrostu w danym czasie (np. w roku). W 2022 r. w lasach Lasów Państwowych użytkowano średnio 67% zasobów. W tym też kontekście medialny przekaz o „masowej wycince lasów” jest niczym innym, jak tylko medialnym sloganem, bez jakiegokolwiek wartości merytorycznej. Co więcej, mimo większego pozyskania drewna w lesie, społeczeństwo jak nigdy wcześniej korzysta z funkcji społecznych lasów (rekreacja, wypoczynek), wykorzystując między innymi infrastrukturę turystyczną stworzoną przez leśników. Większość rezerwatów ścisłych zlokalizowana jest w lasach zarządzanych przez LP, które – do czasu objęcia ich ochroną, często na wniosek samych leśników – były najczęściej lasami zagospodarowanymi. Czy byłoby to możliwe, gdyby gospodarka leśna zawsze i wszędzie negatywnie wpływała na wartości przyrodnicze tych obszarów leśnych?

Gdzie można skonfrontować wiedzę medialną z wiedzą merytoryczną odnośnie do naszych lasów? Informacje o stanie polskich lasów można znaleźć w różnych źródłach: w raportach o stanie lasów, które są opracowywane i publikowane już od 1967 r. (natomiast w wersji on-line dostępne są raporty od roku 2006) oraz w rocznikach Głównego Urzędu statystycznego (GUS). Informacje te dostępne są za darmo dla każdego zainteresowanego. Wspomniane raporty publikowane są przez PGL Lasy Państwowe, gdyż nie ma w Polsce lepszego źródła na temat lasów i leśnictwa niż organizacja nimi zarządzająca. Takiej wiedzy nie posiadają ani biolodzy, ani przyrodnicy, ani rolnicy. Czy to świadczy o braku obiektywności prezentowanych tam informacji? Oczywiście nie. W raportach można się, przykładowo, dowiedzieć, jak zmienia się powierzchnia lasów, ich zasobność, ile drewna pozyskano w lasach w danym roku, jaki jest udział poszczególnych gatunków (lub grup gatunków), a także jak wygląda sprawa ochrony przyrody w lasach, jaki jest udział lasów w wieku powyżej stu lat, jakie są zasoby tzw. martwego drewna w lasach zarządzanych (lub nadzorowanych) przez PGL LP. Raporty te są zatem najlepszym z istniejących źródeł wiedzy na temat prowadzonej w naszym kraju gospodarki leśnej, a także dobrym źródłem wiedzy odnośnie do realizowanej w polskich lasach ochrony przyrody. Korzystajmy z tej wiedzy.

Czy wartościowanie lasów jest konieczne?

Wyłączenia lub ograniczenia w gospodarce leśnej mają służyć ochronie (zabezpieczeniu) „cennych przyrodniczo” lasów. Co to oznacza, że jeden las jest cenny przyrodniczo, a inny nie? Czy stosowanie rankingu „cenneści” przyrodniczej lasów jest konieczne? Czy naturalny jednogatunkowy drzewostan sosnowy porastający ubogie siedliska jest mniej cenny od naturalnego lasu wielogatunkowego rosnącego na żyznych siedliskach? Jakie jest kryterium wartościowania pod względem cenneści przyrodniczej lasów? Kto to kryterium wskazuje? Problem jest skomplikowany, bo kryteriów może być dokładnie tyle, ile jest osób zainteresowanych ocenianym obiektem. Kto ma wówczas rację? Lasy (obszary) szczególnie cenne przyrodniczo to obszary, które wyróżniają się od innych pewnymi szczególnymi walorami przyrodniczymi. Co świadczy o tej „szczególności”? Nawet w tym kontekście nie ma jednoznacznej definicji obszaru cennego przyrodniczo, bo i takiej definicji być raczej nie może. Biolog, turysta, przyrodnik, leśnik... każdy będzie patrzył na walory przyrodnicze lasu nieco inaczej, co nie

oznacza, że któryś z nich jest w błędzie. Czy szczególne cechy wskazane przez biologa są cenniejsze od walorów wskazanych przez turystę? Wybór lasów cennych przyrodniczo jest zatem wyborem subiektywnym.

Większość badaczy ekosystemów leśnych podkreśla natomiast szczególne walory lasów o wysokim stopniu naturalności, co nie jest też niczym kontrowersyjnym. A czy las zagospodarowany może być lasem cennym przyrodniczo? I tutaj już nie ma zgodności między różnymi grupami społecznymi. Leśnicy, ale nie tylko oni, odpowiedzą, że oczywiście tak. Mają na to tysiące przykładów. Nawet sama decyzja MKiŚ wskazuje, że lasy gospodarcze mogą być cenne przyrodniczo, bo planuje się je wyłączyć z gospodarowania ze względu na ich szczególnie cenne walory przyrodnicze. Skoro gospodarka leśna ukształtowała lasy cenne przyrodniczo, to dlaczego wskazuje się, że ta gospodarka leśna musi tym walorom zaszkodzić w przyszłości i konieczne jest jej zaprzestanie? Bo leśnik wytnie takie lasy za jakiś czas? Gdyby tak było w każdym przypadku, to nie byłoby dzisiaj wspomnianych już rezerwatów przyrody w polskich lasach, nie byłoby też niektórych „leśnych” parków narodowych. A jednak one istnieją i mają się dobrze, nawet bez szczególnej opieki społeczeństwa. Wartościowanie przyrody jest domeną człowieka, nie samej przyrody. Warto o tym pamiętać w dyskusji.

Kompetencje i wiedza ekspercka – determinanty rozwoju gospodarki leśnej

Ministerstwo wskazuje, że konieczna jest zmiana „w myśleniu o drzewach i zmiana w filozofii leśnictwa”. O jakich zmianach mówimy i jakie mogą być skutki tych zmian dla lasów, leśnictwa, sektora leśno-drzewnego oraz lokalnych społeczności? Zwolennicy nowej filozofii gospodarki leśnej wskazują jednocześnie, że zmiany muszą nastąpić szybko. Konieczność przeprowadzenia szybkich zmian w jakimkolwiek układzie, przedsiębiorstwie czy organizacji zawsze wynika z przekonania, że dotychczasowy układ (stan, sposób zarządzania itd.) nie realizuje zakładanego celu. Przypomnijmy, ustawowym celem prowadzonej gospodarki leśnej jest realizowanie oczekiwań i potrzeb społecznych, materialnych i niematerialnych. Osoby mające do czynienia z gospodarowaniem zasobami leśnymi, w tym naukowcy z wydziałów leśnych, podkreślają jednocześnie: w optymalny sposób. Nie w sposób maksymalny. Czy można bowiem maksymalizować jednocześnie wszystkie funkcje lasu? Sama natura nie maksymalizuje wszystkich funkcji lasu. Maksymalizacja podaży drewna będzie w sprzeczności z maksymalizacją funkcji środowiskowych. Maksymalizacja funkcji rekreacyjnych będzie w kontrze do maksymalizacji funkcji związanych z ochroną przyrody. Stąd pojęcie optymalizacji w realizowaniu wszystkich funkcji lasu. Czy współczesny model gospodarki leśnej w Polsce jest zatem złym modelem? Kto ma decydować o rozwoju gospodarki leśnej i jakie kompetencje w tym kontekście winny mieć osoby decyzyjne? Różne grupy społeczne hołdują różnym wartościom. Każda ma argumenty przemawiające za działaniami mającymi wzmocnić wartości, które wyznają. Organizacje czy osoby, które głoszą, że zależy im na ochronie polskich lasów przed tzw. masową wycinką zawsze będą stanowczo lobbować za zakazem pozyskiwania drewna w lesie. Organizacje, osoby zaangażowane w ochronę jakiegoś gatunku będą lobbować za każdym zapisem prawnym gwarantującym temu gatunkowi niezbędną (według nich) ochronę. Producenci mebli, tartacznicy będą lobbować za tym, by mieli dostęp do jak największej ilości drewna, którą będą mogli nabyć w jak najlepszej cenie.

Za czym może lobbować leśnik? Leśnik, który z jednej strony zobowiązany jest (ustawowo) chronić lasy i sprzyjać realizacji ich funkcji środowiskowych i społecznych, z drugiej nato-

miast strony musi tak gospodarować, by mogły one zaspokoić potrzeby społeczne w odniesieniu do dostępu do drewna. Można powiedzieć, że leśnik musi się wykazywać kompetencjami zarówno przyrodniczymi, jak i związanymi z produkcją drewna. I takie kompetencje leśnik zdobywa na studiach leśnych. Warto zauważyć, że PGL Lasy Państwowe jest jedną z nielicznych firm w naszym kraju, która może się poszczycić bardzo wysokim udziałem pracowników legitymujących się wyższym wykształceniem. Zdecydowana większość leśników-terenowców, nie wspominając już o kadrze średniego i wyższego szczebla, posiada kierunkowe wykształcenie wyższe (studia leśne). Absolwent kierunku leśnictwa na wydziałach leśnych uczelni publicznych wykazuje się kompleksową wiedzą, kompetencjami oraz umiejętnościami zarządzania zasobami leśnymi najczęściej przewyższającymi wiedzę, kompetencje czy umiejętności absolwentów kierunków biologicznych czy innych kierunków przyrodniczych. Nie ujmując to niczego absolwentom tych kierunków, a wynika po prostu ze specyfiki studiów leśnych i zawodu leśnika. Nie ma możliwości, by współczesny leśnik nie był zarówno ekologiem, przyrodnikiem, jak i „producentem” drewna. Nie może być efektywnym „producentem” drewna, nie będąc jednocześnie ekologiem. Tego wymaga jego miejsce pracy – las. Warto o tym pamiętać, słuchając przekazów medialnych na temat gospodarki leśnej w Polsce prezentowanych przez osoby, których pobyt w lesie związany jest tylko z rekreacją.

Nie zmienia tego nawet fakt, że polskie lasy są dobrem narodowym. Dobrem nas wszystkich. Nie oznacza to, że 38 mln Polaków to eksperci od zarządzania lasami, chociaż wypowiedzi niektórych celebrytów czy polityków mogą to fałszywie sugerować. Za stan naszych lasów odpowiedzialności nie ponosi 38 mln obywateli. Wiedza ekspercka ma dzisiaj znaczenie, a w przyszłości jej wartość wzrośnie.

Leśnik XXI wieku – bierny obserwator czy kreatywny ekolog?

By odpowiedzieć na powyższe pytanie, należy być świadomym zagrożeń, przed jakimi stoją i będą stały w przyszłości lasy. Wszyscy, całe społeczeństwo, musimy być także świadomi potencjalnych skutków wynikających z tych zagrożeń. Nie bez

znaczenia jest znajomość najnowszej wiedzy i możliwości, jakie ona niesie w adaptacji lasów do szybko zmieniającego się otoczenia (środowiskowego, społecznego i ekonomicznego). Zmiany te już dzisiaj wymuszają na zarządzających lasami i właścicielach lasów przewartościowanie dotychczasowych działań w ramach prowadzonej gospodarki leśnej. Większość naukowców zajmujących się badaniem skutków zmian klimatycznych na ekosystemy leśne wskazuje, że głównym wyzwaniem dla zarządzających zasobami przyrodniczymi w XXI wieku będzie zapewnienie im ciągłości funkcjonowania w nowych warunkach. Leśnicy zauważają ten problem w swojej codziennej pracy, jak żadna inna grupa społeczna.

Zadając pytanie, czy nasze lasy powinny być tak zarządzane, by wzmocnić ich zdolności adaptacyjne do nowych warunków otoczenia i tym samym minimalizować ich podatność na stres klimatyczny, zdecydowana większość społeczeństwa odpowiedziałaby twierdząco. Różnice między różnymi grupami osób mogą pojawić się w momencie wskazania działań, które są lub wydają się najbardziej racjonalne i optymalne, by ten cel zrealizować. Leśnicy, ale i naukowcy, na całym świecie upatrują szansy w adaptacji współczesnych lasów w planowanych aktywnych działaniach w ramach gospodarki leśnej, m.in. z zakresu hodowli i ochrony lasu. Przyrodnicy, działacze i organizacje działające na rzecz ochrony przyrody są natomiast przekonani o konieczności zaprzestania prowadzenia gospodarki leśnej i jest to według nich jedyny racjonalny sposób na zachowanie trwałości lasów i przyrody w dobrym stanie, nawet w obliczu zmian klimatycznych, a gospodarka leśna negatywnie będzie oddziaływać na stan lasów i całej przyrody. Większość zwolenników konserwatorskiego modelu zarządzania przyrodą (ochrony biernej) wskazuje jednocześnie, że nie da się pogodzić aktywnej gospodarki leśnej z jej ochroną. Zakładają, że „przyroda wie najlepiej” oraz – co nawet istotniejsze – że skutki naturalnie i spontanicznie zachodzących procesów przyrodniczych są zgodne z oczekiwaniami społeczeństwa. Być może kilkadziesiąt lat temu takie założenie można było jeszcze obronić. Współcześnie coraz więcej naukowców badających lasy zagospodarowane i wyłączane z gospodarowania nie głosi już tak jednoznacznego poglądu, wskazując jednocześnie na duży



Zagospodarowany drzewostan sosnowy – przykład kształtowania zróżnicowanego strukturalnie lasu aktywnymi działaniami hodowlanymi

Fot. Janusz Szmyt



Fot. Janusz Szmyt

Las przerębny – wynik działań hodowlanych realizowanych przez leśników

potencjał adaptacyjny tkwiący w nowoczesnym podejściu do gospodarowania zasobami leśnymi.

Negatywne skutki zmian klimatycznych w ekosystemach leśnych, których się przecież spodziewamy, będą występowały zarówno w obiektach chronionych, jak i w lasach zagospodarowanych. Wyłączenie z gospodarowania z pewnością nie jest „lekiem na całe zło” i niesie ze sobą również ryzyko. To ryzyko będzie jeszcze większe w lasach ukształtowanych przez dekady przez gospodarkę leśną, a więc w takich jak wymienione w decyzji MKiŚ. Już dzisiaj w całej Europie obserwuje się wzmożone zamieranie drzew i rozpad całych drzewostanów, także tych objętych ochroną bierną, czego przykładem niech będą lasy Parku Narodowego Harzu (Niemcy), w którym od 2018 r. rozpadł się las na powierzchni ponad 24 tys. ha.

Jaką zatem rolę ma pełnić leśnik w XXI wieku? Czy ma być biernym obserwatorem przyrody, czy jednak ekspertem, fachowcem i kreatywnym ekologiem umiejącym znaleźć racjonalne rozwiązanie pojawiających się problemów? Mimo iż nasza wiedza o wpływie zmian klimatycznych na gatunki i ekosystemy leśne oraz dotycząca reakcji tych ekosystemów na zmiany jest niepełna, to jednak współczesna hodowla lasu dysponuje działaniami zwiększającymi szansę adaptacji naszych lasów do nowych warunków otoczenia. Czy powinniśmy zrezygnować z tych zdobyczy nauk leśnych? Las, gospodarka leśna oraz ochrona przyrody już dzisiaj stoją przed takimi samymi wyzwaniami związanymi z globalnymi zmianami, w szczególności wynikającymi ze stresu klimatycznego. Wyzwania te nie będą tracić na istotności. Wszechstronnie wykształcony leśnik – ekolog, przyrodnik, fachowiec i ekspert w jednym – najprawdopodobniej będzie potrzebny już dla samego lasu, dla kształtowania (albo raczej wspierania) jego ciągłości jako formacji roślinnej, jak i ciągłości i trwałości usług ekosystemowych płynących dla społeczeństwa. Dotychczasowe przekonanie, że bez leśnika las sobie poradzi, nie znajduje już uzasadnienia. Czy społeczeństwo zaakceptuje rolę leśnika w lesie przyszłości? Potrzeba jasnego przekazu medialnego, na czym polega praca leśnika i czego dostarcza społeczeństwu wielofunkcyjna gospodarka leśna. Dzisiaj w zdecydowanej większości mediów panuje wręcz dezinformacja w obu tych przekazach. Wykluczenie z dyskusji nad przyszłością polskich lasów leśników i przed-

stawicielei nauk leśnych, z wiedzy których leśnicy korzystają na co dzień, nie jest działaniem racjonalnym i nie będzie też sprzyjało dyskusji nad ochroną przyrody w polskich lasach. Tego można być pewnym.

Dla dobra lasów, dla dobra przyrody, dla dobra nas wszystkich

Największym zagrożeniem dla szczęścia człowieka X jest człowiek Y, który jest przekonany, że lepiej to szczęście rozumie niż sam człowiek X. Może to wynikać z niewiedzy lub też być działaniem świadomym. Podobne wrażenie można odnieść w kontekście dyskusji nad nowym modelem gospodarki leśnej i sposobem ochrony przyrody w lasach. Leśnik, przyrodnik oraz tzw. ekolog (nie wiadomo, co ten termin już dzisiaj oznacza) zaangażowani w dyskusję nad przyszłością polskich lasów doskonale wiedzą, że dobro tych lasów, tym samym dobro przyrody, nie tkwi w trwaniu przy swojej racji za przysłowiową wszelką cenę. Globalne zmiany wymagają zmian w zarządzaniu zasobami przyrodniczymi, ale z pewnością nie rewolucyjnych. Żadna ze stron zaangażowana w dyskusję nie posiada monopolu na wiedzę, każda natomiast ma jakieś ograniczenia, każda patrzy na ten sam problem z innej perspektywy. By dostrzec te ograniczenia, ale także szanse w różnym podejściu do zarządzania zasobami przyrodniczymi, konieczna jest rzeczywista „burza mózgów” między leśnikami, przyrodnikami, biologami, naukowcami (także tymi z wydziałów leśnych), przedstawicielami sektora leśno-drzewnego itd. Nazwijmy tę „burzę mózgów” konsultacjami, ale przez duże „K”. Niech to nie będą quasi-konsultacje, w których strony bezpośrednio zaangażowane w gospodarkę leśną (leśnicy, naukowcy z wydziałów leśnych) są wyeliminowane z dyskusji albo ich głos jest arbitralnie umniejszany. Rzetelne konsultacje powinny się odbyć, zanim została podjęta decyzja z 8 stycznia 2024 r. Lasy są naszym dobrem i niech tym dobrem zarządzają kompetentni fachowcy, którzy mogą liczyć na wsparcie rzetelnych doradców (społeczników, naukowców itd.). Wówczas wszyscy my, specyficzni „właściciele” tych lasów, na tym skorzystamy.

Dr hab. inż. Janusz Szmyt, prof. UPP, Katedra Hodowli Lasu, Wydział Leśny i Technologii DREWNA, Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu

Rozmowa z dr. hab. Michałem Bogdziewiczem, dyrektorem Centrum Biologii Lasu Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Drzewa uciekają stojąc

Buki nie odpowiadają na temperaturę w czerwcu i lipcu, ale jak odkryliśmy – na temperaturę po 21 czerwca. Najdłuższy dzień w roku jest kosmiczną wskazówką dla populacji buków w każdym zakątku Europy. Dla mnie osobiście to jedno z najbardziej fascynujących odkryć.

Boi się pan?

Czego?

Katastrofy klimatycznej.

Na pewno. W ubiegłym roku przekroczyliśmy już ustalony w Paryżu limit 1,5°C zwiększenia średnich globalnych temperatur. Z punktu widzenia tego, czym się zajmuję, czyli biologii lasu, widać wyraźnie, że system jest poddawany ogromnemu stresowi. Nie jestem odosobniony w swoich odczuciach, bo właściwie wszyscy specjaliści, których znam, są zaniepokojeni istniejącą sytuacją. Problem jest oczywiście bardzo trudny i złożony. Potrzebne jest ograniczenie pompowania gazów cieplarnianych w atmosferę. Jednocześnie paliwa kopalne są podstawą naszych gospodarek, a rozwijanie i wdrażanie alternatyw posuwa się, z punktu widzenia ochrony klimatu, zdecydowanie za wolno. Widać obawę, że zachodzące zmiany mogą doprowadzić do naprawę ogromnych, katastrofalnych skutków.

Zasila pan grono zatroskanych o przyszłość.

Tak, choć najlepiej się czuję, rozmawiając o rzeczach, w których jestem ekspertem. Od lat na przykład macham czerwoną flagą, próbując zwrócić uwagę na problem reprodukcji drzew.

Jak to się ma do ocieplenia?

Wzrost temperatury powoduje zamieranie drzew na ogromną skalę. Przykładowo w ciągu ostatnich 30 lat w Europie potrojiło się tempo zamierania lasów. Główną przyczyną takiego stanu rzeczy są zmiany klimatyczne i związane z tym susze. Stres zabija drzewa bezpośrednio lub osłabia je i naraża na ataki ze strony patogenów. I tu dochodzimy do tego, czym się naukowo zajmuję. Jeżeli bowiem drzewa zamierają, to potrzebne są nasiona, z których będą mogły wyrosnąć nowe. Dlatego właśnie tak istotna jest wiedza na temat tego, jak nasiona są produkowane, gdzie i w jakiej ilości. W tej chwili nasza wiedza na ten temat jest raczej skromna. Często mówię, że wiele wiemy o tym, jak drzewa rosną i jak umierają, a niewiele o tym, jak się rodzą.

Z czego to wynika?

Jako podstawową przyczynę wskazałbym logistyczne trudności w dokonywaniu pomiarów. Nawet gdybyśmy dysponowali

nieskończonymi środkami finansowymi, które możemy przeznaczyć na badania, nie byłibyśmy w stanie pewnych rzeczy przyspieszyć. Jeśli przyszłaby pani do mnie z kartą kredytową, na której nie ma limitu i zaproponowała, że niezależnie od kosztów chce się dowiedzieć, w jaki sposób wyglądają na świecie przyrosty wszystkich gatunków drzew w każdym klimacie, to w ciągu roku otrzymałaby pani ode mnie odpowiedź. Wysłałbym po prostu w teren tysiące ludzi, którzy dokonaliby odpowiednich odwiertów i pomiarów. Gdyby natomiast chciała pani w identycznym terminie poznać szczegóły dotyczące reprodukcji drzew, to wyniki mógłbym dostarczyć dopiero za 15 lat. Niestety nie istnieje retrospektywna metoda pozwalająca, z pewnymi wyjątkami, na oszacowanie tego, jak produkcja nasion wyglądała kiedyś.

Wreszcie ktoś powiedział, że pieniądze nie są najważniejsze.

W tym przypadku aspekt finansowy nie jest głównym hamulcem. Po prostu rok po roku należy udać się do lasu i nasiona policzyć. Przez dużą międzyroczną zmienność w produkcji nasion potrzeba wiele lat danych, by oddzielić szum od informacji. Na każdy kolejny punkt danych, a konieczne jest, by zebrać ich jak najwięcej, musimy poczekać dwanaście miesięcy.

Nie frustruje pana takie czekanie?

Nie. Oczywiście wspaniale byłoby posiadać więcej danych, ale poszukujemy sposobów, żeby sobie z tą kwestią poradzić. Na przykład dwa lata temu opublikowaliśmy bardzo dużą bazę danych, w której zebraliśmy informacje o opadzie nasion prawie 800 gatunków roślin w różnych miejscach świata. Daje to szanse na badania porównawcze w dużej skali, które dostarczają wiele nowej wiedzy. Natomiast można powiedzieć, że frustruje mnie, choć to może złe słowo – raczej fascynuje, że reprodukcja drzew i roślin często kończy jako temat o mniejszej ważności niż inne procesy populacyjne, takie jak wzrost czy śmiertelność. Z jednej strony jasne jest, że wszystkie te trzy procesy są kluczowe dla dostosowania osobników oraz dynamiki populacji. Z drugiej, biolodzy często zakładają, że nasion jest dużo i nie ma potrzeby, by się nad tym zagadnieniem szczególnie pochylać. To stwierdzenie jest do tego stopnia prawdziwe, że często modele populacyjne zakładają, iż nasiona są dostępne zawsze, nawet pod nieobecność osobników dorosłych, które te nasiona mogłyby produkować. Wydaje się to wypadkową dwóch czynników.



Czyli?

Modele populacyjne rzeczywiście wskazują, iż na przyrosty populacji drzew największy wpływ ma śmiertelność, płodność natomiast mniejszy. Jednocześnie płodność bardzo trudno się mierzy, więc poniekąd wypadła z obiegu. Zmiany klimatu mają potencjał, żeby tę sytuację przetasować.

Nierozwiązana zostaje sprawa przekonania tych, którzy nie wierzą, że sytuacja robi się niezwykle poważna.

Jeszcze nad tym pracujemy. Są oczywiście ludzie, do których także się zaliczam, próbujący skierować strumień światła na to zagadnienie. Z prowadzonych przeze mnie badań wynika, że zmiany klimatyczne w ciągu ostatnich 40 lat przyczyniły się do zmniejszenia produkcji nasion u niektórych gatunków drzew. W przypadku populacji buka zwyczajnego w Anglii aż o 80%. Utrata tak dużej liczby nasion musi przełożyć się na spadki w przyrostach populacji, może nawet na ich zanikanie. Moim zdaniem nie możemy pozwolić sobie na zignorowanie takich odkryć.

Chodzi o to, by zapobiec przyszłemu obumieraniu lasów spowodowanemu brakiem nowych drzew?

Wolałbym nie spekulować. Trudno jest mówić o tym, co będzie, mając takie luki w wiedzy. Trzeba jednak zwrócić uwagę, że na przykład w Polsce większość lasów się sady, a jak to robić, jeżeli zaczyna brakować nasion? Jakiś czas temu uczestniczyłem w konferencji, podczas której większość panelistów wspominała, że z powodu braku dostępu do nasion nie może realizować projektów. Naukowcy zgodnie twierdzili, że jest to nowy problem.

Nie można nasion po prostu kupić?

Można, ale i one muszą najpierw spaść z drzew.

Schowajmy te, które spadną, a potem wykorzystajmy, kiedy zajdzie potrzeba.

Oczywiście przechowywanie jest jakimś rozwiązaniem, ponieważ nasiona pewnych gatunków można przetrzymać,

niektóre nawet dość długo. Zazwyczaj jednak jest to związane z czasowym spadkiem ich jakości. Poza tym w przypadku długoterminowego gromadzenia celem jest raczej zachowanie materiału genetycznego, a nie wysiew, bo proporcja nasion, które będą w stanie wykiełkować, spada wraz z wydłużaniem się okresu magazynowania.

Wybawieniem ludzkości miał być Globalny Bank Nasion na norweskim archipelagu Svalbard.

To jest właśnie przykład genetycznego magazynu. Zgromadzone w nim nasiona nie posłużą do wysiewów komercyjnych, jakich na przykład dokonują nasze Lasy Państwowe.

Nie mamy więc żadnego zaplecza?

Gdyby gatunek rośliny wyginął, można byłoby mieć nadzieję na wyratowanie, właśnie dzięki Globalnemu Bankowi Nasion. W takim przypadku mielibyśmy jednak do czynienia ze skalą konserwatorską. Natomiast ja myślę raczej o tym, żeby spróbować utrzymać liczebność populacji na obecnym poziomie, aby ochronić jej zdolność do samoodnowienia.

W rozmowie dotyczącej reprodukcji drzew nie sposób pominąć zagadnienia lat nasiennych.

Z pewnością, bo to moje ulubione zjawisko ekologiczne (śmiech). Tym terminem określa się ogromną, międzyroczną zmienność w produkcji nasion, zsynchronizowaną między osobnikami, a często populacjami, na dużych obszarach. Są lata, gdy drzewa nie produkują nasion wcale, i takie, gdy produkcja wielokrotnie przewyższa długoterminową średnią. Jest to strategia reprodukcyjna, która wiąże się z ogromnymi kosztami.

Jak to?

Gdy drzewa nie produkują nasion, to tracą szansę. Jeżeli w takim roku w lesie pojawi się jakieś zakłócenie, na przykład w wyniku burzy powstanie luka w drzewostanie, brak reprodukcji będzie oznaczał, że inne osobniki zainkasują wygraną.

Dlatego muszą z pewnością istnieć procesy kompensujące tego rodzaju koszty.

Chodzi o jakieś konkretne rozwiązania?

Dzięki międzyrocznej zmienności w produkcji nasion drzewa, nie ruszając się z miejsca, uciekają od swoich konsumentów – po prostu ich głodząc. Weźmy przykład owadów, których cykl życiowy trwa rok. Otóż, kiedy w danej okolicy drzewa nie będą produkowały nasion przez dwa lata czy więcej, to populacja tych specjalistów pokarmowych wymrze niemal w całości. Natomiast kiedy spadnie dużo nasion, nieliczne owady, którym uda się przetrwać, nie będą w stanie przejść powstałej nadwyżki i w ten sposób drzewa uchronią swoje nasiona.

Sprytne.

Ciekawym aspektem tego zjawiska jest fakt, że zmienność międzyroczna jest synchronizowana na bardzo dużych obszarach. To oznacza, że zachowanie buków – to czy produkują nasiona, czy nie oraz jak dużo – jest podobne w lasach pod Warszawą, Poznaniem czy Rzymem. Drzewa oddalone od siebie nawet o 1500 km robią to samo w danym roku.

Ależ synchronizacja.

Drzewa osiągają ten efekt dzięki wrażliwości na zmiany pogodowe. U wspomnianego już buka wskazówką, która prowadzi do dużej produkcji nasion, jest pogoda latem. Ogromna liczba kwiatów jest produkowana, gdy gorące lato nastąpi po zimnym. Buk wydaje się posiadać mechanizmy molekularne, dzięki którym zapisuje temperaturę w długim terminie.

Po co?

Celem numer jeden takiej wrażliwości jest osiągnięcie większej zmienności w produkcji nasion niż zmienność pogody. Konsekwencją jest synchronizacja produkcji nasion na dużych obszarach, ponieważ temperatura jest tak zsynchronizowana.

Bez żadnych ograniczeń?

Nie przypadkiem wspominałem o odległości wynoszącej półtora tysiąca kilometrów. Na takim dystansie wahania temperatury są skorelowane, natomiast im dalej od siebie, tym korelacja jest słabsza.

Wygląda, jakby drzewa się umawiały.

Niedawno dokonaliśmy interesującego odkrycia, którym chciałbym się podzielić. Otóż, aby zsynchronizować kalendarze reprodukcji na ogromnych obszarach, drzewa muszą odpowiadać na wskazówkę pogodową dokładnie w tym samym czasie. To dlatego, że pogoda jest dobrze skorelowana w przestrzeni, ale mniej w czasie. Ciepły czerwiec w Poznaniu to ciepły czerwiec w Warszawie, ale nie oznacza to ciepłego sierpnia w żadnym z tych miejsc. Buki czytują informacje o pogodzie, która decyduje o produkcji nasion zawsze w czerwcu i w lipcu, niezależnie od regionu Europy, co pozwala im na osiągnięcie spektakularnej synchronizacji, największej spośród wszystkich gatunków na kontynencie. Jest to zaskakujące, bo generalnie zjawiska fenologiczne zależą od lokalnego klimatu. Wewnątrz gatunków populacje rosnące w cieplejszych klimatach zazieleniają się czy kwitną szybciej. Mimo to buki czytują wskazówkę pogodową zawsze w czerwcu i lipcu. W jaki sposób tego dokonują? To stanowiło sporą zagadkę.

Która, jak się domyślam, została już rozwiązana?

Tak.

Kiedy nastąpił przełom?

W trakcie lektury artykułu naukowców ze Szwajcarii, którzy opisywali wpływ temperatury na starzenie się liści w kontekście przesilenia letniego. Jak mówią: wszystko jest oczywiste, kiedy już to odkryjesz. Przesilenie letnie zdarza się 21 czerwca i jest to najdłuższy dzień w roku na całej półkuli północnej. Buki nie odpowiadają więc na temperaturę w czerwcu i lipcu, ale jak odkryliśmy – na temperaturę po 21 czerwca. Najdłuższy dzień w roku jest kosmiczną wskazówką dla populacji buków w każdym zakątku Europy. Dla mnie osobiście to jedno z najbardziej fascynujących odkryć. Ten czerwiec i lipiec był przed naszymi nosami od dziesiątek lat, wydawałoby się, że połączenie tego z przesileniem letnim powinno nastąpić już dawno.

Ale dopiero panu się udało połączyć wszystkie kropki.

Całemu naszemu zespołowi. To był naprawdę fajny piątek (śmiech). Do dziś przechowuję małą kartkę papieru, na której rozrysowaliśmy spodziewany wykres, zanim przeanalizowaliśmy dane. Pasowało jeden do jednego.

Nauka nie istniałaby bez takich decydujących momentów.

Z pewnością, ale nie można zapomnieć, że one nie biorą się znikąd. Trzeba wiele czytać, najlepiej wychodząc poza swoją specjalizację. Artykuł szwajcarskich naukowców dotyczył per se starzenia się liści, a to nie jest mój bezpośredni obszar badawczy. Oczywiście liczba ukazujących się publikacji z dziedziny ekologii lasu jest tak wielka, że niemożliwa do przeczytania, niemniej warto starać się być na bieżąco. Także po to, aby przyglądać się metodom stosowanym przez innych. Wydaje mi się, że najciekawsze odkrycia, których dokonaliśmy w Centrum Biologii Lasu, wynikały właśnie z tego, że próbowaliśmy stawiać nasze pytania za pomocą narzędzi wykorzystywanych w odmiennych dyscyplinach.

Chodziło o wyjście z badawczej rutyny?

Nie tylko. Także o inspirację. Interesuje nas, co się stanie w momencie, kiedy zrobimy jakąś rzecz zupełnie inaczej. Może okaże się, że właśnie wtedy dowiemy się czegoś ciekawego o badanym zjawisku.

Nie wszyscy lubią opuszczać swoją strefę komfortu.

Z pewnością nie jest to łatwe. Każdorazowo, kiedy trzeba się uczyć nowej metody, należy dokładnie się dowiedzieć, jak aplikować ją w różnych systemach. Sam proces wdrażania to już całkiem inna historia. Zdarza się, że wszystko świetnie się udaje, ale czasem po prostu nic nie wychodzi. Wtedy są to miesiące „leż” i nerwów. W takich chwilach ostatnio żartujemy, że zamiast uprawiać naukę, pójdziemy remontować Stary Rynek w Poznaniu.

Albo odpocząć, na przykład w lesie. A propos lasu, wchodzi pan jeszcze do niego jak zwykły człowiek, czy tylko jako naukowiec?

Uważam, że jak zwykły człowiek, ale moja żona pewnie nie zgodziłaby się z taką tezą (śmiech). Chociaż, jak się dobrze zastanowię, to może przyznam jej rację. Jest na przykład taki program monitoringu produkcji nasion, do którego uruchomiono aplikację internetową. Trzeba m.in. zrobić zdjęcie drzewu, policzyć nasiona, a potem wpisać do systemu różne parametry, więc chodzę po lesie z telefonem i liczę...

Rozmawiała Aneta Zawadzka

Paweł Kawalerski

Za co naukowiec odpowiada?

Aby można było rozwiązać jakikolwiek problem optymalizacyjny, musi on być przedtem postawiony. Nasuwa się nader istotne pytanie, kto ten problem stawia.

W niecałe sto lat pojawiły się: film dźwiękowy, kolorowy, panoramiczny i stereofoniczny, radiofonia, telewizja, samoloty odrzutowe, rakiety, internet, teleskop, antybiotyki, radar, reaktory jądrowe, mikroskop elektronowy, lasery i komputery, a nawet ludzie wylądowali na Księżycu.

Wzrastający wpływ nauki na życie społeczne jest coraz bardziej zauważalny. To naturalne, że rośnie również zainteresowanie społeczeństwa aktualnymi osiągnięciami naukowymi oraz przyszłymi perspektywami rozwoju w tej dziedzinie. Ten rozwój generuje również pewne problemy filozoficzne np. problem moralnej odpowiedzialności naukowców. Warto mu się przyjrzeć bliżej.

Wszelka działalność naukowa zmierza wyłącznie do udzielania odpowiedzi na pytania badawcze, na które nikt jeszcze nie znalazł odpowiedzi. Tylko na jakieś to pytania naukowiec ma odpowiadać?

W nauce wszystko zaczyna się od pytań eksploracyjnych, takich jak: „co to jest?” (co było, co bywa itd.). Odpowiadając na takie pytania, odkryto nowe teorie fizyczne, zidentyfikowano różnorodne pierwiastki i gatunki bakterii, stwierdzono istnienie rozmaitych minerałów, roślin i zwierząt, zgromadzono niezliczone zabytki archeologiczne, udokumentowano ważne wydarzenia historyczne oraz zakonserwowano bezcenne dzieła sztuki w galeriach. Na tym etapie działalność naukowa jest rejestracją faktów (w naukach abstrakcyjnych, jak np. matematyka, rolę tę odgrywa stawianie aksjomatów).

Następnie pojawiają się pytania klasyfikacyjne (opisowe): „jakie to jest?”. Odpowiedzią na nie jest uporządkowany opis zaobserwowanych faktów. Na tej podstawie tworzy się typologie, klasyfikacje i systematyki. Jest to etap identyfikacji właściwości.

W końcu pojawia się trzeci rodzaj pytań, tj. eksplikacyjne (wyjaśniające): „jak coś zależy od czegoś?” (często stawiane w mniej precyzyjnej formie jako „dlaczego?”). Jest to etap wykrywania zależności i prawidłowości, w którym nie tylko skrupulatne zbieranie faktów i bystra obserwacja właściwości są kluczowe. Tutaj niezbędne są umiejętności formułowania hipotez, ich eksperymentalne sprawdzanie, dostosowywanie oraz syntezowanie. To właśnie w tym procesie tkwi istota pracy naukowej.

Zdolność do odpowiadania na pytania wyjaśniające ma również wpływ na poszukiwanie odpowiedzi na wcześniejsze pytania, gdy są one przekształcone w formę: „co mogłoby lub musiałyby istnieć?” oraz: „co mogłoby lub musiałyby istnieć jakie?”. Przykładem może być układ okresowy pierwiastków, w którym puste miejsca stopniowo były wypełniane przez różnych badaczy.

A to już cała esencja nauki i problemów poznawczych. Można zatem wnioskować, że jedynym obowiązkiem naukowca przy rozwiązywaniu tego rodzaju problemów jest dążenie do prawdy.

Natomiast, jeśli chodzi o wykorzystywanie zdobyczy nauki w praktyce, trzeba odpowiadać na pytania typu: „jak coś osiągnąć?”. Jest to nic innego jak problem optymalizacyjny i różni się on od problemu eksplikacyjnego tym, że zamiast analizować poszczególne zależności, uwzględnia się całą baterię zależności dobranych w taki sposób, aby osiągnąć wspólny cel. Innymi słowy, rozpatruje się różne środki prowadzące do tego samego celu i wybiera ten, który jest najkorzystniejszy. Wyrażając się precyzyjnie, sformalizowane zadanie optymalizacji jest odpowiedzią na pytanie: jaka powinna być wartość optymalna wielkości decyzyjnej, aby przy określonych parametrach uzyskać wartość ekstremalną wielkości kryterialnej? Przy czym wielkość decyzyjna to zestaw dostępnych wariantów, spośród których można dokonać wyboru. Wielkość kryterialna odnosi się do zestawu możliwych wyników, wśród których poszukuje się minimum albo maksimum. Natomiast parametry to zestaw warunków, na które osoba rozwiązująca problem nie ma wpływu.

Na skrzyżowaniu

Takie utożsamienie działalności praktycznej z problemami optymalizacyjnymi pozwala rozproszyć nieporozumienia co do moralnej odpowiedzialności naukowców. Otóż, aby można było rozwiązać jakikolwiek problem optymalizacyjny, musi on być przedtem postawiony. Nasuwa się nader istotne pytanie, kto ten problem stawia. Aby to wyjaśnić, rozpatrzmy następujący przykład. Powiedzmy, że chodzi o zmniejszenie liczby wypadków na skrzyżowaniach. Jest to problem optymalizacyjny, ponieważ zależnie od rozmaitych okoliczności, jak np.

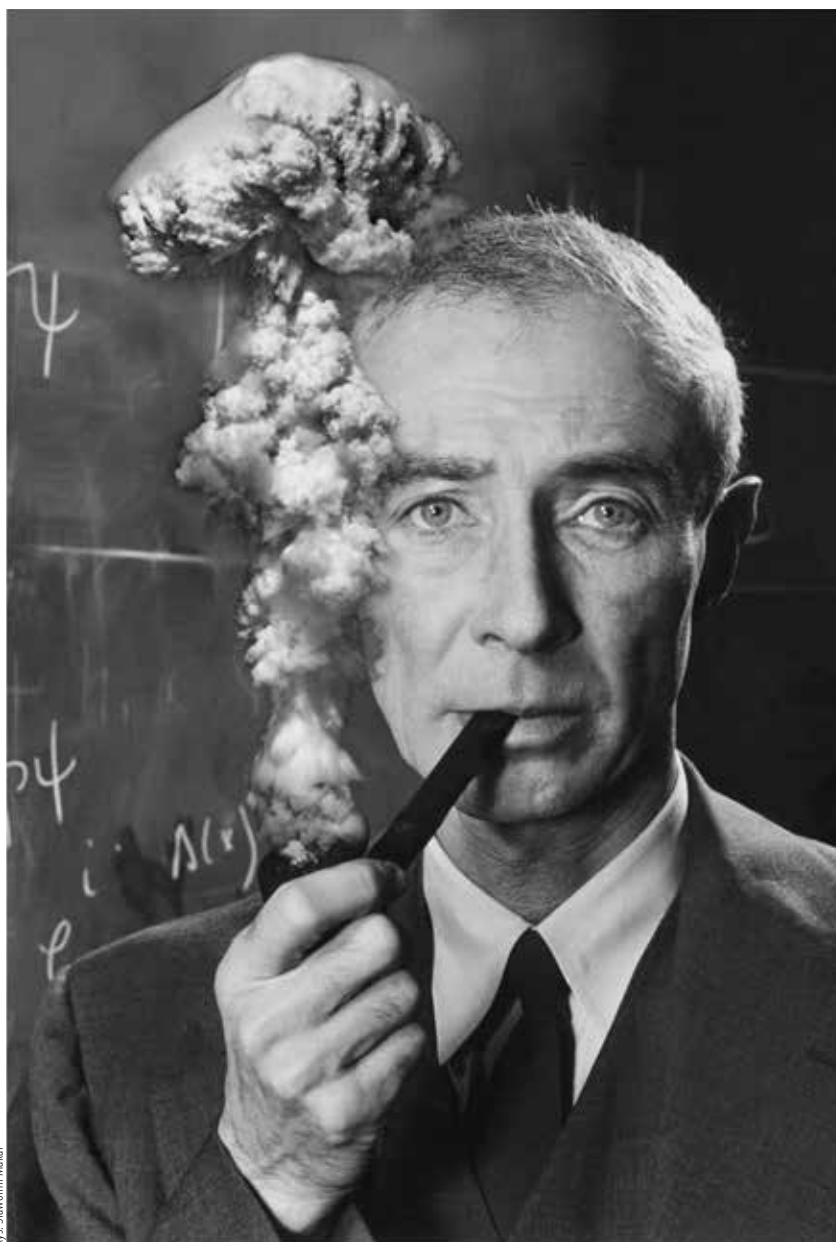
dostępne środki bezpieczeństwa, koszty instalacji i eksploatacji, uwarunkowań technicznych itp., kierunki działania mogą być różne, a wobec tego należy wybrać wariant, w którym liczba wypadków jest najmniejsza.

Na temat różnych środków bezpieczeństwa sporo już wiadomo, ale nie wszystko. Wobec tego na szereg pytań należy znaleźć brakujące odpowiedzi, stosując odpowiednie metody badawcze, którymi dysponują naukowcy, będący specjalistami z zakresu bezpieczeństwa. Zadaniem tych naukowców jest ustalenie pełnej listy środków bezpieczeństwa (pytanie „co jest?”), określenie właściwości poszczególnych środków (pytanie „co jest jakie?”) oraz ich wzajemnego oddziaływania (pytanie „co od czego jak zależy?”). Do tego miejsca chodzi jedynie o to, żeby odpowiedzi były prawdziwe. Tego typu postępowanie nie ma jeszcze żadnego związku z celami, jakie zostały czy dopiero zostaną wyznaczone do osiągnięcia w praktyce.

Prześciem od nauki do praktyki jest dopiero żądanie rozwiązania problemu optymalizacyjnego, który przedtem musi być postawiony. W rozpatrywanym przykładzie jest to problem: jakie środki bezpieczeństwa powinny być zastosowane (wielkość decyzyjna), aby zmniejszyć liczbę wypadków (wielkość kryterialna) na skrzyżowaniach (parametry). Nasuwa się

tu jednak szereg pytań. Dlaczego chodzi o wypadki na skrzyżowaniach, a nie np. o wypadki na trasach szybkiego ruchu? Dlaczego chodzi o najmniejszą liczbę wypadków, a nie np. o ciężkość wypadków? Ktoś na te pytania musi odpowiedzieć, stawiając problem optymalizacyjny. Należy zatem dokonać różniczenia między decydem, który definiuje problem optymalizacyjny („co należy osiągnąć”), a optymalizatorem, który znajduje odpowiedź na pytanie „jak to osiągnąć”. Rolę optymalizatora pełnią naukowcy, zaś decydem jest społeczeństwo (bezpośrednio bądź za pośrednictwem reprezentującego je kierownictwa).

Kluczowa różnica między nauką pełniącą rolę optymalizatora a społeczeństwem jako decydem leży w tym, że decyzje wypracowane przez naukowców mogą być potwierdzone naukowo poprzez rozwiązanie problemu optymalizacyjnego, podczas gdy decyzje podejmowane przez społeczeństwo w kontekście definiowania problemów optymalizacyjnych nie podlegają naukowemu potwierdzeniu. Na przykład naukowcy mogą zaproponować sposób na zoptymalizowanie systemu transportu publicznego, minimalizując koszty operacyjne i czas podróży, jednakże to społeczeństwo musi podjąć decyzję, czy chce bardziej inwestować w rozwój transportu publicznego, czy



Bys. Sławomir Makal

też w budowę dróg dla samochodów. Podobnie, jak nie można udowodnić, że lepsza jest zupa pomidorowa niż ogórkowa albo że Jan powinien słuchać Mozarta zamiast Bacha.

Od nauki do polityki

W związku z powyższym, zachodzi konieczność ustaleń nie-naukowych w sytuacjach, gdy możliwości zaspokajania potrzeb wszystkich obywateli są ograniczone. Dlatego w zastosowaniach nauki w praktyce obok kryterium prawdy (prawidłowości rozwiązania) pojawia się kryterium interesu. Od nauki (rozeznania) przechodzi się do polityki (decyzje).

Odpowiedzialność naukowa stanowi filar etyki zawodowej naukowca, lecz nie jest to kwestia moralna. Poszanowanie prawdy nie jest wymogiem dla wszystkich, jednakże dla naukowca jest to fundamentalny obowiązek zawodowy. Natomiast odpowiedzialność społeczna może być dylematem moralnym, ale dotyczy ona wszystkich członków społeczeństwa, nie tylko naukowców. Nie każdy musi angażować się w badania naukowe, jednakże wszyscy mają obowiązek dbać o to, aby wyniki tych badań służyły dobrobytowi społeczeństwa.

Rozróżnienie aksjologiczne celów staje się możliwe dopiero przy wykorzystaniu wyników badań naukowych, ale za to odpowiedzialna jest polityka, a więc całe społeczeństwo. Od strony użytkowników możliwa jest selekcja zastosowań nauki w dobrych i złych celach. Jest to oczywiste, gdyż tylko od użytkowników zależy, czy np. nowe technologie informacyjne będą

wykorzystywane do rozwiązywania problemów medycznych, poprawy efektywności produkcji, czy też do monitorowania i kontrolowania obywateli w sposób naruszający prywatność i prawa człowieka, czy ulepszone środki napędowe będą wykorzystywane w samochodach, czy w czołgach itd.

Rozwiązanie problemów poznawczych, czyli czysto naukowych, oraz problemów optymalizacyjnych podlega jedynie ocenie z punktu widzenia prawdziwości (prawidłowości). Natomiast ocenie pod względem moralnym podlega postawienie problemu (postulacja) i wykorzystanie wyników rozwiązania. Jednakże te elementy problemów optymalizacyjnych nie wchodzi w zakres działalności naukowej, ponieważ żądania zaspokajania potrzeb pochodzą od społeczeństwa i dlatego trzeba tu mówić o odpowiedzialności społecznej.

Ostatecznie więc: czy i za co odpowiadają naukowcy? Naukowcy odpowiadają za naukę, ale nie za wszystko. Za wszystko muszą odpowiadać wszyscy.

Tekst opracowałem na podstawie pracy Mariana Mazura pt. *Historia naturalna polskiego naukowca*, Warszawa 1970 oraz własnej obserwacji uczestniczącej i eksperymentów uczestniczących.

Parte proxima res continuetur.

Dr Paweł Kawalerski, Wojskowa Akademia Techniczna w Warszawie, sekretarz Rady Dyscypliny Naukowej „Nauki o Bezpieczeństwie” WAT

Wybrano nowych członków AMU PAN

Dużym zainteresowaniem cieszyły się tegoroczne wybory do Akademii Młodych Uczonych Polskiej Akademii Nauk. Zgłoszono rekordową liczbę 116 kandydatów (w tym 55 kandydatek), a ponieważ do obsadzenia było maksymalnie 17 miejsc, oznacza to, że na jedno było prawie siedmioro chętnych.

Skład AMU PAN liczy obecnie 35 członków. Wybierani są na tzw. zakładkę, tzn. część osób zostaje wymieniona w połowie kadencji, która trwa 5 lat. W tym roku pracę w AMU kończy 17 młodych uczonych i tyłu maksymalnie nowych członków mogło zostać wybranych na 151 sesji Zgromadzenia Ogólnego PAN, która odbyła się 20 czerwca. Ostatecznie wybrano 16.

Nowymi członkami rekomendowanymi przez **Wydział I Nauk Humanistycznych i Społecznych PAN** zostali: dr

Anna M. Górską z Akademii Leona Koźmińskiego, dr Dawid Rogacz z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, dr Bartosz Wołodkiewicz z Uniwersytetu Warszawskiego. **Wydział II Nauk Biologicznych i Rolniczych PAN** rekomendował: dr Katarzynę Klonowską z Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN, dr. Jana Łyczakowskiego z Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. hab. Pawła Antoniego Kołodziejskiego z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu i dr. Tomasza Kościółka z Politechniki Śląskiej. **Wydział III Nauk Ścisłych i Nauk o Ziemi PAN** wskazał: dr. hab. Macieja Dołęgę z Instytutu Matematycznego PAN, dr. hab. Michała Jakubowicza z UAM, dr. inż. Krzysztofa Ptaszyńskiego z Instytutu Fizyki Molekularnej PAN i dr. hab. Bartosza Szyszko z Uniwersytetu Wrocławskiego. **Wydział IV Nauk Technicznych PAN** nominował: dr. Dawida Dudkowskiego z Politechniki Łódzkiej, dr inż. Monikę

Janik i dr hab. inż. Żanetę Świdorską-Chadaż z Politechniki Warszawskiej i dr. hab. inż. Pawła Kryszkiewicza z Politechniki Poznańskiej. **Wydział V Nauk Medycznych PAN** wskazał: prof. Michała Grąta z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Akademia Młodych Uczonych została powołana w 2010 roku w celu promowania badań naukowych i prac rozwojowych prowadzonych przez wybitnych młodych przedstawicieli nauki polskiej. Jej członkowie nie mogą mieć więcej niż 38 lat i muszą posiadać co najmniej stopień naukowy doktora, a ponadto wyróżniać się wybitnymi osiągnięciami badawczymi oraz działalnością upowszechniającą naukę. AMU PAN ma za zadanie aktywizować środowisko młodych pracowników nauki m.in. poprzez przedstawianie opinii i programów dotyczących spraw nauki, organizowanie debat, dyskusji, konferencji naukowych oraz upowszechnianie ich wyników, a także upowszechnianie standardów etyki wśród młodych naukowców. W 2020 roku AMU PAN została jednym z 14 członków-założycieli europejskiego zrzeszenia akademii młodych uczonych Young Academies Science Advice Structure (YASAS). Od lutego przewodniczącym AMU PAN jest dr hab. n. med. Maciej Sałaga z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi.



Akademia
Młodych
Uczonych

MK

Ambitne kadry naukowe

Historia ta została opisana, bowiem rzuca światło na zachowania młodych naukowców, których pęd do kariery, realizowany z naruszeniem dobrych praktyk naukowych, nie powinien być akceptowany przez środowisko akademickie. Wygląda jednak na to, że jest inaczej.

Doktor weterynarii Olga Witkowska-Piłaszewicz (ur. 1991) jest obecnie adiunktem w Katedrze Chorób Dużych Zwierząt i Klinice (kierownik: dr hab. Bartosz Pawliński, prof. SGGW) Instytutu Medycyny Weterynaryjnej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Została też powołana przez ministra Przemysława Czarnka na przewodniczącą Rady Młodych Naukowców. Chyba nikt w ministerstwie nie wiedział wówczas (jesień 2023), że na uczelni prowadzone jest w stosunku do niej postępowanie dyscyplinarne z powodu zarzutów naruszenia zasad etycznych. Uczelnia zaś zablokowała tę nominację przez wysłanie odpowiedniej informacji do ministerstwa.

Nasza bohaterka bezpośrednio po otrzymaniu dyplomu lekarza weterynarii na SGGW zapisała się tam na studia doktoranckie (Szkoła Doktorska KNOW). Przez ostatni rok tych studiów była też zatrudniona jako asystent na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu (trawstując znane przysłowie: „rozsądne cielę dwie matki ssie”). Doktorat na temat powysiłkowej fizjologii zmęczenia u koni arabskich trenujących na długich dystansach (promotor: prof. Anna Cywińska) obroniła z wyróżnieniem w grudniu 2019 r. Wcześniej, na początku 2018 r., otrzymała trzyletni grant Preludium NCN (179 tys. zł.) na temat wpływu przeciwastmatycznego leku klenbuterol (często używanego przez sportowców do dopingowania – MW) na układ immunologiczny koni wyścigowych. Opiekunem naukowym tego projektu również była prof. A. Cywińska, wybitna badaczka fizjopatologii koni, poważana sędzia końskich sportowych rajdów długodystansowych. Od 2005 r. prowadzi ona badania nad oceną roli powysiłkowej reakcji ostrej fazy w adaptacji treningowej koni arabskich trenowanych do wyścigów i rajdów długodystansowych. Drugą osobą, świetnie znaną w naukowym „świecie końskim”, jest dr hab. wet. Lucjan Witkowski (przypadkowa zbieżność nazwisk). Zajmuje się on chorobami zakaźnymi tych pięknych zwierząt i jest profesorem w Samodzielnym Zakładzie Epidemiologii i Ekonomiki Weterynaryjnej SGGW. Olga Witkowska-Piłaszewicz mogła wejść w dość hermetyczne środowisko wyścigów i rajdów końskich dzięki kontaktom międzynarodowym i krajowym oraz szcunkowi, jakim cieszą się w tych kręgach profesorowie A. Cywińska i L. Witkowski. Pozwoliło jej to wykonać badania prowadzące do doktoratu. Niestety po obronie dysertacji współpracę z dotychczasowymi mentorami, dyplomatycznie mówiąc, się rozluźniła.

Wniosek habilitacyjny

Niecałe półtora roku po doktoracie, pod koniec kwietnia 2021 r., dr Olga Piłaszewicz złożyła do Rady Doskonałości Naukowej wniosek o otwarcie przewodu habilitacyjnego na własnym wydziale. Podstawą jej osiągnięcia naukowego są trzy artykuły naukowe opublikowane w zagranicznych czasopiśmie. W dorobku kandydatka przedstawiła 10 publikacji sprzed doktoratu oraz 9 prac opublikowanych po doktoracie. Jej wniosek – uważany za mocno przedwczesny – był zaskoczeniem dla wielu osób. Posiedzenie Rady Dyscypliny Weterynaria, na którym między innymi rozważano zgodę na przeprowadzenie tej habilitacji, odbyło się 23 czerwca 2021 r. Wśród 26 samodzielnych członków rady dyscypliny biorących udział w obradach nie było już prof. Cywińskiej. Badaczka od 1 marca 2021 r. zmieniła pracę, przechodząc do Katedry Nauk Podstawowych i Przedklinicznych Instytutu Medycyny Weterynaryjnej UMK w Toruniu. Jak mi powiedziała – była już zmęczona atmosferą panującą na macierzystym warszawskim wydziale, a jej wniosek o roczny urlop bezpłatny został w SGGW załatwiony odmownie.

Posiedzenie prowadził przewodniczący rady, prof. Marcin Bańbura, dyrektor Instytutu Medycyny Weterynaryjnej. W punkcie dotyczącym zgody rady dyscypliny na przeprowadzenie przewodu habilitacyjnego, sylwetkę kandydatki przedstawił dr hab. Tomasz Sadkowski, zastępca dyrektora instytutu. Poprosił obecną na sali dr O. Piłaszewicz, aby opowiedziała krótko o swoich osiągnięciach i dorobku. W dyskusji, jaka się później rozpoczęła, dr hab. Magdalena Z. Rzewuska wytknęła, że w dwóch opublikowanych artykułach zrealizowanych w granicy NCN Preludium, którego kierownikiem była habilitantka, zabrakło nazwiska opiekuna naukowego, prof. Anny Cywińskiej. Z kolei dr hab. Lucjan Witkowski zakwestionował określenie „nowoczesne”, które znalazło się w tytule osiągnięcia naukowego, jakim był jednotematyczny cykl publikacji „Nowoczesne techniki monitoringu adaptacji koni wyścigowych do wzrastających obciążeń fizycznych”. Jego zdaniem, badania cytometryczne i termograficzne, jak również oznaczenie poziomu kortyzolu w ślinie, które stosowała dr Piłaszewicz, to metody znane od wielu lat. Bardziej odpowiedni termin to „nowe zastosowanie”. Komentując opis zaangażowania habilitantki w prace organizacyjne, uznał, że np. opisane przez nią wysiłki włożone w organizację konferencji Polskiego Towarzystwa Hippiatrycznego są przesadzone i zawyżone. Z kolei prof. Jarosław Kaba, który – jak sam powiedział – aktywność kan-

dydatki obserwuje i ceni od wielu lat, generalnie uważa, że półtora roku po doktoracie to za mało czasu na uzyskanie dojrzałości i samodzielności naukowej, nie mówiąc już o doświadczeniu w nadzorze nad magistrantami czy doktorantami. I tak np. habilitantka w szkoleniowym dorobku po doktoracie wymieniła swoje pobyty zagraniczne, faktycznie były to zawodowe praktyki studenckie, które odbyła w okresie studiów. To budzi jego wątpliwości, podobnie jak fakt, że jej istotne „osiągnięcie naukowe” powstało w ciągu zaledwie 16 miesięcy od doktoratu. Nie ma nic przeciwko awansom młodych ludzi, ale nie powinny się one odbywać „jak wyścig, kto pierwszy ten lepszy”, bo wobec doktorów habilitowanych wymagamy pełnego ukształtowania. Radziłby zatem, aby dr Piłaszewicz wróciła z tym wnioskiem za kilka lat, co pozwoli jej zdobyć większe doświadczenie i pomnożyć dorobek. Polemizując z jego stanowiskiem, habilitantka poinformowała, że od miesiąca pełni funkcję promotora pomocniczego w dopiero co otworzonym przewodzie doktorskim, a na stażach zagranicznych spędziła miesiąc w USA oraz była na dwóch pięciodniowych szkoleniach cytometrycznych w Genewie. Zabierając ponownie głos prof. Rzewuska podzieliła opinię, że wiele aktywności jest przez dr Piłaszewicz rozpoczętych, ale potrzeba kilku lat, aby zostały zakończone. Dyskusję zakończyła prof. Iwona Markowska-Daniel, stwierdzając, że okres 16 miesięcy na napisanie 9 publikacji po doktoracie jest niezwykle krótki, co sugeruje, że artykuły opierają się na badaniach i koncepcjach z okresu pracy nad doktoratem. Habilitantka odpowiedziała, że 90% próbek badawczych pobrała już po obronie dysertacji doktorskiej. W pierwszym głosowaniu nad zgodą rady na otwarcie przewodu szesnaście osób głosowało „nie”, dwie „tak”, zaś siedem osób wstrzymało się od głosu. W drugim głosowaniu nad odmową przeprowadzenia przewodu, dwadzieścia osób było za, jedna przeciw, a dwie wstrzymały się od głosu. Wniosek więc nie przeszedł. W takiej sytuacji Rada Doskonałości Naukowej wskazuje nową radę na innej uczelni, która musi przeprowadzić habilitację bez możliwości sprzeciwu. Po jakimś czasie okazało się jednak, że posiedzenie Rady Dyscypliny Weterynarii SGGW odbyło się kilka dni po upływie 30-dniowego terminu, w którym organ może wyrazić sprzeciw. Odmowa po tym czasie jest bezskuteczna, a zatem przewód habilitacyjny dr Olgi Witkowskiej-Piłaszewicz musi być prowadzony przez Radę Dyscypliny na SGGW.

Kroki dyscyplinarne

Odrzucony przewód habilitacyjny powrócił zatem i na kolejnych posiedzeniach rady dyscypliny, już po wakacjach, powołano komisję habilitacyjną i recenzentów. W trzy tygodnie od powołania recenzentów, 10 listopada 2021 r., prof. Jarosław Kaba skierował za pośrednictwem Biura RDN pismo do komisji habilitacyjnej przewodu dr O. Piłaszewicz. Poinformował wszystkich jej członków, że Rada Dyscypliny Weterynarii SGGW

nie chciała procedować tego przewodu, gdyż się okazało, że w autoreferacie kandydatki są naruszenia etyczne. I wyszczególnił wszystkie te, które później znalazły się we wniosku dyscyplinarnym. Jak się dowiedziałem, informacja dotarła też do recenzentów, którymi byli: prof. Jarosław Mariusz Całka, UWM w Olsztynie, prof. Artur Niedźwiedz, UP we Wrocławiu, prof. Dariusz Jan Bednarek, Państwowy Instytut Weterynaryjny w Puławach oraz dr hab. Dorota Lewczuk, Instytut Genetyki i Biotechnologii Zwierząt PAN w Jastrzębcu. Recenzenci na początku stycznia 2022 r. przysłali już swoje opinie, ale ze względu na zawieszenie postępowania 24 stycznia 2023 roku (o czym poniżej), recenzje nie są upublicznione. Nieoficjalnie wiem, że jedna recenzja jest negatywna, a trzy pozytywne. Obecne przepisy dotyczące procedowania awansów naukowych (habilitacyjnych czy też profesorskich) milczą na temat poważnych naruszeń etycznych (kłamstw czy przekłamań) w sporządzonym przez kandydatów opisie własnego dorobku organizacyjno-naukowego. Jak się wydaje, RDN uważa, że skoro nie ma przepisu, to nie ma też sprawy.

Grupa profesorów z SGGW była oburzona faktem normalnego procedowania postępowania habilitacyjnego dr Piłaszewicz.



PATOLOGIA W NAUCE
SPRAWIA, ŻE SIĘ SMUCIĘ

Rys. Sławomir Makal

szewicz. Wiedzieli, że w autoreferacie znajdują się informacje o jej osiągnięciach, które nie są zgodne z prawdą. Szczególnie dotknięty i zdradzony czuł się prof. Lucjan Witkowski, którego rekomendacje i starania bardzo ułatwiły habilitantce drogę do sukcesów. Ujawnione fakty i dowody spowodowały, że dyrektor instytutu, prof. Marcin Bańbura, zmuszony był jesienią 2022 r. powiadomić o sprawie rektora SGGW i zażądać przeprowadzenia wyjaśniającego postępowania dyscyplinarnego. Rektor Michał Zasada zlecił to rzeczniczce dyscyplinarnej, dr hab. Iwone Kowalskiej, prof. SGGW, ekonomistce z Katedry Finansów Instytutu Finansów i Ekonomii. Po zapoznaniu się z przesłanymi do rektora dokumentami 24 stycznia 2023 r. wydała ona formalne postanowienie o wszczęciu postępowania wyjaśniającego. Zapewne musiało być ono zasygnalizowane władzom Instytutu Weterynarii SGGW, gdyż jeszcze tego samego dnia prof. Marcin Bańbura zwołał nadzwyczajne posiedzenie Rady Dyscypliny Weterynaria. Przedstawił jej członkom formalne powody działania rzeczniczki dyscyplinarnej (było sześć zarzutów, które opisuję poniżej) i poprosił dr Olę Witkowską-Piłaszewicz o opuszczenia posiedzenia, gdyż obrady jej dotyczyły, a zatem jest ona stroną. Następnie poinformował, że okoliczności prawne zmuszają radę do zawieszenia toczącego się przewodu habilitacyjnego (20 października 2021 r. powołano komisję habilitacyjną, w tym recenzentów, którym wysłano materiały – MW). Głos w dyskusji zabrał dr hab. Lucjan Witkowski, który potwierdził informacje przewodniczącego rady i dodał, że toczy się także postępowanie wyjaśniające Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej Zachodniopomorskiej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej, której członkiem jest dr Witkowska-Piłaszewicz, mimo że zawód lekarza weterynarii wykonuje w Warszawie, gdzie pracuje na SGGW. To postępowanie jest niezależne od prowadzonego na uczelni, ale dotyczy także naruszenia etyki zawodowej lekarza weterynarii, co ma umocowanie prawne. W tajnym głosowaniu 22 osoby opowiedziały się za bezterminowym zawieszeniem postępowania habilitacyjnego aż do zakończenia sprawy dyscyplinarnej. Jedną była przeciwna takiej decyzji.

Prof. Iwona D. Kowalska przez dalsze miesiące przesłuchiwała pokrzywdzonych i świadków. W drugiej połowie 2023 r. złożyła wniosek o ukaranie do Uczelnianej Komisji Dyscyplinarnej (przewodniczący: prof. Jan Rozbicki z Katedry Agronomii), zarzucając obwinionej, że „dopuszcza się czynów stanowiących uchybienie obowiązkowi nauczyciela akademickiego obejmujących: pominięcie opiekuna naukowego grantu Preludium – prof. dr hab. Anny Cywińskiej w publikacjach powstałych w jego rezultacie; przypisanie sobie wiodącej roli w projekcie dr hab. Lucjana Witkowskiego oraz współpracy naukowej z Virginia-Maryland College of Veterinary Medicine, a także w przygotowaniu ostatecznej wersji manuskryptu: «Variations in haematological and biochemical parameters in healthy ponies», przypisanie sobie w 2021 r. roli głównego pomysłodawcy fakultetu «Perspektywy zawodowe lekarza weterynarii», przypisanie sobie współpracy naukowej z Uniwersytetem Przyrodniczym w Poznaniu». Zażądała ukarania oskarżonej naganą.

Przewodniczącym Zespołu Orzekającego został dr hab. Paweł Obstawski, prof. SGGW z Katedry Podstaw Inżynierii i Energetyki. Pierwsza rozprawa dyscyplinarna miała miejsce 8 stycznia br. Na niej oraz na następnych, w kolejnych miesiącach, przesłuchiowano świadków. Dr Olga Witkowska-Piłaszewicz odmówiła mi komentarza do tych zarzutów aż do zakończenia tych postępowań.

Jak się dowiedziałem, jej bezpośredni zwierzchnik, dr hab. Bartosz Pawliński, w skardze do rektora zarzucił dr hab. Lucjanowi Witkowskiemu stosowanie mobbingu wobec dr Olgi Piłaszewicz.

Rektor Zasada, zamiast skierować sprawę do Rektorskiej Komisji Przeciwdziałania Mobbingowi, 28 września 2023 r. zlecił zajęcie się nią rzeczniczce dyscyplinarnej, prof. Iwone Kowalskiej. Ta przyjęła sprawę pomimo konfliktu interesów – złożyła przecież wniosek dyscyplinarny przeciwko dr Piłaszewicz, którego przyczyną była skarga prof. L. Witkowskiego – zamiast formalnie odmówić rektorowi. Przecież mobbing nie leży w gestii rzeczownika dyscyplinarnego, to naruszania na gruncie prawa pracy, a nie kodeksu postępowania karnego. Postanowieniem z 22 grudnia 2023 r. prof. Kowalska wszczęła postępowanie wyjaśniające wobec dr hab. Lucjana Witkowskiego.

Uważam, że wydumane i złośliwe oskarżenia o mobbing za to, że ktoś ma odwagę poruszenia publicznie trudnych spraw, tłumią wszelką krytykę naukową, której i tak prawie u nas nie ma. Obie sprawy dyscyplinarne się toczą, a o ich wyniku poinformujemy.

Głowa w piasek

Wielu nauczycieli akademickich znających tę sprawę wzburzyło to, że minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek w ostatnim miesiącu swojego urzędowania powołał dr Olę Witkowską-Piłaszewicz na stanowisko przewodniczącej Rady Młodych Naukowców. Już 12 grudnia 2023 r. red. Marek Sławiński opublikował z nią w tygodniku „Wprost” obszerny wywiad, a na początku stycznia „Forum Akademickie” zamieściło zdjęcie i notkę o nominacji. Z kolei 1 lutego 2024 r. nowy wiceminister nauki dr hab. Andrzej Szeptycki (profesor politologii z UW) powołał nowo mianowaną przewodniczącą RMN w skład Zespołu Ekspertów ds. Strategii Umiejętnościarnodowień. Stanowią go osoby zajmujące wysokie i szczytne stanowiska w szkolnictwie wyższym i nauce, w tym szefowie KRASP, KRUP, FNP, NCN, KPN i NAWA. Ponieważ władze SGGW po pięciu miesiącach od tej nominacji nie poinformowały ministra Dariusza Wierzchowskiego o wszczęciu postępowania dyscyplinarnego wobec przewodniczącej RMN z powodu zarzutów naruszenia dobrych praktyk akademickich, zmuszony jestem zrobić to ja, niżej podpisany. Zwracam się do Pana Ministra o odwołanie dr Olgi Witkowskiej-Piłaszewicz ze stanowiska Przewodniczącej Rady Młodych Naukowców.

Komentarz

Jak zwykle przy wymianie pokoleń, to „młode” gubi pewne wartości szanowane przez „stare”. To „średnie” z kolei nasiąkło wiarą, że ważne jest nie to co widać, tylko to co się mówi. A papier i mowa wszystko zniosą.

Muszę dodać, że dr Olga Witkowska-Piłaszewicz w konkursie OPUS 21 otrzymała finansowanie trzyletniego grantu „Badanie reakcji organizmu na wysiłek fizyczny z zastosowaniem biologii systemowej u koni wyścigowych” na sumę 2 507 500 zł. Rozpoczęcie projektu: 25 stycznia 2022 r. Z kolei jej drugi trzyletni grant pt. „Rola mikropęcherzyków w kształtowaniu się wydolności wysiłkowej u koni” w konkursie SONATA 18 otrzymał 2 182 800 zł. Rozpoczęcie projektu: 27 czerwca 2023. Jest to niewątpliwie bardzo duże osiągnięcie, dlatego wiele osób, w tym być może także władze rektorskie SGGW, zostały tymi kwotami (łącznie 4 690 300 zł) pozytywnie zaskoczone i przez ich przyzmat trudno im dostrzec naruszenia etyczne popełnione przez laureatkę konkursów NCN. Nb. ostatnio brała ona udział w debacie „okrągłego stołu” na temat przyszłości i kierunków działań tej agencji.

Marekwro@gmail.com

Dr hab. n. med. Marek Wroński jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Kaliskiego. Zajmuje się patologią nauki od 26 lat.

Laureat Europejskiej Nagrody Naukowej
im. Stanisława Lema w 2023 roku

Prof. **Ido Kaminer**
z Technion



**Dziękujemy, że razem z nami wspieracie
młodych badaczy i rozwój nauki**

Więcej informacji: lemprize.pwr.edu.pl
#lemprize

FUNDATORZY I PARTNERZY



Plagiaty na łonie Królowej Nauk

Muszę podkreślić, że zarówno dziekan, prof. Strzelecki, jak i prof. Tyszkiewicz udzielili mi błyskawicznie odpowiedzi i udostępnili kopie dokumentów, o które wnioskowałem. Także dr Daria Michalik udostępniła mi bez zwłoki kopię swojego „Oświadczenia” z 5 czerwca 2023 r. dla Komisji Etyki.

To ciekawa historia, dotyczy naruszenia praw autorskich w matematyce. Jej bohaterką jest dr Daria Michalik (ur. 1976), od 1 marca 2023 r. adiunkt (1/2 etatu na czas określony) w Instytucie Matematyki Uniwersytetu Warszawskiego. Zatrudniona została na podstawie pozytywnej opinii Rady Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki (MiM) UW z 21 grudnia 2022 r. Doktoryzowała się w 2007 r. w Instytucie Matematycznym PAN w Warszawie. Promotorem jej dysertacji pt. *Przekształcenia w iloczynny kartezyjskie krzywych Sierpińskiego, względnie ich nie zwartych odpowiedników* był prof. Adam Henryk Toruńczyk (ur. 1945) em. profesor IM UW. Recenzentami zaś profesorowie Józef Krasinkiewicz (ur. 1944 – zm. 2019) z IM PAN i Paweł Krupski (ur. 1953) z IM UW. Od kwietnia 2008 r. dr Michalik przez 11 lat pracowała jako adiunkt w Instytucie Matematyki UKSW w Warszawie, z którego odeszła z końcem roku akademickiego 2019, gdyż nie uzyskała w przewidzianym okresie habilitacji. Od 1 października 2019 r. zatrudniona została jako adiunkt w Katedrze Matematyki Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, skąd po dwóch i pół roku pracy zrezygnowała z końcem lutego 2023 r., aby powrócić do Warszawy na UW.

W końcu kwietnia 2023 r. Rada Wydziału MiM UW ogłosiła wyniki konkursu na zatrudnienie pełnoetatowych adiunktów. Spośród 16 osób starających się o zatrudnienie Komisja Konkursowa pod przewodnictwem prof. Jarosława Wiśniewskiego wybrała do zatrudnienia w Instytucie Matematyki listę rankingową czterech „najlepszych” kandydatów. Wśród nich znalazła się dr Daria Michalik. Sprawa ewentualnego zatrudnienia już na stały, nieograniczony czasowo etat matematyczki, która w ciągu 14 lat pracy po doktoracie nie zdołała uzyskać habilitacji, wywołała oburzenie kilku profesorów. Uważali oni, że tylko młodzi, zdolni i prężni adiunkci z talentem matematycznym mogą wypełnić lukę pokoleniową i dzięki swoim zdolnościom szybko się usamodzielniać naukowo. Ich zdaniem „sezonowani” adiunkci z kilkunastoletnim doświadczeniem dydaktycznym i w średnim wieku nie spełnią tych nadziei. W matematyce i fizyce awanse naukowe zawsze były dość szybkie, a 40-letni profesorowie nie są niczym nadzwyczajnym.

Zarzuty

Po niedługim czasie, 16 maja 2023 r., anonimowy sygnalista przekazał na ręce prof. Jarosława Wiśniewskiego materiały świadczące o możliwym naruszeniu praw autorskich przez kandydatkę w kilku jej artykułach. Ten sprawę bezzwłocznie przekazał dziekanowi Wydziału, prof. Pawłowi Strzeleckiemu, który jeszcze tego samego dnia zlecił Komisji Etyki w Badaniach Naukowych (istniejącej od wielu lat na Wydziale MiM UW) formalne wyjaśnienie zarzutów. Sześciuosobowa Komisja, której przewodniczył prof. Jerzy Tyszkiewicz, rozpoczęła prace 19 maja 2023 r. Przez kilka tygodni porównywała trzy wskazane artykuły dr Darii Michalik z lat 2014-2017 wydrukowane w amerykańskim czasopiśmie „Topology and its Applications” z pracą doktorską Zbigniewa Furdzika (1937-1988), adiunkta Instytutu Matematyki AGH w Krakowie. Jego dysertacja *O własnościach pewnych rozkładów przestrzeni topologicznych na iloczynny kartezyjskie* została obroniona w 1968 r. w Instytucie Matematycznym PAN w Warszawie, gdzie 39 lat później obroniła się także Daria Michalik. Dr Furdzik, który był też znanym międzynarodowym arcymistrzem brydża (klub Wisła Kraków), zginął tragicznie w wypadku samochodowym w Niemczech.

Dysponując rezultatami wszechstronnej analizy (w pracach brał udział m.in. członek Komisji prof. Witold Marciszewski, kierownik Zakładu Geometrii i Topologii UW), przewodniczący Komisji prof. Jerzy Tyszkiewicz skierował 1 czerwca 2023 r. list do dr Michalik, prosząc o ustosunkowanie się do odnalezionych podobieństw w dowodach matematycznych jej dwóch artykułów z dysertacją Z. Furdzika. Odpowiedź uznano na zebraniu Komisji 20 czerwca 2023 r. za nieprzekonującą. Postanowiono przekazać ustalenia władzom dziekańskim i rektorskim, a jednocześnie poinformować o nich redakcję czasopisma „Topology and its Applications”, prosząc o retrakcję (unieważnienie) artykułów. Już 23 czerwca 2023 r. równoległe poinformowano o decyzji Komisji dr Darię Michalik, władze uczelni i amerykańskie czasopismo wydawane przez Elsevier.

Tego samego dnia dziekan Paweł Strzelecki wystosował do rektora Alojzego Nowaka drogą elektroniczną pismo, w którym poinformował o wynikach pracy Wydziałowej Komisji Etyki i poprosił o wszczęcie dyscyplinarnego postępowania wyjaśnia-

jącego wobec adiunkta Darii Michalik w związku z zarzutem plagiatu naukowego w dwóch publikacjach.

Dochodzenia i konsekwencje

List do redakcji „Topology nad its Applications” prof. J. Tyszkiewicz skierował na ręce redaktorów naczelnych: Alana Dow, profesora w Katedrze Matematyki i Statystyki Uniwersytetu Północnej Karoliny w Charlotte (USA) oraz Jana van Mill, wybitnego profesora topologii z Uniwersytetu w Amsterdamie (Holandia). Czasopismo założono w 1971 r. i obecnie publikuje 18 zeszytów (issue) w ciągu roku w wersji hybrydowej (APC wynosi \$ 2770). Utrzymujący się od lat na podobnym poziomie Impact Factor wynosi obecnie 0,6. Ciekawe, że stanowisko Managing Editor (redaktor zarządzający) zajmuje prof. Jerzy Dydak, który jest od wielu lat profesorem matematyki (algebra i topologia) na amerykańskim Uniwersytecie Tennessee, Knoxville, jednak maturę zrobił w I Liceum Ogólnokształcącym w Dębicy w 1969 r. (zdobywając wcześniej 3-krotnie laur zwycięzcy Krajowej Olimpiady Matematycznej). Ukochaną matematykę studiował na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie w krótkim czasie po magisterium, już w 1975, obronił doktorat, którego promotorem był prof. Karol Borsuk (1905-1982).

15 sierpnia 2023 r. redakcja odpowiedziała, że powołano eksperta, który potwierdził zarzuty naruszenia praw autorskich, sprawę skierowano więc do Komisji Etyki w Wydawnictwie Elsevier. Pod koniec stycznia 2024 r. prof. Jan van Mill powiadomił, że oba artykuły zostaną retraktowane. 24 maja retrakcje ukazały się w internecie. Zauważyłem je 30 maja i zacząłem dowiadywać się o szczegóły tej sprawy. Muszę podkreślić, że zarówno dziekan, prof. Strzelecki, jak i prof. Tyszkiewicz udzielili mi błyskawicznie odpowiedzi i udostępniili kopie dokumentów, o które wnioskowałem. Także dr Daria Michalik udostępniła mi bez zwłoki kopię swojego „Oświadczenia” z 5 czerwca 2023 r. dla Komisji Etyki (jego tłumaczenie angielskie wysłała do Redakcji „Topology and its Applications”). Tekst ten jest upakowany wzorami i dla laików całkowicie niezrozumiały. Poproszona o komentarz, dr Michalik napisała: „O pracy doktorskiej Z. Furdzika dowiedziałam się [w styczniu 2012 r.] od prowadzących «Seminarium z Topologii» w Instytucie Matematycznym PAN: od prof. Stani-

śława Spieża i prof. Józefa Krasinkiewicza, którzy o istnieniu tej pracy dowiedzieli się znacznie później niż odbył się cykl seminariów w IM PAN o tej tematyce. Nie pamiętam kiedy dokładnie to było. Na pewno pracę doktorską Furdzika przeczytałam po wysłaniu do publikacji mojej pierwszej pracy w tej tematyce (opublikowanej w 2014 r.) i po otrzymaniu wyników zawartych w pracach opublikowanych w 2016 i 2017 roku”.

Z kolei wyjaśniające postępowanie dyscyplinarne „drgnęło” 16 września 2023 r., kiedy to wyznaczony przez rektora A. Nowaka, rzecznik dyscyplinarny, dr hab. Jerzy Szafranski, profesor w Zakładzie Prawa Administracyjnego, Gospodarczego i Bankowego UW, poprosił o materiały (rektor otrzymał je 23 czerwca 2023 r. na dysk Google). Pięć tygodni później, 23 października 2023 r., rzecznik wydał formalne „Postanowienie o wszczęciu postępowania wyjaśniającego”. Dr Michalik została przesłuchana w styczniu 2024 r., przekazując cytowane powyżej „Oświadczenie”. Nikt z członków Komisji dotąd nie zeznał. Mamy obecnie połowę czerwca, minęło 7,5 miesiąca od rozpoczęcia formalnych działań rzecznika, które prawo nakazuje zakończyć po 6 miesiącach, oraz rok od powiadomienia o sprawie rektora Nowaka.

Tak samo było w przypadku spektakularnego plagiatu w książce dr. hab. Remigiusza Kijaka, byłego profesora Wydziału Pedagogicznego UW, w którego sprawie postępowanie wyjaśniające wszczął 8 maja 2023 r. inny rzecznik dyscyplinarny, dr hab. Tomasz Piotr Kamiński z Zakładu Międzynarodowego Prawa Publicznego UW. Minęło już 13 miesięcy „działań” rzecznika, a końca sprawy nie widać. Co dwa miesiące pytam rektora UW, czy jest już wniosek dyscyplinarny. Sytuacja jest podobna do tej ze starego dowcipu o płaszczu zostawionym w szatni: „Nie mamy pańskiego płaszczu i co nam pan zrobisz?”.

Umieędzynarodowienie plagiatowych retrakcji

Formalnej retrakcji (unieważnienia), która z datą 15 czerwca 2024 r. „poszła w świat” trzy tygodnie wcześniej, uległy dwa artykuły dr Darii Michalik, opublikowane w okresie kiedy pracowała w Instytucie Matematyki Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Pierwszy to *Some remarks on the uniqueness of decomposition into Cartesian product*, „Topology and its Applications”, Vol. 201, 15 March 2016, Pages 2-12.



Bys. Sławomir Makel

Drugi artykuł to *The decomposition uniqueness for infinite Cartesian products*, „Topology and its Applications”, Vol. 230, 1 October 2017, Pages 16-23.

Tekst obydwu retrakcji jest identyczny i w polskim tłumaczeniu (M. Wroński) brzmi: „Artykuł został unieważniony na żądanie redaktora naczelnego po otrzymaniu skargi o niepoprawnym cytowaniu. Redakcja poprosiła niezależnego recenzenta, który potwierdził, że stwierdzenia w tym artykule znacznie pokrywają się z doktoratem Z. Furdzika („O własnościach pewnych rozkładów przestrzeni topologicznych na iloczyny kartezjańskie”, 1968, nieopublikowany maszynopis w Instytucie Matematycznym Polskiej Akademii Nauk, Warszawa) bez poprawnego zacytowania”.

10 czerwca 2024 r. na znany i czytany przez dziesiątki tysięcy naukowców blogu „Retraction Watch” ukazała się notka dziennikarska *Dwa artykuły unieważnione za splotowanie*

50-letniego doktoratu autorstwa młodej, nowojorskiej reporterki, Avery Orall, która od niedawna współpracuje z szefami założycielami bloga: Adamem Marcusem i Ivanem Oranskym. Tego typu informacje ukazują się tam codziennie, oprócz niedziel. W sobotę dodatkowo jest przegląd artykułów o niezręcznościach naukowych z całego świata.

Blog jest śledzony przez większość dziennikarzy naukowych na świecie i „wieści ze świata retrakcji” są powielane i wspomniane w dziesiątkach gazet i setkach lokalnych blogów naukowych. Dlatego umiędzynarodowienie polskich „osiągnięć” na polu patologii nauki, jest pewne.

Marekwro@gmail.com

Dr hab. n. med. Marek Wroński jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Kaliskiego. Zajmuje się patologią nauki od 26 lat.

Retrakcyjny rekord

W cyklu „Z Archiwum nieuczciwości naukowej” przedstawiamy często informacje o retrakcjach artykułów polskich naukowców, czyli wykreśleniach z czasopism naukowych tekstów uznanych za niezetelne (np. z powodu plagiatów czy fałszerstwa danych naukowych). To zjawisko nasila się wraz z naciskiem na aktywność publikacyjną. Dotyczy nie tylko naszego kraju. Postanowiliśmy przypomnieć artykuł dotyczący niechlubnego zeszłorocznego rekordu.

Pół roku temu, brytyjski tygodnik naukowy „Nature”, piórem swojego redaktora Richarda van Noordena, podniósł kwestię znacznego wzrostu liczby retrakcji w roku 2023, która osiągnęła rekordową do tej pory liczbę ponad 10 tysięcy w jednym roku (patrz: „Nature” 624, 479-481, 12 grudnia 2023). Główną przyczyną były masowe usunięcia artykułów i doniesień konferencyjnych zawartych w czasopismach wydawanych przez znane wydawnictwo Hindawi. Zostało ono założone w 1997 r. w Kairze przez wykształconego w Stanach Zjednoczonych egipskiego fizyka dr. Ahmeda Hindawi. Dwadzieścia lat później wydawnictwo, wydające już około 250 czasopism naukowych, przeważnie w otwartym dostępie, zostało przeniesione do Londynu. W 2021 r. za cenę prawie 300 milionów dolarów (odpowiadającą siedmiokrotnemu rocznemu przychodowi Hindawi) kupił je amerykański gigant wydawniczy z New Jersey, John Wiley & Sons. W ciągu kilku następujących lat okazało się, że część tych czasopism prowadzi niezetelne praktyki wydawnicze, szczególnie w tzw. numerach specjalnych. Pod nadzorem mało skrupulatnych redaktorów naczelnych (po angielsku opisanych jako „scammers” – oszuści), angażowanych jako guest-editors, publikowano niskiej jakości artykuły, głównie autorów z krajów azjatyckich, które przechodziły pseudo recenzje. Wiley ponosząc duże straty finansowe, zmuszony był zamknąć kilkanaście czasopism i zaprzestał używania nazwy i znaku firmowego Hindawi. Setki tych artykułów retraktowano, gdyż pisane były przez tzw. fabryki artykułów (paper mills). Ich autorzy pochodzili głównie z krajów azjatyckich, w których – podobnie jak i w Polsce – wprowadzono wymóg posiadania publikacji międzynarodowych. Van Noorden podał, że w ogólnej liczbie retrakcji przypadających na 10 tys. opublikowanych artykułów, przodują: Arabia Saudyjska (30,6), Pakistan (28,1), Rosja (24,9), Chiny (23,5), Egipt (19,8), Malezja (17,2), Iran (16,7) oraz Indie (15,2). Nie ma w ścisłej czołówce Polski, za to są kraje, które chwaliłiśmy w Polsce wielokrotnie za niezwykły rozwój nauki, udane jej reformy i wysokie pozycje w rankingach międzynarodowych. Ocenia się, że dotychczas ich ogólna liczba przekroczyła 50 tysięcy, przy czym ok.

45 tys. jest w bazie Retraction Watch, a ok. 5 tysięcy czeka ciągle na wpisanie. Aż 25% tych retrakcji dotyczy prac konferencyjnych.

Autorzy z polskich placówek naukowych figurują tam 230 razy, ale to, moim zdaniem, zaniżone dane. Retrakcje zaczęły narastać lawinowo w ostatnich kilku latach z powodu pojawienia się setek nowych czasopism open access. Formuła „pay and publish” za wysokie opłaty, powoduje u redakcji chęć jak największego zarobku, wywołało to więc pojawienie się szybkich pseudo recenzji mało kompetentnych recenzentów. Niedawno na forum PubPeer znalazłem anonimowy komentarz, zwracający uwagę na dwie pozytywne recenzje dość skomplikowanej pracy polskich autorów. Miały one po ok. 35 słów, głównie zachwyty. . . To nie jest rzetelna recenzja, bo każdy może napisać kilka frazesów na temat każdej pracy, nie mając najmniejszego pojęcia o temacie. Drukowanie przez chciwych wydawców kiepskich, nic nie znaczących naukowo publikacji powoduje, że są one później cytowane w artykułach poglądowych przez „gangi cytownicze”. To powstałe – często przypadkowo – grupy znajomych/nieznajomych, którzy piszą „zamówione z góry” artykuły poglądowe. Powołują się w nich na konkretne prace wskazanych wcześniej przez redakcje autorów, nabijając im cytowność, która zwiększa ich prestiż na własnej uczelni czy nawet w kraju. Tego typu praktyki zaczęły przenikać także do Polski. Opisał to na blogu „For Better Science” dr Leonid Schneider, biolog molekularny od lat mieszkający w Niemczech.

Zdaniem nowozelandzkiego badacza niezetelnych zachowań publikacyjnych, dr. Dawida Bimlera (fizyka i matematyka psychologii), który pod pseudonimem „Smut Clyde” od dawna obnaża miałość wielu prac naukowych, fabryki artykułów mają zły wpływ na całość sfery publikacyjnej, bo poprzez fałszywą cytowność wykrzywają i zniekształcają obraz literatury naukowej.

Pokazujemy ten artykuł z „Nature”, bowiem także na łamach FA od lat zwracaliśmy uwagę na tzw. numery specjalne, których redaktorami i autorami są polscy naukowcy, publikujące materiały konferencyjne. W Polsce często przytaczano jako wzór kraje azjatyckie, odnoszące w rankingach międzynarodowych sukcesy będące skutkiem udanych reform; dotyczyło to m.in. Chin, Indii, czy Arabii Saudyjskiej, ale także Rosji, czyli państw, które znalazły się w gronie głównych bohaterów zestawienia liczby retrakcji. Jak widać, ten „sukces nowoczesnej nauki” ma swoją ciemną stronę. Dobra jest ta informacja, że Polska (jeszcze) nie należy do tych przodujących w „konkurencji” opisanej w „Nature”.

Marek Wroński

Zbigniew Drozdowicz

Życie po wyborach

Przed każdym wybranym w ostatnich wyborach rektorem stoi wezwanie: „do roboty”. To, co rektor robi i zrobi jest oceniane nie tylko na końcu jego kadencji, ale także co roku poprzez głosowanie senatu nad sprawozdaniem z jego działalności w minionym okresie. Sprawia to, że osoba obejmującą stanowisko rektora ma podstawy do postawienia sobie pytania: jak żyć, aby nie tylko sprostować wyzwaniu, ale także mieć osobistą satysfakcję z pełnienia funkcji zarówno w trakcie, jak i po jej zakończeniu.

Zapewne dla większości członków uczelnianych społeczności zakończone dopiero co wybory władz niewiele zmienią w zawodowym życiu. Jest jednak mniejszość, która z pewnym niepokojem spogląda w przyszłość i być może stawia pytanie: jak będzie wyglądało po wyborach jej życie? Wiele jednak zależy od tego, kto je stawia i komu. Wiele także zależy od tego, czy znajduje się on w gronie wygranych, czy przegranych w tej batalii.

Wygrani w wyborach

To, że na wielu uczelniach o stanowisko rektora na kolejną kadencję ubiegała się tylko jedna osoba i je uzyskała, nie oznacza jeszcze, że nic istotnego się tam nie zmieni. Druga kadencja oznacza bowiem, że nowy-stary rektor nie będzie już mógł więcej brać udziału w wyborach, a co za tym idzie, może realizować nawet takie pomysły, które nie zyskają uznania większości pracowników uczelni. Może on nawet podjąć próbę realizacji ambitnych planów, które w jego przekonaniu są korzystne dla całej uczelni, ale wiążą się z koniecznością podjęcia radykalnych kroków w polityce kadrowej i finansowej. Trzeba jednak mieć nie tylko takie ambicje, ale również takie pomysły. Nie twierdzę, że nie ma rektorów, którzy je mają. Takich spotykałem również na mojej drodze. Problem w tym, że każdy nowo wybrany rektor w kampanii wyborczej przedstawiał jakieś zobowiązania i ci, którzy udzielili mu poparcia, oczekują, że wywiąże się przynajmniej z ich zasadniczej ich części. Jeśli jednak była to z jego strony jedynie wyborcza gra, to po wyborach „piłka” jest już po jego stronie, a ewentualne odwołanie go z tego stanowiska wymaga poparcia przez kolegium elektorów większością co najmniej trzech czwartych głosów, w obecności co najmniej dwóch trzecich jego statutowego składu. Problem również w tym, że funkcja rektora wiąże się nie tylko z wypełnianiem licznych obowiązków, ale także z przywilejami, jakich nie posiada żaden inny pracownik uczelni. Rektorzy, którzy mają zamiłowanie do podróżowania, mogą teraz to robić nie tylko prywatnie, ale także służbowo. Ci, którzy mają zamiłowanie do urzędowania, mogą teraz urzędować całymi godzinami, nawet w dni teoretycznie wolne od pracy. Z kolei ci, którzy całym po ludzku chcieliby się wygadać przed szerszym gronem osób, mają teraz niezliczone do tego okazje i raczej nikt

im nie powie: „pani rektor/panie rektorze, proszę nas nie zanudzać swoją gadaniną”. Są również możliwości życia „na bogato”, żeby tylko tytułem przykładu wymienić korzystanie ze służbowego samochodu z kierowcą czy biesiadowanie nawet bez żadnej specjalnej okazji.

Natomiast nowi rektorzy niejednokrotnie wcześniej pełnili funkcję prorektorów lub dziekanów, a co za tym idzie z reguły są dobrze zorientowani w rektorskich realiach. Jeśli nawet akceptowali to, co robił ich poprzednik, to teraz mogą wprowadzić do tego niejedną korektę lub nawet dokonać „aksamitnej rewolucji”, jeśli tak można powiedzieć o tych z pozoru niewielkich, ale jednak istotnych dla funkcjonowania władz rektorskich zmianach, jak np. nowy podział obowiązków prorektorów czy wymiana części rektorskiego sekretariatu, która swoją mocną pozycję zawdzięczała nie tyle kompetencjom, ile wyrozumiałości poprzednika. Jeśli jednak wybory przebiegały pod hasłem: „uczelnia potrzebuje radykalnych zmian” i wygrani w nich wskazywali na poważne uchybienia w działaniach poprzedników, to już nie ma miejsca na żadne „zmiłuj” czy „daj nam spokojnie dotrzeć do emerytury”. Nie takie bowiem były oczekiwania tych, którzy nowemu rektorowi udzielili poparcia. Któraś z tych osób przy okazji wyborów na następną kadencję może mu postawić pytanie: dlaczego tak niewiele z zapowiedzi zostało zrealizowanych? Są przypadki rektorów, którzy już po jednej kadencji mieli dosyć mitręgi i nie kandydowali na następną. Należy to jednak do wyjątków. Dla zdecydowanej większości rektor pierwszej kadencji to naturalny kandydat na następną, a są przecież także osoby, które po odczekaniu obowiązkowej karencji, ubiegają się (często z powodzeniem) o wybór na trzecią, a jeśli wiek pozwoli, to również na czwartą kadencję. Tak czy inaczej, przed każdym wybranym w ostatnich wyborach rektorem stoi wezwanie: „do roboty”. To, co rektor robi i zrobi jest oceniane nie tylko na końcu kadencji, ale także co roku poprzez głosowanie senatu nad sprawozdaniem z jego działalności w minionym okresie. Sprawia to, że osoba obejmującą stanowisko rektora ma podstawy do postawienia sobie pytania: jak żyć, aby nie tylko sprostować wyzwaniu, ale także mieć osobistą satysfakcję z pełnienia funkcji zarówno w trakcie, jak i po jej zakończeniu.

W swojej akademickiej karierze nigdy nie pełniłem funkcji rektora czy prorektora. Pełniłem natomiast przez dwie

kadencje funkcję dziekana. Z tej pozycji oceniam nie tylko poczynania ówczesnych rektorów, ale także moich poprzedników na tym stanowisku. Jeśli miałbym zatem sformułować jakąś „filozoficzną” refleksję, to powiedziałbym, że nie ze wszystkimi da się dobrze współżyć, a próby szukania wspólnego języka z każdym, kto od rektora czy dziekana czegoś potrzebuje, przynoszą więcej złego niż dobrego dla wypełniania tych obowiązków. Skłonny jestem zaryzykować twierdzenie, że ci rektorzy, którzy 1 września b.r. obejmą obowiązki, już na „dzień dobry” będą musieli stawiać czoło m.in. problemom finansowym uczelni. Do rozwiązania są również problemy chwilowo odłożone na rektorską „półkę”; jednak ci, których one dotyczą, zapewne o nich przypomną. Na mojej uczelni (UAM) będzie to zapewne m.in. sprawa akademika. Jestem jednak przekonany, że praktycznie każda uczelnia ma szereg takich budzących emocje spraw, które czekają na załatwienie.

Przegranymi w wyborach

Przegranymi w każdej kampanii wyborczej są ci, którzy kandydowali, ale nie otrzymali wystarczającego poparcia wyborców. Ich sytuacja jest jednak z reguły mocno zróżnicowana. Mogą to bowiem być zarówno wielcy przegrani, jak i tacy, którzy mimo wszystko coś „ugrali”. Jeśli nawet nie była to nagroda „pocieszenia”, to przynajmniej wyjście z twarzą lub chociażby uznanie, które może procentować sukcesem w następnych wyborach. Nie inaczej jest w wyborach władz rektorskich. Do największych przegranych skłonny jestem zaliczyć tych, którzy nie tylko uzyskali stosunkowo niewielkie poparcie elektorów, ale także wybrali w kampanii wyborczej scenariusze konfrontacyjne i przypisali sobie w nich rolę najlepiej wiedzących, czego naprawdę ich uczelnia potrzebuje. Takie scenariusze czasami nawet sprawdzają się w polityce. Jednak społeczność akademicka raczej nie żyje ani polityką, ani z polityki, jeśli już, to politykuje, a z tego trudno byłoby wyżyć. Kilkakrotnie byłem elek-



Rys. Sławomir Makal

torem w wyborach władz rektorskich i w każdym przypadku kandydaci realizujący „siłowy” scenariusz należeli do przegranych. Mają oni szczególnie uzasadnione powody do postawienia sobie pytania: jak żyć i współżyć z rektorem, o którym nie mieli do powiedzenia niczego dobrego? Mogą się wprawdzie tłumaczyć tym, że wybory rządzą się swoimi prawami i to, co było, już minęło. Jednak raczej nie powinni od swojego kontrkandydata oczekiwać znaczących profitów. Tego rodzaju gesty z jego strony być może nawet przez samych przegranych mogą być odbierane nie tyle jako przejaw wielkoduszności, co raczej słabości. Mogą się oni również w ogóle niczym nie tłumaczyć i próbować funkcjonować tak, jakby w kampanii nie brali udziału. Musieliby jednak liczyć nie tylko na rektorską wielkoduszność, ale także na zawodność pamięci. Takie rachuby dosyć szybko mogą się okazać zawodne.

W trudnej powyborczej sytuacji znajdują się również ci, którzy tak mocno się angażowali we wspieranie przegranego kandydata, że spalili za sobą mosty porozumienia z nowym rektorem. Tacy przegrani pojawiają się zwłaszcza tam, gdzie siły między kandydatami są w miarę wyrównane i szala zwycięstwa równie dobrze może się przechylić na każdą stronę. Jeśli jeszcze do tego ich kandydat obiecał im miejsca w zespole rektorskim lub inne znaczące stanowisko na uczelni, to ich stopień zaangażowania wyraźnie wraża, maleje zaś skłonność do myślenia o tym, co się stanie w przypadku klęski. W wyborach z „mocnymi” głosami wsparcia występują jednak również osoby, które kierują się motywami znanymi ich najbliższemu otoczeniu, ale nieznanymi lub trudnymi do zrozumienia dla większości zewnętrznych obserwatorów. W niejednym przypadku można było nawet odnieść wrażenie, że są oni po prostu na „nie” (i już). Przynajmniej od profesorów uczelni można, a nawet należy oczekiwać poważniejszego podejścia.

W stosunkowo dobrej sytuacji są natomiast przegrani, którzy wprawdzie wspierali kontrkandydata, ale przecież nie „na śmierć i życie”. Jego przegranej nie przyjęli zapewne z zadowoleniem. Jednak nie traktują tego jako utrudnienia dla swego funkcjonowania na uczelni i wykonywania obowiązków pracowniczych. Skłonny nawet jestem zaryzykować twierdzenie, że stanowią oni większość w gronie

tych, którzy swoim mandatem elektorским lub głosem poparcia w wyborach elektorów raczej nie stawiali na nowego-starego lub zupełnie nowego rektora. Wprawdzie oni również mogą sobie stawiać pytanie, jak żyć i współżyć z rektorem, jednak nie traktują go w kategoriach hamletowskiego „być albo nie być”. Takie osoby nie będą się raczej zwracały do rektora z prośbą o wsparcie w pracy badawczej, a jeśli już będą czegoś potrzebować, to takiego minimum jak docenienie wyników pracy przy okazji przyznawania rektorskich wyróżnień. Rzecz jasna, każdemu jest miło, gdy jego wysiłek zostaje dostrzeżony i doceniony. Bez tego jednak również jakoś da się żyć i naukowo pracować.

Przegran i wygrani

Do tej grupy zaliczam rektorów, prorektorów, dziekanów i prodziekanów, którzy nie startowali w uczelniach wyborach, bowiem pełnili swoje funkcje już dwie kadencje. 31 sierpnia b.r. wybije dla nich ostatni dzwonek. Wprawdzie na niektórych uczelniach skorzystano z okoliczności, które sprawiły, że ich druga kadencja została przerwana, jednak na mojej uczelni, że byłaby to w gruncie rzeczy trzecia kadencja i nie wyrażono na nią zgody. Zapewne niektórzy z nich otrzymają jakieś wyróżnienia i nagrody pocieszenia. Być może nawet już dzisiaj wiedzą, jak ta nagroda będzie wyglądała. Społeczność uczelniana dowie się o tym po zakończeniu ich obecnej kadencji. Sporo jednak wiadomo o tym, jak to wyglądało po poprzednich wyborach. Generalizując, można powiedzieć, że u jednych wyróżnienia i nagrody wyglądały bardziej, natomiast u innych mniej okazałe. Stosunkowo najlepiej wypadły u tych, którzy jeszcze przed zakończeniem urzędowania zadbali o to, aby nadal zajmować eksponowane stanowiska. Jedną z takich możliwości było powołanie do istnienia jednostek organizacyjnych uczelni, w których mogą oni pełnić funkcje kierownicze praktycznie do śmierci. Skromniejszą formą wyróżnienia jest otrzymanie funkcji w różnego rodzaju uczelnianych komisjach i zespołach doradczych lub chociażby stanowiska pełnomocnika do spraw... Byli rektorzy, którzy nie zadbali o swoją porektorską przyszłość albo nie otrzymali od nowych władz uczelni tego, czego chcieli, znajdują sobie miejsca w fundacjach oraz stowarzyszeniach mniej lub bardziej związanych z życiem akademickim. Rzecz jasna, wszystkim byłym pozostaje możliwość pojawiania się na uczelnianych uroczystościach i zajmowania na nich eksponowanych miejsc oraz tytułowanie ich praktycznie dożywotnio „rektorami” lub dziekanami, jednak bez podkreślenia w bezpośrednich kontaktach, że są już tylko byłymi, bowiem stanowiliby to swoisty nietakt. Jeśli były rektor lub dziekan ma tzw. dobre nazwisko (w polityce wiadomo, co to oznacza), może jeszcze liczyć na zaproszenie do jakiegoś rządowego zespołu doradców, a jeśli potrafi dobrze wpaść przed kamerą telewizyjną, to może liczyć na zaproszenie jako autorytetu w medialnych dyskusjach.

Osobom słabo zorientowanym w rektorskich realiach może się wydawać, że już samo uwolnienie się od tej mitręgi może być nie tyle nagrodą pocieszenia, co nagrodą główną. Tak może faktycznie być w przypadku osób, które przed podjęciem obowiązków prowadziły z dużym zaangażowaniem badania naukowe, a w trakcie ich wykonywania jedynie nieco zwolniły tempo. Pogodzenie tych dwóch istotnie różniących się form aktywności jest jednak bardzo trudne. Często bywa tak, że podjęcie obowiązków rektorskich oznacza zaniedbania w pracy badawczej, a nawet wypadnięcie z tzw. naukowego obiegu (niepozostawanie na bieżąco z tematyką badań i ich efektów, publikowanie wyników swoich badań w znaczących czasopismach). Przyznał to zresztą w rozmowie ze mną jeden z rektorów mojej uczelni, który pełnił funkcję przed dwie kadencje i miał wysoką pozycję w nauce.



Rozmowa z dr. hab. Przemysławem Biskupskim z Wydziału Architektury Politechniki Poznańskiej

Urbaniści i ideolodzy

Celem kulturowej lobotomii sprawnie przeprowadzonej w przeszłości była pełna kontrola podbitego narodu, a nie piękno otaczającego krajobrazu.

Zajmuje się pan badaniami nad rozwojem i przekształcaniami przestrzeni miast.

Moje pierwsze badania związane były głównie z kompozycją. Zainteresowałem się szczególnie Poznaniem, ponieważ w ciągu ostatnich 250 lat jego układ kompozycyjny dwukrotnie został diametralnie przekształcony: pierwszy raz w XIX wieku, a drugi raz od 1962 roku, gdy powstał plan ogólny zakładający wyburzenie całego centrum miasta. Wcześniej, do końca XVIII wieku, cechą charakterystyczną Poznania, ale też struktur innych polskich miast, była wielowątkowość. W zdecydowanej większości miasta składały się z istniejących obok siebie niezależnych układów kompozycyjnych.

Zalążkiem było miasto lokacyjne, tzw. miasto pierwotne.

Tak, a rozwój struktur wynikał z kilku czynników. Podstawowym był czynnik własnościowy – właścicielami ziemi, na której rozlokowano Poznań, miasto królewskie, był nie tylko król, ale także Kościół i możnowładcy, i każdy z tych właścicieli prowadził swoją politykę przestrzenną, co powodowało, że budowano obok siebie odrębne elementy. Dochodził jeszcze czynnik społeczny i administracyjny, bo inne prawa mieli mieszkańcy w obrębie miasta lokacyjnego, inne w osadach służebnych, inne w jurydykach. Brałem udział w audycie krajobrazu Wielkopolski organizowanym przez Marszałka Województwa Wielkopolskiego i przebadłem 183 miasta, które miały taki właśnie system osadniczy. Podobnie było gdzie indziej, tę cechę wielowątkowości posiadała np. Warszawa. Natomiast w przypadku Poznania odrębność poszczególnych elementów była podkreślona przez wyjątkowo bogaty układ przyrodniczy w postaci bardzo licznych cieków wodnych. Rozlewiska rzeki Warty i jej dopływy tworzyły kiedyś szereg wysp i na tych wyspach rozlokowano przepiękne krajobrazowe miasto. Jego kształtowanie do końca XVIII wieku było ściśle podporządkowane warunkom naturalnym, które wspaniale wykorzystywano, o czym świadczy chociażby ilość młynów wodnych.

Ten naturalny rozwój nagle zostaje zakłócony – cezura jest XIX wiek i początek panowania pruskiego, gdy pojawia się koncepcja miasta-twierdzy.

Tak, przychodzi nowy właściciel, który wszystko neguje i wprowadza własny układ. Jeszcze przed rozbiorem Polski Fryderyk Wielki wprowadził na własnym obszarze przepisy, które zakładały przekształcanie miast w taki sposób, aby stało się widoczne, że przynależą do państwa pruskiego. Pretek-

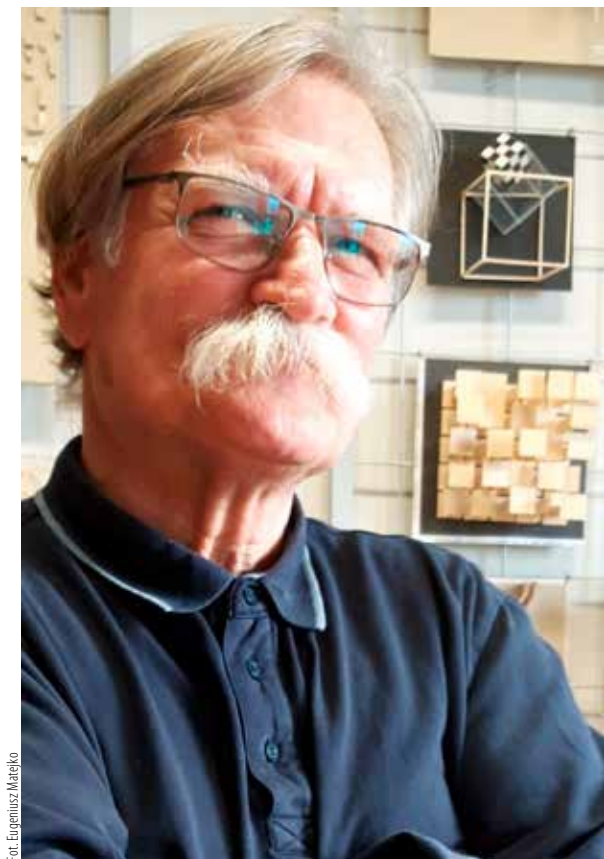
stem do tych przemian przestrzennych były pożary, które często wybuchały. Gdy miasto, w większości drewniane, się spaliło, wprowadzano zupełnie nowy układ kompozycyjny. Wzorem stały się projekty F. Coulbera, XVIII-wiecznego filozofa o zacięciu urbanistycznym, zwolennika idei prostych, ortogonalnych układów, która bardzo spodobała się Fryderykowi, a także urzędnikom pruskim.

Te tendencje dotyczyły i urbanistyki, i architektury, gdzie także narzucono pewne schematy.

Zgadza się, wprowadzono wtedy projekty unifikujące. Nowe przestrzenie miast stały się niezwykle monotonne. W momencie, gdy Wielkopolska dostała się pod zabór niemiecki, reguły wprowadzone przez nowego gospodarza zaczęły i u nas obowiązywać. Brałem kiedyś udział w polsko-niemieckiej konferencji, na której jeden z niemieckich prelegentów opowiadał o przekształcaniach pruskich miast w XVIII i XIX wieku. Zwrócił on uwagę na to, że w tym czasie miasta te dziwnie często się paliły, co wydaje się nieprzypadkowe.

Obecnie także zdarzają się dziwne pożary, tzw. deweloperskie...

Właśnie, analogia jest tu bardzo trafna. A na początku XIX wieku jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności paliły się: Pyzdry i Gniezno trzykrotnie, Poznań raz a dobrze, podobnie Kalisz, Pleszew i większość dużych miast. W miejsce spalonych obszarów wprowadzano zupełnie inne układy przestrzenne. W Poznaniu zrobiono to po pożarze 1803 roku, gdy spaliła się część miasta lokacyjnego i cała przepiękna osada Garbary. Odbudowano ją już na bazie nudnej ortogonalnej siatki będącej przedłużeniem ulic miasta lokacyjnego. Obecna ulica Garbary właściwie nic ciekawego w sobie nie posiada, oprócz tego, że jest. To była pierwsza forma ingerencji w strukturę miasta. Druga to budowa twierdzy Poznań. W latach 1818-1874 powstały fortyfikacje, które bardzo mocno ingerowały w pewne fragmenty układu przestrzennego, ale podstawowa ingerencja polegała na wprowadzeniu zmian w układach przyrodniczych. Cały przebogaty system wodny Poznania został wprzęgnięty w system fos nowych fortyfikacji, do których przekierowano rzeczki i rzeczulki. Przy fortyfikacjach zbudowano groble i przepusty, których zadaniem było spiętrzenie wody na wypadek przybycia wroga. Jedynie do celów sanitarnych wpuszczono do miasta Bogdanekę i Strugę Karmelićką, które pod koniec XIX wieku skanalizowano. I tak ten cały przebo-



Fot. Eugeniusz Matejko

gaty układ wodny przestał istnieć. Nowy pierścień obwarowań spowodował, że właściwie całe miasto zostało zamknięte za murami. Wszystkie negatywne strony życia związane z funkcjonowaniem twierdzy opisuje prof. Zofia Ostrowska-Kęmbłowska w swojej książce *Architektura i budownictwo w Poznaniu w latach 1780-1880*. Przytacza też relacje ludzi, którzy żyli w ciągłym strachu przed spodziewanym atakiem wroga.

Podobno budowa twierdzy okazała się przeciwskuteczna dla umocnienia panowania pruskiego, bo ludność niemiecka zaczęła emigrować z Poznania.

Tak naprawdę twierdza nie służyła obronie przed wrogami, bo wiek XIX był okresem, gdy relacje rosyjsko-pruskie były bardzo poprawne. Dopiero I wojna światowa spowodowała, że Rosjanie i Niemcy znaleźli się po dwóch różnych stronach barykady.

Skąd więc pomysł na budowę twierdzy?

Wypowiedź jednego z twórców twierdzy Poznań, generała pruskiego Carla von Grollmana, nie pozostawia większych wątpliwości. W liście napisanym w 1817 roku do Fryderyka Wielkiego stwierdza, że Poznań musi być twierdzą, bo umacnia to ideę, że Prusy nigdy nie odstąpią tak potrzebnych im ziem i jednym ciosem zmiążdżą odwieczne knowania i intrygi Polaków. Twierdza Poznań była tak naprawdę więzieniem dla polskiego społeczeństwa. Zamknięcie za murami zahamowało przestrzenny rozwój miasta na całe sto lat. Jednakże to co było najgorsze, to przyznany równoległe z budową fortyfikacji status miasta garnizonowego bez szkolnictwa wyższego i średniego, tylko z podstawowym, bez elementów kultury wyższego rzędu, bez przemysłu, bez infrastruktury: kanalizacji, wodociągów. Dla miast w XIX wieku były to kluczowe czynniki mające wpływ na ich rozwój. Jedynym elementem z listy ówczesnych cywilizacyjnych potrzeb był powstały na Placu Wolności budynek teatru, ale nawet widzowie niemieccy utyskiwali na poziom

i repertuar tego teatru. Dopiero po wielu latach starań władze pruskie wyraziły zgodę na utworzenie w mieście dwóch szkół średnich. Poznań ze swoimi aspiracjami uniwersyteckimi został zredukowany do poziomu miasta mało znaczącego i peryferyjnego.

Poznań jest więc modelowym przykładem niszczenia miasta w jego tkance urbanistycznej, społecznej i kulturowej poprzez realizację ideologicznych założeń.

Tak. Niestety co jakiś czas kolportowane są opinie, że Prusacy w XIX wieku nas cywilizowali. Oglądałem film dokumentalny w koprodukcji polsko-niemieckiej, który opowiadał o niemieckim poecie Hoffmannie, przebywającym w Poznaniu na początku XIX wieku. Epizod poznański służył ukazaniu relacji polsko-niemieckich. I nagle w filmie na tle Wzgórza Przemysła pojawił się etnograf, który zaczął opowiadać jak to dla ucywilizowania miasta Poznania władze pruskie na początku XIX wieku wprowadziły nowy plan zagospodarowania. Nie wiem doprawdy, jak na temat jakości przestrzeni miasta może się wypowiadać człowiek, który nie wie, jak wyglądała kiedyś ta przestrzeń. Najwyraźniej problematyka ukształtowania Poznania z okresu przedrozbiorowego nie została dotychczas dostatecznie zbadana. Wszystko to stało się inspiracją do badań, których głównym celem było odtworzenie krajobrazu Poznania z XVIII wieku. Postanowiłem zbadać ten problem, analizując 29 jednostek osadniczych, które w XVIII wieku współtworzyły ówczesny pejzaż. Analizie zostały poddane takie elementy dawnego krajobrazu jak: układ wodny, ukształtowanie terenu, układ posesji, zabudowa, zagospodarowanie poszczególnych działek, układ komunikacyjny i zieleni. Wszystkie te elementy zostały odtworzone. Efektem moich wieloletnich badań jest wizualizacja krajobrazu miasta.

Wykonał pan ogromną pracę. Wirtualna podróż po osiemnastowiecznym mieście i okolicach jest fascynująca, ale i przejmująca zarazem, biorąc pod uwagę współczesny krajobraz. Silne wrażenie wywołuje ostatni akcent – odsłonięcie okien pracowni z widokiem na obecne centrum miasta, w kontekście obrazu, który widzieliśmy przed chwilą na ekranie komputera...

(I tu dołącza prof. Eugeniusz Matejko, który dotychczas przysłuchiwał się rozmowie.)

E. Matejko: A jak widzisz rolę Władysława Czarneckiego, który przed II wojną wprowadzał w Poznaniu kliny zieleni? – czy zostało coś z jego koncepcji?

Tak, to była krótka pozytywna przerwa, krótki okres, gdy rzeczywiście byliśmy wolni i decydowaliśmy o sobie...

K. Matuszewska: Przejdźmy teraz do kolejnych radykalnych zmian dokonanych już w XX wieku.

Drugi okres zmian w przestrzeni miejskiej to lata 60. XX wieku i nowy plan ogólny zatwierdzony przez Radę Ministrów w 1962 roku, zakładający wyburzenie całego centrum miasta, wprowadzenie w tym miejscu nowej formy zabudowy, m.in. wieżowców na Piekarach i Św. Marcinie, zasypanie starego koryta Warty, stworzenie nowego układu komunikacyjnego.

Czyli „odwrócenie miasta plecami do rzeki” negatywnie komentowane przez wielu urbanistów. Decyzję o zmianie koryta Warty uzasadniano m.in. względami przeciwpowodziowymi.

Przed wszystkim jednak chodziło o unifikację zabudowy i podporządkowanie nowemu systemowi komunikacyjnemu. Komuna cierpieła na coś takiego jak kontrola, według myśli



Widok Poznania od Wzgórza Św. Wojciecha

naszego „wielkiego ideologa demokracji” Feliksa Dzierżyńskiego, który twierdził, że kontrola jest najwyższą formą zaufania. Proszę zauważyć, że w wielu większych miastach naszego kraju wprowadzono w tym czasie nowy system komunikacyjny.

Tak zwane ramy komunikacyjne.

Tak, realizowane według idei modernistycznej miasta sieciowego, z dwupasmowym układem komunikacyjnym i rondami.

W Poznaniu odcięto wówczas od śródmieścia Ostrów Tumski z katedrą i budynkami kurii metropolitarnej.

Niestety w znaczącej części zrealizowano ten fatalny plan. Chodziło o kontrolę i jak najszybszą możliwość spacyfikowania ewentualnych rozruchów, temu właśnie miał służyć nowy układ. Zaważyły czynniki czysto polityczne i podobnie jak w XIX wieku zanegowano istniejącą przestrzeń.

W swoich badaniach opisuje pan palinosemiotyczny i addytywny proces rozwoju struktury miejskiej. Co jest istotą tych procesów?

Palimpsest to metoda stosowana w piśmiennictwie od starożytności, polegająca na wydrapywaniu z pergaminu istniejącego tekstu i wpisywaniu w to miejsce następnego. Wykorzystywano w ten sposób powtórnie pergamin ze względu na jego koszt. To bardzo ładnie pasuje do zjawiska przekształca-

nia miast. Poznań ten palimpsestowy proces przechodził dwukrotnie i efekty są fatalne. Zdeastrowano przyrodnicze i historyczne układy przestrzenne, tymczasem miasto bez historii już nie jest tym samym miastem, pozostaje tylko substancja budowlana, co ma bezpośredni wpływ na relacje społeczne i jakość społeczeństwa żyjącego w takim obszarze. Proces addytywny jest odmiennym procesem i polega na budowaniu kolejnych elementów obok siebie na zasadzie wartości dodanej. Gdy pojawi się konieczność rozbudowy, wprowadza się nowy element i buduje się relacje z tym, co już istniało, nie ingerując w zastaną strukturę miejską.

Opisuje pan fazy takiego rozwoju: miasto pierwotne, wtórne, potem pojawienie się stacji kolejowej, budowa domów wzdłuż drogi biegnącej do stacji...

Widać wtedy doskonale proces kształtowania przestrzeni zapisanej z całą historią miasta i życia kolejnych pokoleń, gromadzenie różnych stylów, mód, różnych kierunków myślenia o rozwoju. Taką sytuację mamy np. we Florencji albo w innych miastach odwiedzanych przez rzesze turystów. We Florencji możemy zobaczyć poszczególne etapy rozwoju przestrzeni – od obozu rzymskiego aż po czasy współczesne, pomimo że układ przyrodniczy nie jest imponujący. W Polsce z procesem addytywnym mamy do czynienia przede wszystkim w Krakowie, ale też np. w Grodzisku Wielkopolskim.



Widok miasta od północy



Wzgórze Przemysła

E. Matejko: Dorzucę taką uwagę: kiedyś czytałem, że gdy Jan Matejko spacerował po Krakowie, nie wychodził poza obręb starego miasta: Wawel, sukiennice, Kościół Mariacki. Akademia powstała już poza plantami, ale całkiem blisko barbakanu. Kiedyś jednak artysta musiał wybrać się dalej i zdziwił się ogromnie rozbudową XIX-wiecznego Krakowa. Powiedział potem swojemu sekretarzowi, przyjacielowi Marianowi Gorzkowskiemu: „Słuchaj, przecież tu powstało mnóstwo kamienic, całe nowe miasto!”. Matejko był zaangażowany w ochronę zabytków Krakowa, bronił przed rozbiórką średniowieczny kościół św. Ducha, który jednak został zburzony, a na jego miejscu wzniesiono teatr na planie koła, co było urbanistycznie niefortunne.

Przykład Krakowa pokazuje, jak mocno działa polityka. Mało kto pamięta, że do 1848 roku istniała Rzeczpospolita Krakowska, czyli pewna forma samorządności w obrębie zaboru austriackiego. W tym czasie Kraków zdecydował o swoim rozwoju w taki sposób: zachowujemy wszystkie elementy historyczne, tworzymy planty, budujemy naokoło elementy nowe, ale stary układ pozostaje niezmienny. Jak w 1848 roku weszło wojsko austriackie, to usankcjonowało ten porządek. Ale gdyby wcześniej nie zapadły dobre decyzje, nie byłoby takiego Krakowa.

A jakie zjawiska występujące we współczesnej urbanistyce są szczególnie niebezpieczne?

Mamy tu wiele czynników, ale jednym z najistotniejszych jest proces zwany urban sprawl, czyli rozpełzanie się miasta spowodowane głównie ucieczką ludności z obszarów centralnych na peryferie. W ostatnich dziesięcioleciach w obszarach cen-

tralnych standard zamieszkiwania znacząco się obniżył. Przyczyniła się do tego budowa nowych tras komunikacyjnych, bo jaka jest przyjemność mieszkania w kamienicy położonej przy trasie, gdzie tworzą się korki: przejeżdża samochód za samochodem, trąbią, smrodzą... Z centrów miast wyprowadzają się ludzie wykształceni o większych możliwościach finansowych, a pozostają ci o mniejszych możliwościach i mniejszej zaradności. Powoduje to polaryzację społeczną, tworzą się getta: bogate suburbia i biedne centra miast.

Gdy spojrzymy na statystyki, to największa przepięczność i inne negatywne zjawiska społeczne kumulują się w obszarach centralnych. Tymczasem miasta powinny prowadzić taką politykę, żeby wzmacniać i ulepszać obszar centralny, aby zatrzymać tam społeczność. Rozpełzanie się miasta powoduje gigantyczne koszty związane z budową sieci infrastruktury: kanalizacji, wodociągów, dróg, linii energetycznych itp. Mój kolega prowadził badania, w których porównywał dwa bliźniacze miasta: Atlantę i Barcelonę. Powierzchnia Atlanty jest trzydzieści razy większa niż powierzchnia Barcelony, co generuje ogromne koszty życia. W Barcelonie taki Alonzo zjeździe sobie w szlafroku do sklepu po mleko i bułki, przy okazji porozmawia z Conchitą zza lady. Natomiast mieszkaniec Atlanty, żeby zrobić podobne zakupy musi wsiąść w samochód i przejechać pięć kilometrów. W USA życie bez samochodu jest niemożliwe, w wielu miejscach nawet chodników nie ma. To wszystko wpływa na zubożenie życia społecznego, pewnych kodów kulturowych i obyczajów.

„Genialna i unikalna scenografia dana nam przez przyrodę i umiejętnie uzupełniona przez przestrzeń stworzoną przez pokolenia naszych przodków, została okrojona i zredukowana do poziomu tandetnej ortogonalności. (...) jest to (...) efekt sprawnie przeprowadzonej w przeszłości kulturowej lobotomii, której celem była pełna kontrola podbitego narodu, a nie piękno otaczającego krajobrazu”.

Cytat z książki dr. hab. inż. arch. Przemysława Biskupskiego – odautorska refleksja na temat rozwoju przestrzennego Poznania w ostatnich dwóch stuleciach



Ulica Mostowa



Ulica Szyperska

Co pan powie na temat polskiej ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym z 2003 roku?

Do 2003 roku mieliśmy układ trójstopniowy: plan ogólny, plan szczegółowy i miejscowy plan. Każdy następny doprecyzowywał swoją skalą konkretną przestrzeń. Zrezygnowano z tego na rzecz miejscowego planu i studium uwarunkowań, które przypomina dawny plan ogólny, ale nie jest aktem prawnym, więc de facto nie obowiązuje, można się do niego dostosować, ale nie trzeba. To spowodowało rozwój architektury deweloperskiej, obok pięknego domu o historycznej metryce może powstać jakiś przeskalowany gigant. Ciągające się osiedla projektowane na zasadzie „kopiuj-wklej” są wynikiem stosowania miejscowych planów zagospodarowania wyłącznie na pewnych wąskich fragmentach działek wykupionych przez dewelopera od rolnika, który wcześniej uprawiał tam pole. Dlatego często mówi się, że to jest urbanistyka łanowa. Zjawiska te są fatalne dla naszego krajobrazu, nie mówiąc już o budowaniu relacji społecznych.

Zadam naiwne pytanie, dlaczego tak się stało? Czy może zaważyły naciski lobby deweloperskiego?

Nie wiem, co zaważyło, ale wiadomo, kto jest za to odpowiedzialny – ówczesny minister infrastruktury w rządzie SLD. Opinie urbanistów są jednoznaczne: ustawa przyczyniła się do degradacji i autentycznego niszczenia krajobrazu polskich miast.

Przed kilku laty rozmawiałam z prof. Krystyną Guranowską-Gruszecką, która stwierdziła, że w przypadku Warszawy 40% powierzchni miasta jest jeszcze pokryte planami miejscowymi, ale w 60% wydawane są tylko decyzje o warunkach zabudowy.

Ale co z tego, że coś jest pokryte planem, skoro jeden plan z drugim nie ma nic wspólnego? Przyszłe pokolenia będą przeklinać nas za podjęte decyzje, zezwalające na takie kształtowanie przestrzeni. W sposób znaczący deprecjonuje się zawód urbanisty, to akurat pał sześc, ale przede wszystkim niszczy się krajobraz i obniża się jakość przestrzeni.

Jakie są w tej sytuacji propozycje polskich urbanistów?

Powrót do ogólnego, szczegółowego i miejscowego planu zagospodarowania, czyli do trójstopniowego sposobu kształtowania krajobrazu w skali ogólnopolskiej, a także zmiany prawne związane z deweloperką. Podam przykład: we Francji, gdy klient kupuje mieszkanie u dewelopera, to nie rozmawia z deweloperem, tylko z bankiem, który zajmuje się inwestycjami, a bank poprzez prawników kontaktuje się z deweloperem. To ustawia dewelopera we właściwym miejscu. U nas całe budownictwo mieszkaniowe jest w rękach deweloperkich, to oczywista patologia. Deweloperka powinna być tylko pew-

nym fragmentem, bardziej powinno rozwijać się budownictwo indywidualne oraz społeczne, finansowane przez miasto. Dobre układy kompozycyjne miast powinny być tak skonstruowane, aby tworzyć system, dzięki któremu człowiek żyjący w danej przestrzeni nie tylko będzie zużywał jak najmniej energii, ale również utożsamiał się z danym miejscem, uważał je za swoje. Jest to podstawowy czynnik budowania relacji społecznych. A więc nie chodzi tu tylko o dostępność i bliskość miejsc istotnych dla funkcjonowania mieszkańców, ale również o budowanie przestrzeni przyjaznej.

Zgodnie z ideą miasta piętnastominutowego?

Tak. I kompozycja temu służy, a jej brak powoduje chaos przestrzenny i utratę energii. Układ kompozycyjny nie jest fantasmagorią, a tworzeniem bardzo racjonalnej i zrozumiałej przestrzeni. Na Zachodzie urzędy miejskie często dysponują wielkimi makietami miast. Projektant przychodzi z makietą budynku lub całego osiedla w odpowiedniej skali, wstawia to w miejscu, gdzie ma być, a potem przychodzi komisja i patrzy, czy dom albo osiedle pasuje do istniejącej przestrzeni i jak będą oddziaływały. Makietka wszystko pokazuje, negliguje wszystkie ujemne strony. Miałem kiedyś znajomego, który mieszkał w miasteczku niedaleko Lourdes. Gdy przyjechał do Polski, pokazał mi projekt, który oddaje do francuskiego urzędu. To było tylko kilka stron: wyznaczona pierzeja, pokazanie, jak dom będzie wyglądał w tej pierzei, rzut, przekrój i koniec. Miasto tylko tym powinno się interesować, a wszelkie sprawy związane z funkcjonowaniem, trwałością, konstrukcją budynku regulują inne przepisy prawne, gdyż to jest sprawa techniczna i funkcjonalna. Architekt, stawiając pieczęć, odpowiada za to, żeby budynek funkcjonował w sposób niezakłócony przez jakieś pięćdziesiąt lat. Proste?

Proste – tylko wdrożyć.

E. Matejko: Co myślisz o utopijnej idei Hansena, który chciał stworzyć koncepcję urbanistyczną całej Polski. Miał taki pomysł, żeby wzdłuż głównych rzek zrobić ciągi komunikacyjne. Osiedla byłyby usytuowane wzdłuż tych ciągów, czyli mamy łatwą komunikację: wychodzimy z mieszkania, a na zewnątrz pola, lasy, ptactwo...

Przypomina mi się idea miasta liniowego Arturo Soria y Maty z Hiszpanii. Tylko, że mało kto wie, że on chciał tym miastem liniowym połączyć Madryt z Moskwą (śmiech).

K. Matuszewska: Na szczęście nasze główne rzeki płyną z południa na północ (śmiech).

Rozmawiała Krystyna Matuszewska

Marek Misiak

Stojąc u drzwi

Na moje biurko (wirtualne) regularnie trafiają artykuły przygotowane w sposób wyraźnie sprzeczny z podstawowymi zasadami wyłuszczoneymi w instrukcjach dla autorów obowiązujących w czasopismach, które redaguję. Nie chodzi tu o drobniejsze usterki, ale o łamanie wielu (czasem nawet większości) kluczowych reguł naraz.

Autor, który zakończył pracę nad artykułem prezentującym wyniki badań, chciałby zapewne jak najszybciej złożyć go w czasopiśmie i po prostu mieć – choć na kilka tygodni – z głowy. Nie myśleć o nim, nie zajmować się nim. Niestety to nie takie proste. Większość czasopism naukowych formułuje konkretne warunki wstępne, które musi spełniać zgłaszany do nich manuskrypt. Z reguły są one umieszczane na stronie WWW periodyku, czasem też linki do nich znajdują się na profilach danego tytułu w mediach społecznościowych. Jeśli artykuł był pisany z myślą o konkretnym czasopiśmie, warto się z tymi wymogami zapoznać przed rozpoczęciem właściwego pisania tekstu i przygotowywania rycin i tabel, może to zaoszczędzić sporo pracy. Jeśli miejsce publikacji (a przynajmniej starania się o nią) wybieramy już po ukończeniu artykułu, z wymogami wstępnymi trzeba się uważnie zapoznać i przystosować do nich manuskrypt. Jeśli praca miała charakter zespołowy, obowiązek ten spoczywa na tym spośród autorów, który składa artykuł w danym periodyku (submitting author); jeśli autorem do korespondencji (corresponding author) jest inna osoba, to ona będzie otrzymywała uwagi sformułowane przez redakcję po wstępnej weryfikacji (initial verification) artykułu. W niektórych czasopismach dozwolone jest, aby to submitting author korespondował z redakcją w trakcie recenzji i redagowania artykułu, a corresponding author z czytelnikami po publikacji, ale warto upewnić się co do możliwości takiej zmiany przed zgłoszeniem artykułu do danego periodyku.

Sens niektórych wymogów wstępnych może nie być oczywisty, ale wyjaśnianie ich sprawiłoby, że instrukcje dla autorów – nierzadko i tak dość obszerne – przybrałyby rozmiary broszurek. Każdy z nich ma jednak jasny cel. Dla przykładu: jeśli redakcja oczekuje, że każdy artykuł będzie sformatowany z konkretnym krojem pisma (np. Times New Roman) i jego stopniem (np. 12) oraz interlinią (z reguły 1,5 lub podwójną), to ma to za zadanie ułatwić ocenę objętości artykułu i zapewnić recenzentom wpływ tekstów o podobnym wyglądzie, co ma znaczenie, jeśli czyta się ich dużo. Warto mieć świadomość, że wymogi stawiane przez redakcję nadsyłanym artykułom – nawet te najbardziej szczegółowe i wyglądające najmniej sensownie – nigdy nie są szukaniami wynikającymi ze szczególności rozumianego jako jednostka chorobowa ani nie są formą testu na inteligencję sprawdzającymi, czy ktoś rozumie instrukcję (a zatem należy ją możliwie skomplikować, żeby mu to utrudnić). Cel zasad umieszczanych w wytycznych dla autorów może być następujący:

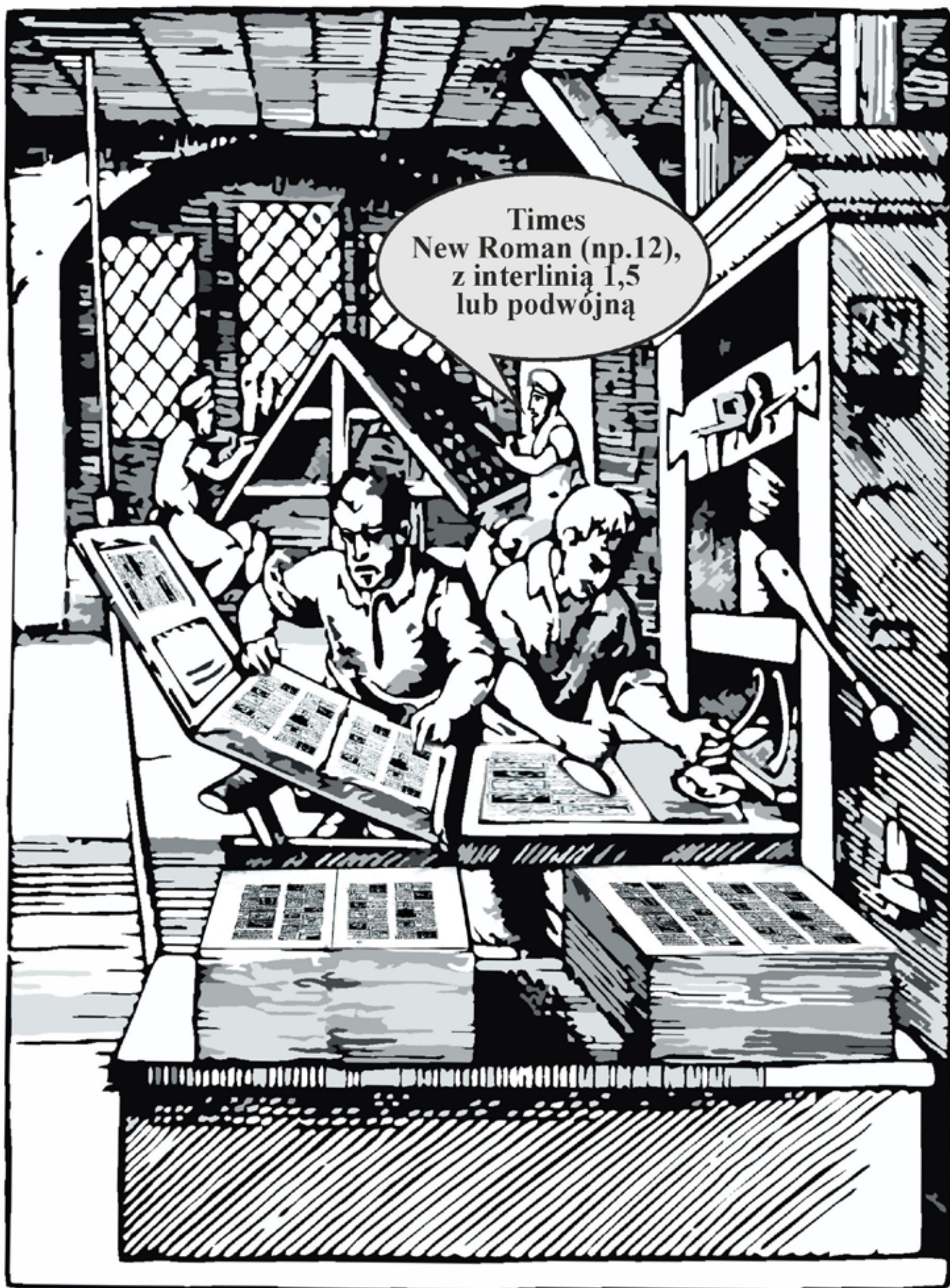
- zapewnienie anonimowości manuskryptu na potrzeby podwójnej ślepej recenzji;
- wychwycenie usterek manuskryptu, których usunięcie po ewentualnej akceptacji do publikacji może być już bardzo trudne lub wręcz niemożliwe;

- zapewnienie zgodności wszystkich manuskryptów z przestrzeganyymi przez dane czasopismo standardami jakości;
- zapewnienie zgodności manuskryptu z konwencją edytor-ską stosowaną w danym periodyku.

Można by tu rzecz jasna oponować, że nie ma sensu aż tak bardzo pracować nad artykułem przed jego skierowaniem do publikacji, skoro w niektórych czasopismach naukowych współczynnik odrzuceń przekracza 80 procent. W takim myśleniu tkwią jednak dwa nieporozumienia. Po pierwsze, przystosowanie artykułu do wymogów danego czasopisma tkwi zarówno po stronie redaktorów, jak i autorów. Po drugie, gdyby na etapie wstępnej weryfikacji egzekwować jedynie wymogi formalne (np. dotyczące zgodności manuskryptu z profilem czasopisma), to po akceptacji do druku czekałaby autora znacznie cięższa praca, niż ma to miejsce obecnie, gdyż wszystkie oczekiwania redakcji trzeba by było spełniać naraz (np. najpierw zmieniać notację pozycji na liście piśmiennictwa, redukować liczbę rycin, a potem – jakby tego było mało – odpowiadać na wątpliwości redaktora językowego). Dlatego doświadczeni redaktorzy wskazują, że należy rozbić ten proces na dwa etapy. Błędy globalne (takie, które można wychwycić, tylko przeglądając artykuł, a nie czytając go dokładnie) powinny być poprawiane przez autorów (po wskazaniu przez redaktorów) na etapie wstępnej weryfikacji, natomiast błędy szczegółowe (te, które pozwala odnaleźć dopiero skupiona lektura) są usuwane przez redaktorów, którzy żądają od autorów wyjaśnień lub własnej propozycji rozwiązania problemu tylko wówczas, gdy sytuacja jest niejasna i nie są w stanie zrobić tego sami. Oczywiście mówimy tu o sytuacji, gdy dane czasopismo oferuje formatowanie tekstu i redakcję językową w ramach opłaty za publikację (article-processing charge – APC); jeśli trzeba za takie usługi osobno dopłacić, a autorzy się na to nie zdecydują, i tak zostają ze wszystkimi wymogami sami. Jeśli ich nie zrealizują, akceptacja do publikacji zostanie uznana za niebyłą i manuskrypt zostanie odrzucony.

Wielu badaczy nie czyta instrukcji dla autorów

Szczególnie uważnie należy przyjrzeć się dwóm pierwszym powodom formułowania przez redakcję szczegółowych wymogów. Anonimowość manuskryptu jest warunkiem przesłania go do recenzji. W ręce recenzenta może trafić artykuł z usterekami dotyczącymi piśmiennictwa (wielu peer reviewers i tak nie zwróci na to uwagi) czy nawet niezachowujący struktury IMRAD (Introduction, Methods, Results, and Discussion) – to recenzent może zawsze wytknąć w recenzji, zwłaszcza że wiele czasopism przygotowuje wytyczne nie tylko dla autorów, ale także dla peer reviewers. Nie można jednak przesyłać do recenzji artykułów, w których znajdują się nazwiska autorów, taki manuskrypt



będzie wracał do autorów do skutku, aż błąd zostanie poprawiony, lub zostanie odrzucony bez czytania. Wiele redakcji korzysta z komputerowych systemów zarządzania obiegiem manuskryptów, w których podczas zgłaszania artykułu do oceny trzeba wpisać wszystkie dane, które znajdują się na stronie tytułowej, w tym nazwiska autorów, a system sam ją wygeneruje, ale po tym, gdy artykuł zostanie skierowany do publikacji. Wcześniej jest ona całkowicie zbędna, recenzent ma dostęp do treści manuskryptu i widzi jego tytuł w systemie, a to w zupełności wystarczy. Mimo to wiele manuskryptów, które wstępnie weryfikuję, zaczyna się od strony tytułowej jako pierwszej strony głównego tekstu. Mogłbym oczywiście usuwać ją sam i zapisywać dany artykuł raz jeszcze w systemie, ale – jak wspominałem wyżej – wdrożenie takich ogólnych wymogów należy do autorów, nie redaktorów. Nasuwa się wniosek, że wielu badaczy nie czyta instrukcji dla autorów udostępnianych na stronach WWW czasopism, do których zgłaszają manuskrypty. Do kwestii tej jeszcze powrócę.

Tymczasem jednak omówmy drugie uzasadnienie wymogów wstępnych: usunięcie jakich usterek manuskryptu, po akceptacji do publikacji, może być już bardzo trudne lub wręcz niemożliwe? Problemy takie można podzielić na dwie grupy: formalne i merytoryczne. Najczęstszą usterką formalną tego typu są wspomniane już w tym cyklu artykułów kontrowersje dotyczące ról pełnionych przez autorów. Zdarza się, że zgłoszony manuskrypt ma dwóch pierwszych autorów i/lub dwóch autorów korespondencyjnych. Większość systemów do zarządzania obiegiem manuskryptów umożliwia przypisanie każdej z tych ról tylko jednej osobie, zatem autorzy ustawiają jednego pierwszego autora i jednego autora do korespondencji, i liczą na to, że to „niedopatrznie” lub „awarie” (różnie to nazywają w korespondencji z redakcją) uda się „naprawić” na późniejszym etapie. Ujmę to wprost: takie pomysły trzeba torpedować już na etapie wstępnej weryfikacji manuskryptu. Instrukcja dla autorów powinna zawierać jasne reguły w tym obszarze. Ponieważ (jak wspominałem wyżej) niektórzy autorzy nie czytają tego dokumentu uważnie (lub w ogóle), zawsze przypominam o tej regule w wiadomości stanowiącej odpowiedź na nadesłany artykuł, oferując jednocześnie zastosowanie na pierwszej stronie artykułu notatki o równym wkładzie dwóch (nie więcej) wskazanych autorów. Niektóre periodyki umożliwiają łączenie autorów w kilka par o równym wkładzie w obrębie danej pary, ale nie jest to powszechna praktyka. Zdarza się, że autorzy mimo to sądzą, że uda im się postawić na swoim i zgłaszają ten problem dopiero na etapie korekty autorskiej, gdy jest już na to za późno (w wielu czasopismach zmiany w składzie i rolach autorów są możliwe tylko do momentu akceptacji manuskryptu do druku). Jeśli są dostatecznie konsekwentni w swoim żądaniu, zgoda na publikację jest cofana i artykuł jest odrzucany. Usterki merytoryczne to zaś w tym kontekście przede wszystkim takie, które wymagają radykalniejszych zmian w materiale, na które autorzy mogą nie być gotowi: przerabianie całego układu odniesień bibliograficznych (np. konwersja z przypisów harwardzkich na klasyczne lub odwrotnie), ograniczanie liczby rycin lub dzielenie tych istniejących na mniejsze, jeśli są zbyt złożone, by zmieścić się na stronie A4, wyraźne zmiany w strukturze manuskryptu lub zmiana ortografii w całym artykule z brytyjskiej na amerykańską lub odwrotnie (to tylko przykłady, można by je tu mnożyć).

Czerwone światło to nie sugestia

Chcę teraz powrócić do nieodparcie nasuwającego się wniosku z wielu lat pracy na stanowisku redaktora publikacji naukowych i będzie to najbardziej kontrowersyjna część tego tekstu. Na moje biurko (wirtualne) regularnie trafiają artykuły przygotowane w sposób wyraźnie sprzeczny z podstawowymi zasadami wyłusz-

czonymi w instrukcjach dla autorów obowiązujących w czasopiśmie, które redaguję. Nie chodzi tu o drobniejsze usterki, ale o łamanie wielu (czasem nawet większości) kluczowych reguł naraz. Widzę cztery możliwe powody takiego postępowania:

- autorzy nie czytają instrukcji, wychodząc z założenia, że zasady we wszystkich czasopismach naukowych są podobne (nie są, uniwersalnych standardów jest w tej branży bardzo niewiele i dotyczą bardzo ogólnikowych kwestii);
- autorzy czytają instrukcję pobieżnie i nieuważnie;
- autorzy mieli wcześniej do czynienia głównie z czasopismami, w których albo instrukcji dla autorów w ogóle nie było, albo podane w nich wymogi nie były traktowane zbyt poważnie i różne rzeczy można było „dogadać” na późniejszych etapach (trochę jak w dowcipach o włoskich kierowcach, dla których czerwone światło to rzekomo tylko sugestia, żeby zwolnić);
- autorzy mieli wcześniej do czynienia głównie z czasopismami drapieżnymi lub wyraźnie nieprofesjonalnymi, w których prezentowane na stronach internetowych wymogi przeznaczone są dla instytucji ewaluujących, a w rzeczywistości się ich nie egzekwuje (podobnie jak poziomowi merytorycznego artykułów).

Jest jeszcze piąty możliwy powód, ale nie dotyczy on badaczy z krajowego podwórka: ograniczenia dostępu do Internetu w niektórych krajach (Chiny, Iran, Rosja) oraz (rzadziej) różnice w stosowanym oprogramowaniu i kodowaniu powodują, że badacze z niektórych rejonów świata mogą nie mieć dostępu do strony WWW danego czasopisma, a mają dostęp do systemu służącego do zgłaszania manuskryptu. Być może link do niego przesyłają sobie osobno lub umieszczają na forach branżowych i mogą nawet nie być świadomi, że czasopismo ma jakąś stronę WWW (ale system zawiera z kolei podlinkowania do strony). Należy tu zatem podkreślić, że redakcja nie odpowiada za tego rodzaju ograniczenia i kłopoty. Niektóre czasopisma proponują wówczas (informując o takiej możliwości w wiadomościach stanowiących odpowiedź na zgłoszenie manuskryptu) przesłanie pakietu plików PDF z kompletem informacji. Jeśli ktoś nie skorzysta z takiej możliwości, redakcja nie odpowiada za konsekwencje niewiedzy takiego autora (ignorantia legis neminem excusat – łac. niezajomość prawa nikogo nie usprawiedliwia).

Gdzie tu kontrowersja? Zdaniem moim (i wielu innych redaktorów czasopism naukowych) świadome nieczytanie, pobieżne czytanie lub lekceważenie wymogów zawartych w instrukcjach dla autorów jest wyraźnym przejawem lekceważenia także redaktorów, powagi danego czasopisma, a w ogólniejszej perspektywie reguł publikowania naukowego jako takich. Jeśli zaś jest przejawem chaotyczności i nieuwagi, to nie licuje to z charakterem pracy naukowej, która wymaga dobrej organizacji, dyscypliny i odpowiedzialności. Nie można też tłumaczyć tego przemęczeniem, redaktorzy też bywają przepracowani i niewyspani, ale nie usprawiedliwia to poważnych przeoczeń czy uchybień. Ten, kto niepoważnie podchodzi do wymogów przedstawianych przez czasopismo, w którym chce opublikować manuskrypt stanowiący nierzadko rezultat miesięcy skomplikowanych badań, nie traktuje też poważnie pracy własnej i kolegów (jeśli artykuł powstał w wyniku pracy zespołowej). Nikt nie jest uprawniony (entitled) do publikacji w danym periodyku, każdy autor podlega tym samym regułom, od których przestrzegania zależy także prestiż danego tytułu i wyniki jego ewaluacji przez różne instytucje oraz obecność w bazach artykułów naukowych i archiwach cyfrowych, a z tym z kolei powiązana jest liczba cytowań. Redaktorzy (podobnie jak recenzenci) traktują każdy nadesłany artykuł poważnie i właśnie dlatego stawiają i egzekwują wymagania; jest to w interesie zarówno czasopism, jak i samych autorów.

Rynek imprez biegowych

Uczestnicy, doświadczenia, technologia

Znajomość potrzeb, pragnień, postaw, zwyczajów, nawyków, oczekiwań i preferencji (także tych nieświadomych) konsumentów jest niezbędna w celu zapewnienia uczestnikom imprezy biegowej ekscytujących przeżyć. Pozytywne doświadczenia wynikające z uczestnictwa stanowią jeden z kluczowych czynników determinujących powtarzające się zachowanie, zaś jednym z wyzwań, przed którymi stoją organizatorzy imprez biegowych, jest stworzenie bazy lojalnych biegaczy.

Aktywność fizyczna stanowi niezbędny element prawidłowego rozwoju człowieka, przynosząc szereg korzyści społecznych, psychologicznych i fizjologicznych. Źródeł przeobrażeń związanych z aktywnymi formami spędzania czasu wolnego należy doszukiwać się w Stanach Zjednoczonych i wysoko rozwiniętych krajach Europy Zachodniej. Są one ściśle związane z koncepcją „sport dla wszystkich” (sport for all). Masowe bieganie również ma swoje korzenie w Stanach Zjednoczonych. Fenomen ten rozkwitł wraz z rewolucją fitness, która nasiliła się szczególnie w dużych miastach, będąc jednym z najbardziej widocznych przejawów zmian społeczno-kulturowych w Ameryce. Zrozumienie korzyści zdrowotnych płynących z umiarkowanego, ale regularnego wysiłku fizycznego zyskało szerokie uznanie. Bieganie rekreacyjne wiąże się z licznymi korzyściami dla zdrowia i stylu życia, począwszy od poprawy wydolności sercowo-oddechowej, aż po zwiększenie długowieczności i ogólnej kondycji zdrowotnej. Od późnych lat 70. XX wieku amerykański entuzjazm dla biegania przekroczył Atlantyk i zyskał popularność w wielu krajach europejskich.

Marsz, trucht i bieg to najprostsze formy aktywności fizycznej, które można uprawiać w różnorodnych warunkach i przez cały rok. Bieganie, jako dostępna forma ćwiczeń, wymaga minimalnego specjalistycznego sprzętu oraz wiedzy, co czyni je finansowo przystępnym. Prostota i elastyczność biegania, w porównaniu z innymi sportami, prawdopodobnie przyczyniły się do wzrostu zainteresowania tą aktywnością. Ludzie coraz śміiej korzystają z przestrzeni publicznych, a widok biegaczy w parkach, miastach, lasach czy na ścieżkach jest już codziennością.

Fenomen biegania stał się zjawiskiem wielowymiarowym, obejmującym aspekty kulturowe, społeczne, zdrowotne i ekonomiczne. Wraz z nim rozwinął się rynek imprez biegowych. Pierwszy maraton miejski odbył się w Bostonie w 1897 roku, a masowy udział biegaczy o różnym poziomie wytrenowania zaobserwowano po raz pierwszy podczas maratonu w Nowym Jorku w 1971 roku. Na przestrzeni lat obserwuje się znaczący wzrost zainteresowania uczestnictwem w imprezach biegowych na całym świecie.

W najbardziej popularnych biegach ulicznych na metę wbiega kilkanaście tysięcy uczestników. W 2023 roku maraton w Nowym Jorku oraz Paryżu ukończyło ponad 51 tys. biegaczy. Na metę maratonów w Londynie i Chicago wbiegło ponad 48 tys. uczestników, zaś w Berlinie linię mety przekroczyło ponad 47 tys. startujących. Warto również podkreślić, że corocznie w najbardziej prestiżowych maratonach na świecie chce wystartować kilka lub kilkanaście razy więcej biegaczy niż limit ustalony przez organizatorów. Podczas zapisów na maraton w Londynie, który odbędzie się w 2025 roku, zgłosiło się ponad 840 tysięcy biegaczy chętnych do startu, co stanowi rekordową liczbę w historii tego wydarzenia.

Niejednokrotnie uczestnicy imprez biegowych decydują się na starty poza swoim miejscem zamieszkania, uprawiając przy tym turystykę biegową. Najpopularniejsze imprezy biegowe na świecie mają istotny wpływ na rozwój lokalnej gospodarki.

Interesariusze na rynku imprez biegowych

Impreza biegowa jest produktem, w którym po stronie podażowej występuje nie tylko organizator, a po stronie popytowej nie są to jedynie uczestnicy. Wydarzenia biegowe posiadają wielu interesariuszy. Kluczowym beneficjentem organizowanych wydarzeń jest miasto lub region, w którym dana impreza się odbywa. Główne korzyści dla lokalizacji to pobudzenie lokalnej gospodarki, kształtowanie pozytywnego wizerunku, promocja aktywnego stylu życia, wzrost lokalnego kapitału społecznego oraz wsparcie celów charytatywnych. Często to właśnie samorządy są organizatorami lub współorganizatorami biegów, które stają się kluczowym elementem promocji i atrakcyjności miejsca. Większość imprez biegowych nie mogłaby się odbyć bez udziału sponsorów, którzy są interesariuszami o dużej sile oddziaływania i wysokim zainteresowaniu. Coraz częściej w nazwach imprez biegowych widnieje marka sponsora tytularnego. Istotną grupę stanowią również wolontariusze, których zaangażowanie decyduje bezpośrednio o sprawnym przebiegu imprezy (np. poprzez wydawanie pakietów startowych, pełnienie funkcji informacyjnych, organizację bufetu na trasie czy zabezpieczenie). Ich wkład ma duże znacze-

nie zarówno dla uczestników, jak i sponsorów, a także stanowi wartość społeczną, integrując lokalną społeczność. Beneficjentami rozwoju rynku imprez biegowych są także dostawcy zasobów, partnerzy, producenci i usługodawcy działający w branży biegowej. Media pełnią kluczową rolę w promocji imprez, co przekłada się na zasięg medialny i wizerunek regionu. Niejednokrotnie podczas imprez biegowych wspierane są organizacje charytatywne, które także korzystają z rozwoju tego rynku. Ostatnią grupę interesariuszy stanowią podmioty zajmujące się prewencją i zabezpieczeniem imprezy, tj. policja, sztab medyczny, straż pożarna, służby ochrony, służby porządkowe.

Warto również podkreślić, że regularna aktywność fizyczna przynosi korzyści zarówno jednostkom, jak i społeczeństwu. W pierwszym przypadku prowadzi do utrzymania zdrowia fizycznego i psychicznego, utraty wagi bądź utrzymania obecnej sylwetki, a także do utrzymania lub poprawy kondycji fizycznej. W skali globalnej prowadzi do obniżenia kosztów opieki zdrowotnej i wspiera integrację społeczną poprzez zwiększenie tolerancji i jednoczenie różnorodnych grup społecznych.

Jaki jest uczestnik imprezy biegowej?

Marketing to zbiór działań, które mają służyć maksymalizacji zadowolenia klientów. Z perspektywy marketingu najważ-

niejszy jest klient, w tym przypadku uczestnik imprezy biegowej. Aby skutecznie dostosować ofertę do oczekiwań uczestników, konieczne jest zrozumienie ich potrzeb i pragnień. W badaniu sondażowym przeprowadzonym w 2018 roku wśród 1079 uczestników imprez biegowych w Polsce sprawdziłam główne motywy dotyczące udziału w imprezach biegowych. Dominują dwa główne obszary: zainteresowanie i przyjemność oraz kompetencje i wyzwania. Respondenci wskazali, że startują w imprezach biegowych, bo... lubią tę aktywność (91,2%), to jest dobra zabawa (90,4%), lubią wyzwania (90,4%), to ich uszczęśliwia (85%) oraz chcą poprawić swoje wyniki (76,1%).

W analizie rynku imprez biegowych wyróżnić można dwa główne typy wydarzeń: masowe biegi popularne oraz kameralne biegi lokalne. Badanie wykazało, że 34,4% respondentów preferuje kameralne biegi lokalne, 28,7% optuje za popularnymi biegami masowymi, a 36,9% miało trudności z określeniem preferencji.

Znaczna większość badanych biegaczy (74,9%) planuje z wyprzedzeniem, w jakich imprezach weźmie udział w nadchodzącym sezonie. Ta informacja podkreśla znaczenie długotrwałego procesu decyzyjnego w kontekście marketingowym, sugerując potrzebę rozłożenia działań marketingowych w czasie. Powinny one uwzględniać zarówno fazę przedpre-



daży (świadomość i rozważanie zakupu), sprzedaż (możliwość zakupu pakietu startowego), jak i fazę posprzedawczą (budowanie relacji przed udziałem w wydarzeniu, lojalność i orędownictwo po wydarzeniu).

Warto również zaznaczyć, że biegacze rzadziej narzekają. Prawie połowa badanych (47,6%) w przypadku zadowolenia z danej imprezy biegowej publikuje publicznie swoje odczucia online. W przeciwieństwie tylko 25,7% dzieli się negatywnymi opiniami w sieci. To zachowanie odbiega od ogólnie obserwowanego trendu, w którym to niezadowoleni konsumenci częściej wyrażają swoje opinie online.

Dodatkowo warto również zaznaczyć, że rynek biegowy przeszedł znaczącą transformację, zwłaszcza w kontekście udziału kobiet. Choć nadal mężczyźni dominują na listach startowych, obecność kobiet systematycznie rośnie, co świadczy o zmieniającej się dynamice, podkreśla rosnącą siłę oraz wpływ kobiet w społeczności biegowej.

Czy media społecznościowe zwiększyły popularność biegania?

Zgodnie z danymi z raportu Digital 2024, z mediów społecznościowych korzysta ponad 5 miliardów osób, co stanowi ponad 62% światowej populacji. W Polsce 27,9 miliona mieszkańców, czyli prawie 67% populacji, jest aktywne w mediach społecznościowych. Najbardziej popularną platformą społecznościową (zarówno na świecie, jak i w Polsce) wciąż jest Facebook.

Sukces mediów społecznościowych wynika między innymi z umożliwiania jednostkom przynależności do grupy, z którą łączą ją wspólne wartości, normy i zainteresowania. W przypadku rynku biegowego można zaobserwować jednostki łączące się w zbiorowości o podobnych potrzebach, stylu życia, pasji, wyznające podobne wartości i szukające dostępu do podobnych informacji (np. o ciekawych imprezach biegowych, nowinkach na rynku, testach sprzętu czy opiniach o danej marce). Wygoda,

niemal natychmiastowa komunikacja, specyfika i dostępność stanowią wyjątkową okazję do tworzenia społeczności internetowych i forów związanych ze sportem.

Badania pokazują, że media społecznościowe znacząco zwiększyły popularność biegania, co potwierdza 88,6% badanych biegaczy. Aż 80,7% respondentów zauważa, że wielu ich znajomych dzieli się zdjęciami i wynikami sportowymi w mediach społecznościowych, choć samodzielnie takie działania podejmuje nieco mniej osób, bo tylko 56,6%.

O znaczeniu mediów społecznościowych świadczą również dane mówiące, że wysoki odsetek biegaczy (87,4%) dowiaduje się o nowych imprezach biegowych właśnie dzięki serwisom społecznościowym. Co więcej, 84,7% respondentów przyznaje, że decyzje o uczestnictwie w wydarzeniach są często motywowane informacjami uzyskanymi z mediów społecznościowych („Zdarma mi się wystartować w imprezie, którą poznałem/am poprzez serwis społecznościowy”). Te dane podkreślają, jak wielką rolę odgrywają media społecznościowe w kształtowaniu trendów i zachowań związanych z bieganiem, stanowiąc nie tylko platformę informacyjną, ale także motywacyjną.

Marketing doświadczeń w imprezach biegowych

W dzisiejszych czasach marketing doświadczeń zyskuje na znaczeniu. Koncepcja ta opiera się na budowaniu głębokich relacji pomiędzy organizacją a jej klientami poprzez emocje wywołane znaczącymi doświadczeniami, które powstają w trakcie ich współtworzenia i konsumpcji. Już w 1955 roku L. Abbot zauważył, że konsumenci dążą nie tyle do posiadania produktów, ile do satysfakcjonujących doświadczeń z nimi związanych. W kontekście imprez biegowych oznacza to, że uczestnicy płacą za emocje i wspomnienia związane z serią angażujących momentów starannie zaplanowanych przez organizatorów.

Doświadczenie konsumenta (customer experience, CX) to wielowymiarowy konstrukt, który obejmuje poznawcze, emocjonalne, behawioralne, zmysłowe i społeczne reakcje klienta na ofertę firmy podczas całej podróży zakupowej. Emocje stają się kluczowym czynnikiem sukcesu każdego wydarzenia, ponieważ to właśnie przeżycia i wspomnienia są tym, czego nabywcy szukają najbardziej. Co więcej, doświadczenia są istotne nie tylko podczas uczestnictwa w wydarzeniu, lecz także w trakcie całego procesu podejmowania decyzji i we wszystkich punktach styku z produktem (tj. wydarzeniem i jego organizatorem).

Badania wskazują, że 90-95% decyzji konsumencjki jest determinowanych przez podświadome stany emocjonalne. Niezależnie od tego, czy uczestnicy są świadomi swoich potrzeb, czy też nie, zadaniem organizatorów jest wywołanie pozytywnych emocji, takich jak radość, ekscytacja, euforia, zadowolenie, zachwyty, spełnienie czy satysfakcja. Każdy uczestnik powi-



nien czuć się wyjątkowy i doceniony, jednocześnie będąc częścią większej społeczności. Projektowanie doświadczeń ma na celu aranżowanie wrażeń, które są funkcjonalnie angażujące, atrakcyjne i niezapomniane.

Ze względu na charakter usługowy, każda impreza biegowa jest przedsięwzięciem unikatowym. Na wyjątkowość wydarzenia, a w związku z tym także na dostarczanie niepowtarzalnych doświadczeń, mogą mieć wpływ takie elementy jak: liczba zawodników i kibiców, zachowanie i forma innych zawodników, organizacja miasteczka zawodów, zawartość pakietu startowego i medal, a także warunki pogodowe podczas imprezy.

Znajomość potrzeb, pragnień, postaw, zwyczajów, nawyków, oczekiwań i preferencji (także tych nieuświadomionych) konsumentów jest niezbędna w celu zapewnienia uczestnikom imprezy biegowej ekscytujących przeżyć. Pozytywne doświadczenia wynikające z uczestnictwa stanowią jeden z kluczowych czynników determinujących powtarzające się zachowanie, zaś jednym z wyzwań, przed którymi stoją organizatorzy imprez biegowych, jest stworzenie bazy lojalnych biegaczy. Można zatem stwierdzić, iż dostarczanie doświadczeń odgrywa znaczącą rolę w satysfakcji konsumentów oraz ich lojalności.

Doświadczenie klienta osiąga się dzięki wykorzystaniu różnych punktów styku (touchpoints) online i offline, które oferują wyróżniające się wrażenia na różnych etapach podróży konsumenta. Digitalizacja zwiększa liczbę tych punktów, a interakcje mogą być inicjowane zarówno przez konsumentów (np. sprawdzanie recenzji), jak i przez organizatorów (np. treści na stronach internetowych).

Na przestrzeni ostatnich lat zaszły zmiany w mentalności konsumentów, zaobserwowano wzrost hedonizmu i afektywności. Komunikacja pomiędzy marką a konsumentami nie służy już wyłącznie przekazywaniu faktów, ale także wyrażaniu emocji i doznań. W kreowaniu doświadczeń należy podkreślić również rolę rozwiązań technologicznych. Uznaje się, że technologia zawsze była w czołówce wszelkiego rodzaju kreatywnego myślenia, które ma na celu poprawę doświadczeń konsumentów. Technologia może kształtować świadomość sportową poprzez innowacje związane ze sprzętem i usługami, a także przechodzić w kierunku doświadczeń online. Wykorzystanie technologii przez organizatorów imprez biegowych sprawia, że doświadczenia mogą stać się lepiej dopasowane do uczestników.

Rekomendacje dla organizatorów wydarzeń

W konkurencyjnym środowisku rynkowym organizatorzy imprez biegowych muszą skutecznie rywalizować o uwagę potencjalnych uczestników. Uczestnicy imprez biegowych przechodzą przez tradycyjny proces zakupu, w którym decyzja o nabyciu pakietu startowego jest zakupem możliwości uczestniczenia w wydarzeniu. Z tego względu organizatorzy powinni skutecznie wykorzystywać narzędzia marketingowe, kierując swoje działania do określonych segmentów rynku. Komunikacja marketingowa skierowana do biegaczy nastawionych na rywalizację powinna podkreślać inne doświadczenia niż komunikacja skierowana do uczestników, dla których ważna jest zabawa i społeczny aspekt wydarzenia.

Atmosfera wydarzenia, łącząca nastrój i klimat, okazuje się kluczowym czynnikiem przyciągającym uczestników. Trudno jednoznacznie określić, jakie są wymierne komponenty atmosfery, lecz można przyjąć, że mają na nią wpływ takie elementy jak: idea wydarzenia, ludzie oraz miejsce. Subiektywne odczucia uczestników mają wpływ na ich satysfakcję oraz zaufanie do organizatora. Organizatorzy muszą nie tylko utrzymać pewien standard imprezy, ale także ciągle czerpać wnioski z każdej edycji, by udoskonalać przyszłe wydarzenia. Innowacyjność



jest istotna, aby utrzymać zainteresowanie uczestników, jednak należy zachować równowagę, aby nie zniechęcić stałych bywalców.

W dzisiejszym świecie technologii kluczowe jest także połączenie doświadczeń online i offline. Organizatorzy powinni skupić się na każdym punkcie kontaktu z marką od momentu kreowania świadomości o wydarzeniu po sam udział i późniejszą komunikację. Social media odgrywają tu istotną rolę, stając się głównym źródłem informacji i narzędziem komunikacji dla wielu biegaczy. Marketing treści i narracyjny (storytelling) może skutecznie wzbudzać zainteresowanie i budować zaangażowanie. Publikowane treści, zarówno tekstowe, jak i wizualne, powinny nie tylko informować i edukować, ale także tworzyć emocjonalne połączenie z uczestnikami, obiecując im wartościowe i unikalne doświadczenia. Ważne jest, aby organizatorzy byli wrażliwi na opinie i potrzeby uczestników, zarówno poprzez bezpośrednią komunikację, jak i monitoring mediów społecznościowych. Słuchanie, analiza sytuacji i odpowiednie reagowanie na konstruktywną krytykę umożliwiają ciągłe doskonalenie i dostosowywanie wydarzeń do oczekiwań uczestników.

Podsumowując, w dynamicznie zmieniającym się środowisku rynkowym sukces imprez biegowych zależy od skutecznego połączenia zaawansowanych strategii marketingowych, innowacyjności oraz umiejętności budowania i utrzymywania relacji z uczestnikami zarówno w przestrzeni fizycznej, jak i cyfrowej.

W artykule wykorzystano wyniki badań przedstawione w książce dr Liwii Delińskiej *Rynek imprez biegowych. Uczestnicy - doświadczenia - technologia* (2024)

Ilustracje zostały wykonane przez autorkę przy pomocy prompta przez AI w Kreatorze Obrazów Microsoft Bing. Podobnie jak ilustracja na okładce książki.

Dr Liwia Delińska jest adiunktem w Katedrze Marketingu na Wydziale Zarządzania Uniwersytetu Gdańskiego.

Powrót historii literatury

Syntezy i przełomy, polityka i romantyzm. Dwie pierwsze kategorie i dwa następne tematy tworzą moją historycznoliteracką opowieść. Decydują o jej charakterze i spójności. Łatwo przecież dostrzec związek między przełomami i polityką, zarówno niewątpliwy, a nawet konstytutywny, jak i niepokojący, wręcz dramatyzujący historię polskiej literatury powojennej.

Historia literatury wraca. W nowej postaci, z nowymi defektami, ale jest. Niektórzy ją odnajdują w okolicach literackich przewodników turystycznych, rozmów czy dzienników. Inni piszą nowe historycznoliterackie syntezy. Niebezinteresowne. W rezultacie historii literatury z jednej strony zagraża rozplątanie się w formach dowolnych: granicznie hybrydycznych, a z drugiej zaangażowany udział w walce już nie o literaturę, ale wiedzę i pamięć o niej wykorzystywaną w aktualnych sporach politycznych. Czy w konfrontowaniu gatunkowej dowolności z historycznoliterackim modelowaniem tożsamości obywatelskiej osobista historia literatury ma cokolwiek do powiedzenia?

Historycznoliteracka prehistoria w Polsce i na świecie

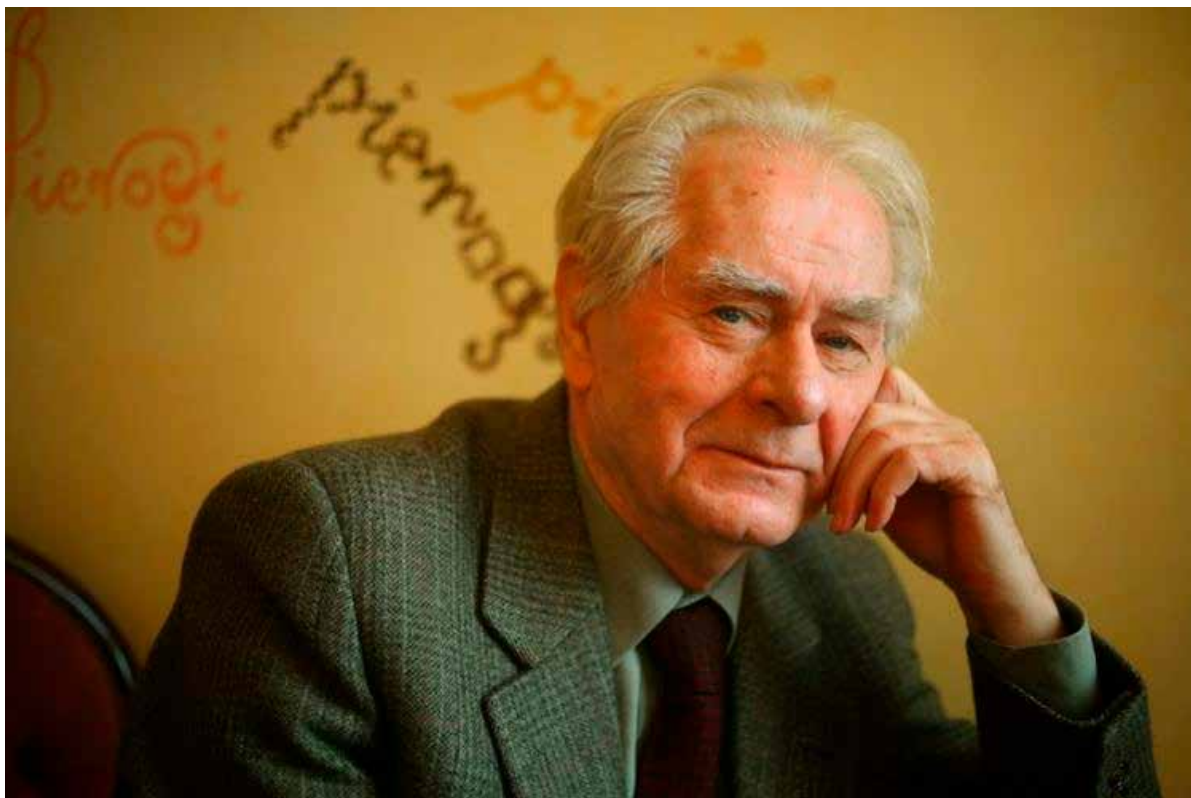
Najpierw świat, chociaż ile razy można powtarzać, że Fukuyama miał rację? W 1989 roku należało odnotować koniec historii, nawet jeśli niebawem miała się ona zacząć od nowa, m.in. według reguł zderzenia cywilizacji odnotowanych przez Samuela Huntingtona. Koniec historii i konflikt jako jej ciąg dalszy. Na tym tle atrakcyjnie prezentują się skrzydlate już słowa François Lyotarda, zazwyczaj nadinterpretowane, o końcu wielkich narracji, a wśród nich także tej najważniejszej z literaturoznawczego punktu widzenia: historycznoliterackiej. Jakby tego było mało, Jacques Derrida przesądził sprawę traktowania literatury w kategoriach całości i sensu, uruchamiając wielką operację postmodernistycznej dekonstrukcji. Także historycznoliterackich syntez.

Powyższy obraz, obrazoburczo skrótowy, miał i ma swoje konsekwencje w naszym kraju. Najpierw, w 1993 roku, Teresa Walas retorycznie pytała, czy jest możliwa inna historia literatury? (Inna zwłaszcza niż ta, jaką za Henrykiem Wölfflinem w postaci sinusoidy przeciwstawiającej sobie prądy romantyczne i klasyczne sprowadził z Niemiec do Polski Julian Krzyżanowski). Czternaście lat później, w roku 2007, Teresa Walas odpowiedziała na pytanie o inną historię literatury, zwracając uwagę na użyteczność encyklopedycznych i kronikarskich ujęć historycznoliterackich. Zatem nie wszystko stracone. Przynajmniej ze względu na przetrwanie historii literatury.

Historia literatury na świecie i w Polsce dzisiaj

Najpierw Polska. Jeśli dzisiaj, to w trzeciej dekadzie XXI wieku, bo w 2021 roku ukazała się książka Joanny Maj *Nowe historie literatury*. Nowe na pewno, ale czy historie literatury? Jeśli syntezy są niemożliwe, to może nie pozostaje nic innego niż akceptacja *Wizualnych historii literatury* albo *Form hybrydycznych i pogranicznych...* opisanych przez Joannę Maj. A gdyby czytelników zainteresowanych historią literatury nie przekonały literackie przewodniki turystyczne czy historycznoliterackie rozmowy, zapewne mało kto spośród nich zdoła się oprzeć urokowi dziennika Małgorzaty Baranowskiej, literaturoznawczyni z IBL PAN, poetki i przyjaciółki poetów, zatytułowanego *Prywatna historia poezji* (1999). Drugą jego część zatytułowaną *Prywatna historia poezji i koniec wieku* opublikowano pięć lat po śmierci autorki, w roku 2017.

Problem (?) w tym, że syntezy historycznoliterackie nie tylko są możliwe, ale także bywają publikowane. Nie jesteśmy więc skazani na formy nazbyt pojemne, hybrydyczne i pograniczne. Nie musimy poprzestawać na niepozbowionych uroku prywatnych opowieściach uwikłanych w historycznoliteracki kontekst. Zainteresowani historią literatury możemy, a chyba nawet powinniśmy konfrontować się głównie z syntezami, takimi jak *Historia literatury polskiej* Anny Nasiłowskiej (pierwsze wydanie: 2019, wydanie drugie: 2022). Konfrontacja ta jest zasadna, chociaż jako adresatów tej książki wskazuje się odbiorców „nierodzimych”, a jej konto obciążają błędy w rodzaju: płk Michał Wołodyjowski z *Trylogii* Sienkiewicza zginął w Barze (a nie w Kamieńcu). Potrzebę konfrontowania się z historycznoliteracką syntezą Anny Nasiłowskiej skutecznie, choć pewnie mimowolnie, podkreślił jeden z recenzentów tej książki, Andrzej Skrendo, który na łamach „Tekstów Drugich” zacytował Annę Nasiłowską, wskazując Piotra Skargę jako postać szczególnie przez nią nielubianą: „Jako duchowny głosił kazania o treściach politycznych – nie był tu pierwszy, ale to on stał się symbolem idei, że Polska powinna być katolicka, a wiara jest gwarancją jedności, cnoty i boskiej opieki. (...) Obrazowy styl i dobra polszczyzna sprawiły, że [jego] dzieło [żywoty i kazania] były w użytku prze-



Z moich lektur wynika, że najwybitniejszym polskim prozaikiem przełomu XX i XXI wieku jest Wiesław Myśliwski, autor *Kamienia na kamieniu*, jedynej spełnionej popei naszej powojennej literatury, pierwszej o znaczeniu porównywalnym z *Panem Tadeuszem* Adama Mickiewicza. Fot. PAP/T. Gzell. Źródło: dzieje.pl

szło trzysta lat, przyczyniając się do utrwalenia archaicznych cech dewocji katolickiej”.

W podsumowaniu recenzji Skrendo nie bez związku z cytowaną wyżej oceną Skargi napisał: „*Historia literatury polskiej* Anny Nasiłowskiej wydaje się dziełem nadzwyczaj udanie zbalansowanym: wyciąga wnioski z dokonujących się w kulturze zmian, lecz im się nie poddaje; jest nowatorska, ale zachowuje silne związki z tradycją i ostatecznie tradycję podtrzymuje; stanowi dokonanie autorskie, a zarazem dzięki swemu zdyscyplinowaniu przekazuje wiarygodny i spójny obraz przeszłości. Ostatecznie – mocno odróżnia «wartości trwałe», od tych, «które należało i należy w narodzie tępić». I bardzo dobrze”.

Moim zdaniem jednak nie najlepiej. Mniejsza nawet o to, jak Nasiłowska i Skrendo oceniają dorobek Piotra Skargi. Rzecz w tym, że *Historia literatury polskiej* napisana przez Annę Nasiłowską i zrecenzowana przez Andrzeja Skrendę traci cechy historycznoliterackiej syntezy, przyjmując jedną, pozaliteracką perspektywę wartościowania dzieł i faktów będących jej przedmiotem. Żeby tego uniknąć, tworząc tekst tego rodzaju, wystarczy jasno i wprost określić determinujący go literaturoznawczy punkt widzenia. W innej sytuacji grozi nam nie tyle historycznoliteracka konfrontacja, by nie powiedzieć walka, ile uzurpacja, polegająca na takim traktowaniu historycznoliterackich ujęć innych niż nasze, jakby ich w ogóle nie było.

Ciekawe, że na świecie, zwłaszcza tym określanym mianem Zachodu, którego część przecież stanowimy, historia literatury ma się dużo lepiej niż u nas. Wystarczy wskazać *A New History of French Literature* z 1989 roku i *A New History of German Literature* z roku 2004. W obu przypadkach mamy do czynienia z dziełami gigantycznych rozmiarów, przygotowanymi przez zastępy badaczy związanych z najwyższymi cenionymi uniwersytetami świata i adresowanymi także do tzw. masowego czytelnika. Wystarczyło zebrać najlepszych autorów i zgodnie z ich

kompetencjami dać im do napisania chronologicznie uporządkowane eseje o najważniejszych twórcach, dziełach, wydarzeniach i tematach tworzących francuską i niemiecką literaturę. To się czyta. Wiem, bo smakowałem. Nie chcę pisać o tym, dlaczego taka historia literatury współcześnie wydaje się w naszym kraju niemożliwa. Wolę przedstawić swój sposób mierzenia się z aktualnymi historycznoliterackimi wyzwaniem zanotowany w książce *Osobista historia polskiej literatury powojennej*.

Najważniejsze kategorie i tematy

Przyznaję, wzorzec anglojęzyczny ma dla mnie znaczenie. Nie będę jednak udawał, że udało mi się przygotować dwadzieścia kilka podobnych esejów relacjonujących historię literatury powojennej Polski. Udało mi się (?) coś innego. Dokonałem wyboru najważniejszych kategorii, moim zdaniem konstytutywnych dla historycznoliterackiej, powojennej opowieści. I tematów, które opowieść tę narracyjnie scalają. Najważniejsze kategorie to synteza i przełom. Scalające i powracające tematy to polityka i romantyzm. Jeśli wielka historycznoliteracka synteza nie jest możliwa, to warto przynajmniej próbować mierzyć się z syntezami mniejszymi, o ograniczonym zakresie, opisującymi np. polską literaturę obozową, tym bardziej że całościowe omówienie tego, co łagrowe i łagrowe, nie tylko nie istnieje, ale może nawet nie powinno powstać. Inna niemożliwa, choć tylko fragmentaryczna synteza dotyczy polskiej prozy przełomu XX i XXI wieku. Niemożliwa, bo jej przedmiotem są teksty, które wciąż powstają, ale przecież już teraz warto zaryzykować nieco enigmatyczną tezę w rodzaju: klasycy (na literackim Parnasie) panują, panowie (głównie) pamiętają, a piszące panie (przede wszystkim) walczą. Polska poezja współczesna też daje się syntetyzować, nawet ta, która powstaje po 1989 roku, zwłaszcza jeśli bywa przedmiotem antologii i to opublikowanej poza krajem, w Stanach Zjednoczonych. Obozy, proza, poezja – syntetyzujące przekroje

bywają też innego rodzaju, jeden z nich determinuje kategoria sacrum. Staram się opowiedzieć o jej literackich losach zarówno w PRL-u, jak i w III RP.

Kiedy syntezy okazują się niemożliwe, jednym z najcenniejszych tropów historii literatury okazuje się przełom czy choćby jego ślad. Znaczenie tej kategorii wzrosło po roku 1989 dzięki książce Przemysława Czaplńskiego poświęconej polskiej prozie lat 1976-1996. Proces historycznoliteracki może wymknąć się spod kontroli, ale zmiany i zwroty pozostają i mogą okazać się na tyle ważne, że budowanie na nich czy wokół nich historii literatury ma sens. Dlatego w swojej osobistej historii literatury piszę o przełomowym znaczeniu lat 1944-1948, a *Gnój* Wojciecha Kuczoka jako istotny dla przełomu roku 1989 staram się dołączyć do poezji Marcina Świetlickiego, która niezmiennie pozostaje najważniejszym literackim znakiem wejścia w III RP.

Najważniejsze są trzy przełomy decydujące o strukturze książki, rozstrzygające o historii polskiej literatury powojennej. Każdy z nich wskazuje czas i proces wychodzenia z trzech kolejnych, niewspółmiernych katastrof historycznych. Lata 1944-1948 to wychodzenie z II wojny światowej, największej katastrofy XX wieku. Rok 1956, kojarzony zwłaszcza z Październikiem, to uwalnianie się z opresji stalinowsko-socrealistycznej. I wreszcie wyborczy czerwiec 1989 roku, w odróżnieniu od Października roku 1956 pisany małą literą, cezura kończąca PRL i rozpoczynająca III RP. Trzy katastrofy, trzy wyzwolenia, trzy przełomy rewolucyjnie zmieniające polską literaturę. Ważniejszych nie było, chociaż w swojej książce odnotowuję też inne istotne przełomy/punkty zwrotne, takie jak Marzec 1968 roku: wydarzenie pokoleniowe nie tylko dla poetów Nowej Fali, twórców ważnych m.in. jako ci, którzy (współ)decydowali o literackim

języku polskiej opozycji; rok 1975: związany z Marcem '68, m.in. za sprawą Nowej Fali, kończący monopol Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej na prowadzenie tzw. polityki kulturalnej, rozpoczynający funkcjonowanie niezależnego obiegu literackiego, w prozie naznaczony sylwami Tadeusza Konwickiego, z których pierwsza, *Kalendarz i klepsydra*, ukazała się w 1976 roku, wskazując początek wielkiej kariery tego, co niefikcjonalne w naszej literaturze; czy wreszcie 13 grudnia 1981 roku, czyli początek stanu wojennego: przełom ważny przede wszystkim z politycznego punktu widzenia, w literaturze wart odnotowania z co najmniej dwóch powodów. Powód pierwszy: w czasie stanu wojennego doszło do cennego, bo rzadkiego współdziałania twórców polskiej literatury niezależnie od dzielących ich różnic generacyjnych czy różności wybieranych przez nich estetyk. Powód drugi: 13 grudnia 1981 roku, nie będąc przełomem literackim pierwszorzędno znaczenia, potwierdza konstytutywną zasadę polskiej literatury powojennej, obowiązującą przede wszystkim w latach 1944-1989, ale także po roku 1989, mimo nadziei związanych z pierwszym, „Świetlickim” okresem III RP. Zasada ta daje się sprowadzić do tego, że nasza literatura skazana jest na politykę, pozostaje od niej uzależniona, dzieje się w związku z jej kalendarzem, mierzonym datami politycznych zmian, przewrotów, przejść władzy. Można traktować tę zależność jako patologiczną. Można wskazywać jej nieuchronność. Można też było oczekiwać, że po 1989 roku, w III RP literatura odwróci się od polityki. Tak się jednak nie stało. Polityka wciąż nie daje literaturze odetchnąć.

Syntezy i przełomy, polityka i romantyzm. Dwie pierwsze kategorie i dwa następne tematy tworzą moją historycznoliteracką opowieść. Decydują o jej charakterze i spójności.



Źródło: Wikipedia

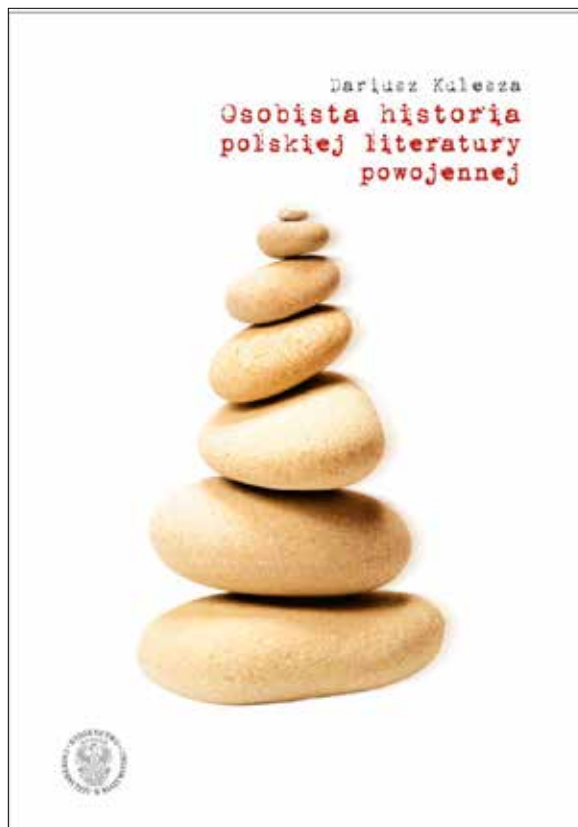
Poezja Marcina Świetlickiego niezmiennie pozostaje najważniejszym literackim znakiem wejścia w III RP.

Łatwo przecież dostrzec związek między przełomami i polityką, zarówno niewątpliwy, a nawet konstytutywny, jak i niepokojący, wręcz dramatyzujący historię polskiej literatury powojennej. Powagi sprawie dodaje kontekst romantyzmu, otwierający to, co powojenne, na przeszłość sięgającą co najmniej po wiek XIX, po czas decydujący zarówno o naszej narodowej tożsamości, jak i charakterze naszej literatury, wolnej od egzystencjalnej bezinteresowności, skazanej na mierzenie się z historią, reagowanie na nią, realizującej konsekwentnie i stale, aż po współczesność, tyrtejsko-mesjanistyczną misję uczenia Polaków reagowania na dziejowe katastrofy i permanentne (geo)polityczne zagrożenia. Romantyzm to jeden z najważniejszych tematów mojej książki, dlatego że w związku z nim wraca pytanie o to, komu ma służyć polska literatura, wspólnocie zwanej niegdyś przede wszystkim narodową, skazanej na zmaganie się z historią czy spersonalizowanej jednostce, dla której historia stanowi jedynie część egzystencjalnych doświadczeń konfrontowanych nieuchronnie z pytaniami o sens istnienia i związanych z nim w nieusuwalny sposób cierpień.

Romantyzm wraca wtedy, gdy za sprawą prozy Tadeusza Borowskiego opisuję antyromantyczny początek polskiej literatury powojennej, i wtedy, gdy czytając poezję Wojciecha Wencła, pytam o nową poezję narodową. Wraca, gdy w ostatnim rozdziale książki, po którym już tylko *Epilog...*, nazywam Wiesława Myślińskiego najwybitniejszym polskim prozaikiem przełomu XX i XXI wieku. Przyznaję, lubię diagnozy niemożliwe, wskazujące to, co najważniejsze w historii literatury, np. przełomy, i tych, którzy są najwybitniejsi, jak Miron Białoszewski czy Wisława Szymborska albo przy najmniej, jak Marek Hłasko czy Stanisław Grochowiak, najbardziej symptomatyczni. Rozstrzygnięcia ostateczne zmuszają do precyzyjnego, konkluzyjnego myślenia i ułatwiają polemikę, bo przecież trudno z nimi nie polemizować. I jeszcze coś, nawet wtedy, gdy piszę o wydarzeniach czy tekstach, staram się je personalizować, relacjonować z uwzględnieniem osób, które w nich uczestniczą lub je tworzą. Dlatego nie powstrzymuję pióra, ani nie wyłączam komputera, gdy z moich lektur wynika, że najwybitniejszym polskim prozaikiem przełomu XX i XXI wieku jest Wiesław Myśliński, autor *Kamienia na kamieniu*, jedynej spełnionej epopei naszej powojennej literatury, pierwszej o znaczeniu porównywalnym z *Panem Tadeuszem* Adama Mickiewicza, twórca, który po napisaniu swojego epopeicznego arcydzieła niezmiennie, od *Widnokregu* po *Ucho Igielne*, publikuje prozę fikcyjną, bezcenną w konfrontacji z romantycznym zraniem literatury polskiej, bo uczącą nie jak mierzyć się, zbiorowo, z opresyjną historią, ale przygotowującą do indywidualnego zmagania się z własnym życiem, z tym ciągiem nieuporządkowanych zdarzeń, któremu zobowiązani jesteśmy nadać sens, bo nie ma innego sposobu, by z bezkształtnej masy przytrafiających się nam nocy i dni uczynić Los, „coś” całościowego, sensownego i godnego. Żaden polski pisarz współczesny nie przygotowuje do tego wysiłku lepiej niż Wiesław Myśliński.

Osobista historia literatury

Osobista, bo inna póki co wydaje się niemożliwa. Gdyby jednak udało się skłonić do współpracy najwybitniejszych historyków literatury polskiej, gdyby oni zechcieli zacząć od przygotowania np. *Nowej historii polskiego baroku*, gdyby rozpisali ją na chronologicznie uporządkowane, podobne objętościowo, opatrzone podstawową bibliografią eseje, początek zostałby wykonany. Nie wydaje mi się niemożliwe przygotowanie listy tematów, którym eseje byłyby poświęcone. Zacząć można od kalendarium, czyli od dat i związanych z nimi wydarzeń istotnych



z historycznoliterackiego punktu widzenia, od poszczególnych twórców, od najważniejszych (najlepszych i najbardziej symptomatycznych) dzieł, dominujących i marginalnych estetyk. Na tak przygotowanej bazie dałoby się umieścić i te tematy, które wydają się istotne dzisiaj. Warto wziąć pod uwagę kwestie związane zarówno ze zwrotem kulturowym w badaniach literaturoznawczych, jak i z postmodernistycznym projektem emancypacyjnym, sięgając przy tworzeniu historycznoliterackich esejów m.in. po zagadnienia feministyczne, perspektywę ekokrytyczną i postzależnościową, geopoetykę czy nowy regionalizm. Jeśli nie wszystko jest możliwe, to i tak bardzo wiele może się udać. Wystarczy unikać ujęć anachronicznych, bagatelizujących nieprzystawalność współczesnych miar do historycznych tekstów i doświadczeń. A przeświadczenie, że istnieje tylko jedna skala pozwalająca wartościować to, co stanowi przedmiot historycznoliterackich badań, należy po prostu odrzucić.

Zanim kompetentny zespół historyków literatury powstanie, ich pracę próbują wykonywać, a przynajmniej przygotowują, literaturoznawcy nie tyle skazani na samotność, ile na samodzielne decyzje dotyczące tego, w jaki sposób i co będą opisywać w swoich historycznoliterackich tekstach. Ważne, by podejmowane przez nich próby jasno określały zasady, wedle których proponowana przez nich historia literatury została przygotowana. Bo jeśli wielka synteza historycznoliteracka nie jest możliwa, dlaczego mielibyśmy nie tworzyć syntez poszczególnych epok czy okresów, przyznając się do związanych z tym indywidualnych ograniczeń i osobistych wyborów? Takie ryzyko warto podjąć. Alternatywą jest bezczynność, czyli nieuchronna porażka.

Artykuł został oparty na badaniach opublikowanych w monografii *Osobista historia polskiej literatury powojennej*, Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 2024.

Prof. dr hab. Dariusz Kulesza, literaturoznawca,
Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Białymstoku

O walce z legendą Powstania Warszawskiego

W oficjalnej propagandzie funkcjonował szablon dzielący środowisko akowskie na cynicznych dowódców i zagubione rzesze żołnierskie. Jeśli dopuszczano do głosu tematykę Powstania Warszawskiego, to nadal poddana była ona ścisłej kontroli i służyć miała usankcjonowaniu władzy „ludowej”.

Dla PKWN wybuch powstania w Warszawie był zaskoczeniem. Przez kilka dni nie dostrzegano tam tego wydarzenia. Można podejrzewać, że z jednej strony czekano na potwierdzenie informacji, natomiast z drugiej na dyrektywy Moskwy, jak walkę tę interpretować. W archiwach zachowały się świadectwa mówiące o przygotowaniach komunistów do fizycznej rozprawy z powstańczą Warszawą, gdyby walka w stolicy jednak zakończyła się sukcesem.

Komuniści dysponowali sprawną machiną propagandową stworzonego w tym czasie resortu propagandy i agitacji, ale także np. pionu polityczno-wychowawczego podporządkowanego im Wojska Polskiego. Organizowali pod nadzorem doradców sowieckich i resortu bezpieczeństwa (częściowo w jego strukturach) niezwykle skuteczny oręż walki politycznej oraz zniewolenia społeczeństwa, jakim była wyjęta spod jawnych uregulowań prawnych cenzura.

W tym czasie prasa pełna była pomówień, oszczerstw oraz zajadłych ataków na przywódców politycznych i wojskowych powstania. Przykładem może być artykuł pt. *Powstanie warszawskie* w „Odrodzeniu” z 22 października 1944 r., opublikowany tuż po kapitulacji. Można było tam przeczytać: „Już pierwsze dni powstania zdemaskowały właściwe zamierzenia reakcyjnych inicjatorów. Dowództwo AK nastawiło się na krótkotrwałość akcji powstańczej, ponieważ chodziło o opanowanie Warszawy po opuszczeniu jej przez Niemców, a przed wkroczeniem Armii Czerwonej i Wojska Polskiego. Gdyby ten manewr się udał, reakcja polska uzyskałaby atut, który wygrałby Mikołajczyk w rozmowach moskiewskich. Ale takie założenia gry politycznej są założeniami zupełnych bankrutów politycznych, którzy nic nie mając do stracenia szafują życiem setek tysięcy ludzi”. I dalej autor artykułu, odpierając powszechne zarzuty pozostawienia Warszawy bez pomocy, a w konsekwencji wezwania do bojkotu PKWN, stwierdził: „Zbieżność reakcyjnej propagandy z propagandą goebbelsowską była zadziwiająca. Jak wiemy, ta współpraca ideologiczna hitlerowców z reakcją polską miała swoje tradycje. (...) Najjaskrawiej wystąpiła w sprawie katyńskiej”. Za jednym zamachem starano się usprawiedliwić bierność Armii Czerwonej na przedpolach War-

szawy, z drugiej strony usilnie wykazać nie tylko jako sprzeczne z polską racją stanu, ale wręcz jako antynarodowe i zbrodnicze przesłanki, którymi kierowali się przywódcy Polski Podziemnej, wzniesając powstanie.

To w tym czasie wytyczone zostały ramy, w jakich przez lata wyłącznie można było pisać o Powstaniu Warszawskim, jakich argumentów używać, co było dozwolone, a co nie. Hekatomba, która spadła na miasto, ogrom śmierci i cierpienia, olbrzymie zniszczenia, przede wszystkim wynikająca z nich powszechna atmosfera klęski, pozwalały komunistom domniemywać, że mieszkańcy stolicy, a wraz z nimi całe społeczeństwo polskie będzie podatne na takie oddziaływanie, że nie będzie w stanie odróżnić prawdy od fałszu.

Należy pamiętać o znajdujących się w tle opisywanych wydarzeń dekrétach PKWN, jak m.in.: *O rozwiązaniu tajnych organizacji wojskowych na terenach wyzwolonych* z 24 sierpnia czy *O wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy (...) oraz dla zdrajców Narodu Polskiego* z 31 sierpnia 1944 r. W tym kontekście rzeczywistego, wymiernego znaczenia nabierały mnożące się (to nic, że bezpodstawne) oskarżenia, jak to z „Głosu Ludu” z 15 grudnia 1944 r., iż „wyrodków spod znaku AK i NSZ, wyznawcy hr. Bora-Komorowskiego i pupile pana Arciszewskiego i jego łajdackiej spółki sanacyjno-endeckiej, tropią i mordują polskich patriotów, pomagają okupantowi w łapaniach i wywożeniu ludności polskiej”. Dostarczały podstaw i pretekstu do aresztowań, wywózek, a nawet mordów.

Wojna o groby

Łatwo było powiązać ze sobą np. hasła wieców, tezy artykułów prasowych, później także politykę kadrową w zakładach pracy i urzędach oraz aresztowania przeprowadzane przez rodzimy resort bezpieczeństwa, milicję i wojsko, często wspomagane lub nadzorowane przez sowiecki „Smiersz” (kontrwywiad) albo NKWD. Symbolem tego okresu stał się plakat Włodzimierza Zakrzewskiego „Olbrzym i zapłuty karzeł reakcji AK”.

Od początku ważnym miejscem zmagania o pamięć Powstania Warszawskiego był cmentarz Powązkowski. Cmentarz już

przed wojną otrzymał charakter centralnej nekropolii wojskowej w stolicy. W czasie konspiracji pochowano tu poległych i zmarłych żołnierzy Grup Szturmowych Szarych Szeregów, m.in. ppor. hm. Jana Bytnara „Rudego” oraz ppor. hm. Tadeusza Zawadzkiego „Zośkę”. Niedaleko zaczęło walki powstańcze zgrupowanie ppłk. Jana Mazurkiewicza „Radosława” z Kedywu KG AK. Tam po wojnie rodziny i koledzy z oddziałów starali się chować swoich poległych.

Tymczasem rozpoczęła się akcja przenoszenia prochów z ulic i domów do masowych grobów na Starym Mieście oraz na Czerniakowie. Była to odgórna decyzja i słusznie podejrzewano, że była próbą zawłaszczenia przez komunistów pamięci Powstania Warszawskiego. Potwierdzeniem była decyzja z listopada 1945 r. o założeniu na Woli Cmentarza Powstania Warszawskiego. Komunistom zależało na pochowaniu tam w zbiorowych i bezimiennych mogiłach wszystkich poległych – powstańców oraz ludności cywilnej. W ten oto sposób rozpoczął się mało znany epizod walki ze społeczeństwem, który zapamiętany został jako „wojna o groby”.

Skąd taka determinacja? Otóż komuniści byli szczególnie wyczuleni na sprawy udziału AL w powstaniu. Wymowa liczb ukazująca dysproporcję między liczbą pochowanych żołnierzy poszczególnych organizacji świadczyła o niewielkim znaczeniu AL dla przebiegu powstania, na przekór przekazowi oficjalnej propagandy. Wskazywała na małą liczebność komunistów i wynikające z tego znikome poparcie społeczne.

W tym czasie cenzura w zarodku likwidowała jakąkolwiek próbę polemiki z tezami oficjalnej propagandy, uderzała w każdy tekst dotyczący Powstania Warszawskiego. Kazimierz Bagiński, wspominając swoją działalność w PSL, opisywał, że w „Gazecie Ludowej” ofiarą padały nawet zawiadomienia dotyczące prac ekshumacyjnych.

Osobne miejsce zajęły zmagania o pomnik Powstania Warszawskiego. Już 6 lipca 1945 r. podczas manifestacji robotniczej na terenie Elektrowni Warszawskiej rzucono hasło jego budowy. W krótkim czasie przeprowadzono nawet konkurs na projekt pomnika i zebrano znaczną kwotę. Komuniści zdawali sobie sprawę, że taki pomnik będzie ważnym elementem tworzącej się legendy Powstania Warszawskiego. Dlatego, gdy nie udało się odgórn timer zablokować inicjatywy społecznej, podjęto kolejną próbę zawłaszczenia pamięci i powołano Komitet Budowy Pomnika, którego honorowymi członkami zostali Bierut, Cyrankiewicz, Spychalski i Józwiak. Nawet zaplanowano na 1 września 1948 r. (charakterystyczne było takie zaciemnianie pamięci przez nakładanie na siebie rocznic) położenie kamienia węgielnego. I na kilka lat sprawę udało się zdusić.

Wkrótce, po 1949 r., zakazano jakiegokolwiek formy otwartego manifestowania pamięci o Powstaniu Warszawskim. A sama nazwa najczęściej pojawiała się w kontekście relacji prasowych czy radiowych z kolejnych procesów wytaczanych żołnierzom AK. Wspominał o tym po latach Adam Borkiewicz, autor najwybitniejszego dzieła na temat Powstania Warszawskiego, któremu wówczas zabrano pieczętowanie zbierane dokumenty: „stały się one »materiałem obciążającym« mej jedynej pomocnicy mgr Anny Borkiewicz, inwalidki z batalionu

»Zośka«, skazanej na 7 lat więzienia za »gromadzenie i melinowanie materiałów gloryfikujących AK w celu poniżenia AL«”.

Był to okres, kiedy pamięć o powstaniu została przez UB „aresztowana”. Ślady tych wydarzeń można dziś odnaleźć w teczkach przechowywanych przez Archiwum IPN.

Nike bez barykady

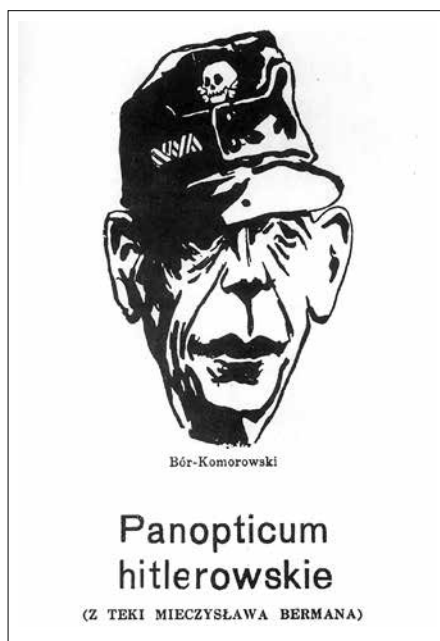
W 1956 r. wypuszczono akowców z więzień, rozpoczęły się pierwsze procesy rehabilitacyjne. Prowadzono bardziej otwartą społeczną dyskusję o przeszłości, w tym o Powstaniu Warszawskim. Na krótko rozluźniła się cenzura. Wydawać by się mogło, że w toku gorącej dyskusji runą mury kłamstwa, tymczasem w oficjalnej propagandzie dalej funkcjonował szablon dzielący środowisko akowskie na cynicznych dowódców i zagubione rzesze żołnierskie. O ile ponownie dopuszczono do głosu tematykę Powstania Warszawskiego, o tyle dalej poddana była ona ścisłej kontroli i służyć miała usankcjonowaniu władzy „ludowej”. Można już było opowiadać o bohaterstwie szeregowych żołnierzy, łączniczek, młodocianych powstańców, ale koniecznie dodając, że byli wykorzystani w niesłusznej politycznie sprawie.

Wszystkie mechanizmy oddziaływania propagandowego pozostały bez zmian. Dokumenty KC PZPR z 1956 r. zawierają wyjaśnienie intencji: „Wiadomo nam, że grupy byłej AK (...) przygotowują się do obchodu rocznicy. Wydaje się więc, że uroczystości te winny być należycie zabezpieczone, by nie dopuścić do wystąpień wrogich lub nieodpowiedzialnych elementów”. Komuniści obawiali się, że na nowo integrujący się i zrzeszający w ramach ZBoWiD byli żołnierze AK, BCh, WiN i innych organizacji niepodległościowych spróbują wskrzesić

partię polityczną lub inną formę legalnej opozycji na wzór mikołajczykowskiego PSL. Dlatego Służba Bezpieczeństwa w dalszym ciągu prowadziła obserwację agenturalną środowiska, a Komitet Centralny PZPR co roku wnikliwie rozważał i podejmował szczegółowe decyzje dotyczące obchodów. To na tym szczeblu decydowano o randze i przebiegu uroczystości, miejscu akademii czy składania kwiatów, uczestnikach, mówcach i tezach wygłaszanych przemówień, a nawet o oprawie plastycznej.

Wszyscy byli dowódcy organizacji niepodległościowych przejawiający w swoich środowiskach aktywność byli pod „opieką” agenturalną SB. Zbierano informacje o spotkaniach i wygłoszonych na nich przemówieniach, o prywatnych rozmowach, o planach związanych z uroczystościami kombatanckimi, w tym dotyczących rocznicy Powstania Warszawskiego; sondowano na tematy historyczne, polityczne i inne, przejmowano, względnie przeglądano korespondencję. W instrukcjach dla agentów oraz tajnych informatorów SB zwracano uwagę np. na konieczność zrelacjonowania rozmów nie tylko w trakcie uroczystości 1 sierpnia, ale także w czasie późniejszych spotkań koleżeńskich w kawiarniach i mieszkaniach prywatnych.

I tak, jak nie zmieniło się nastawienie do byłych powstańców czy wykładnia oraz obraz walki stolicy w 1944 r., tak nie zmieniło się nastawienie cenzury, która zwłaszcza od 1958 r. przejęła na siebie główny ciężar walki z legendą Powstania Warszawskiego. Już ok. 1960 r. Wydział Propagandy i Agitacji KC PZPR mógł się pochwalić, że „przewyciężono ostatecznie zalew lite-



ratury AK-owskiej. Zaczęto inspirować i wydawać pożyteczne publikacje z »lewej strony barykady«.

SB z uwagą analizowała toczącą się dyskusję prasową na temat Armii Krajowej czy Powstania Warszawskiego. Interesowała ją przede wszystkim charakter publikacji (forma – czy to były wspomnienia, opracowania itp., ale także merytoryczna strona wypowiedzi, czy dotyczyła zagadnień ideologicznych, społecznych lub politycznych), osoba autora i jego związek z określoną formacją polityczną oraz uprzednie zaangażowanie w działalności podziemnej, także udział w Powstaniu Warszawskim. Skrupulatnie wyszukiwano różnice w poglądach poszczególnych autorów. Później uzyskana w ten sposób wiedza wykorzystywana była w bieżącej pracy operacyjnej.

W roku 1960 powróciła w prasie dyskusja wokół sprawy budowy pomnika „Bohaterów Warszawy”. Ostatecznie do realizacji skierowano kontrowersyjny projekt „Nike” autorstwa Mariana Koniecznego. Należy dodać, że władza nie zgodziła się na jakiegokolwiek bezpośrednie odniesienia do Powstania Warszawskiego. Dlatego z projektu Koniecznego wymazano motyw barykady, o którym jeszcze w maju 1960 r. wypowiedział się na łamach tygodnika „Stolica” Władysław Bartoszewski. Pomnik, który miał uczcić Powstanie Warszawskie i jego bohaterów, odsłonięty został 20 lipca 1964 r., wzmacniając rangę obchodów święta 22 lipca. Była to jawna manipulacja, gubiąca celowo całą jego genezę i idee.

Tezy niezmiennie do końca

Lata siedemdziesiąte nie przyniosły widocznej poprawy. Do wyjątków należała zgoda np. na publikację książki Władysława Bartoszewskiego *1859 dni Warszawy*, ale i tak zaraz nakazano wycofanie części nakładu.

Taka polityka przyniosła pewne rezultaty. W konkluzji opracowania *Druka wojna światowa w świadomości współczesnych Polaków* opublikowanego w 1975 r. stwierdzono: „Na przestrzeni lat 1965-1973 nastąpiły przesunięcia w popularności bitew i to we wszystkich środowiskach. W omawianym zakresie zyskały na popularności przede wszystkim: obrona Westerplatte, bitwa pod Lenino, walki o Wał Pomorski i szturm Berlina; natomiast straciły na popularności przede wszystkim: bitwa pod Monte Cassino, Powstanie Warszawskie i bitwa o Anglię”. Autor przełmiał, że decydujący wpływ na opisaną sytuację miał ograniczony dostęp społeczeństwa do rzetelnej informacji, a i tak wymienione wydarzenia utrzymały swoją wysoką pozycję. Dziś to prawda powszechnie znana: skutkiem ofensywy propagandowej połączonej ze wzmożoną indoktrynacją była społeczna negacja tak kreowanego obrazu, przechowywanie pamięci, a wraz z nią prawdy historycznej na poziomie tradycji i wychowania wynoszonego przede wszystkim z domu rodzinnego.

Ta tendencja wzmożła się po 1976 r., kiedy środowiska opozycyjne powołały do życia poza cenzurą drugi obieg wydawniczy, a przede wszystkim po wizycie w kraju papieża Polaka Jana Pawła II, który jednoznacznie wskazał na konieczność zachowania tożsamości narodowej.

Nowym wyzwaniem dla władzy stały się niezależne obchody rocznicy Powstania Warszawskiego, organizowane od 1979 r. Uroczysta msza w przeddzień rocznicy gromadziła w murach Katedry św. Jana i innych kościołów kilka tysięcy osób. Następnego dnia na Powązkach pojawiało się kilkadziesiąt tysięcy, a nawet jak szacowało SB w 1983 r. kilkaset tysięcy osób. Było to wydarzenie bez precedensu, zwłaszcza jeżeli będziemy mieli świadomość, iż w latach sześćdziesiątych i po części siedemdziesiątych władza na tyle skutecznie zniechęcała, że w uroczystościach 1 sierpnia brało udział zaledwie po kilkaset osób.

Rok 1980 wraz z powstaniem „Solidarności”, która jednoznacznie nawiązała do tradycji niepodległościowych, ostatecz-

nie przekreślił rachuby rządzących w PRL dotyczące marginalizacji czy wręcz eliminacji Powstania Warszawskiego ze świadomości Polaków. Powrócono do idei budowy Pomnika Powstania Warszawskiego oraz archiwum i muzeum. W badaniach przeprowadzonych w październiku 1983 roku, po stronie wojennym, na pytanie: „Rocznice jakich wydarzeń z historii Polski należałoby Twoim zdaniem obchodzić najbardziej uroczystości?”, w odpowiedzi uzyskano dwie nowe propozycje: podpisanie porozumienia w Gdańsku (31 sierpnia 1980 r.) oraz wybuch Powstania Warszawskiego (1 sierpnia 1944 r.).

W latach osiemdziesiątych władza dopuściła tematykę powstania do mediów. Ale podstawowe tezy wywodzące się jeszcze z lat czterdziestych pozostały do końca niezmiennie. Wszelkie przejawy innej interpretacji, niezgodnej z wytycznymi ideologów i historyków partyjnych, były tłumione w zarodku. Była tylko ta różnica, że ingerencje cenzury na kartach publikacji poświęconych Powstaniu Warszawskiemu stały się widoczne.

Osobne miejsce zajmuje finał walki społeczeństwa o Pomnik Powstania Warszawskiego. Za pomocą nacisków oraz wymiany członków społecznego Komitetu Budowy doprowadzono do zmiany nazwy pomnika na „Pomnik Bohaterów Powstania Warszawskiego 1944”. Ciekawostką może być fakt, że podczas uroczystości wmurowania aktu erekcyjnego pod przyszyły pomnik Bohaterów Powstania Warszawskiego w 1984 r. władza nie dopuściła do oficjalnego poświęcenia tego miejsca „aby nie stwarzać – jak napisano w dokumencie Wydziału Ideologicznego KC PZPR z 26 lipca – brzemiennego w odległe skutki precedensu”. Skromna uroczystość poświęcenia ukryta została przed społeczeństwem. Zaś sam pomnik odsłonięty został w 1989 r., już w III Rzeczypospolitej.

Dr hab. Jacek Zygmunt Sawicki, profesor KUL, pracownik Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie; badacz dziejów Polskiego Państwa Podziemnego, powstania warszawskiego i PRL, a ostatnio dokumentacyjnej funkcji filmu i fotografii.



Artur Wolski

Szczepienia chronią pokolenia

Szczepionki to jedno z największych osiągnięć medycyny. Ekonomiści i menedżerowie zdrowia jednogłośnie twierdzą, że są one produktami najbardziej efektywnymi cenowo w interwencjach medycznych, ponieważ eliminują koszty związane z opieką i leczeniem osób chorych. Jako dowód podaje się np. wyeliminowanie ospy czy polio w Europie, a wiele chorób zakaźnych, powszechnych w przeszłości, stało się dzięki szczepieniom chorobami rzadko występującymi, czytamy na Europejskim Portalu Informacji o Szczepieniach.

Temat szczepień z uwagi na ogrom wiedzy zainteresował naukowców i zaowocował realizacją projektu pt. „Budowanie zaufania do szczepień ochronnych z wykorzystaniem najnowszych narzędzi komunikacji i wpływu społecznego”. Organizatorem jest konsorcjum uczelni: Centrum Medyczne Kształcenia Podyplomowego w Warszawie, Uniwersytet SWPS, Warszawski Uniwersytet Medyczny oraz Akademia Leona Koźmińskiego w Warszawie. Projekt finansowany jest przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju w ramach programu „Społeczny i gospodarczy rozwój Polski w warunkach globalizujących się rynków” Gospostrateg II.

W Centrum Medycznym Kształcenia Podyplomowego w Warszawie przy ul. Marymonckiej odbyła się nawet 26 marca 2024 roku konferencja będąca interdyscyplinarną platformą wymiany informacji na temat szczepień, łączącą: medycynę, psychologię społeczną oraz nowoczesne technologie.

Główny celem projektu jest podniesienie zaufania do szczepień ochronnych w Polsce. Badacze postanowili opracować narzędzia skłaniające pacjentów, w tym najmłodszych, do odrzucenia nieprawdziwych twierdzeń medycznych w zakresie szczepień (medyczny fake news) pojawiających się głównie w internecie, ale i w przekazach medialnych. Fake newsy w zakresie szczepień mogą doprowadzić do przyjmowania nieprawidłowych postaw i odrzucania wiedzy medycznej. Jednym z rezultatów projektu będzie opracowanie innowacyjnego narzędzia pozwalającego na identyfikację oraz zahamowanie rozprzestrzeniania się medycznych fake newsów na wczesnym etapie ich powstawania. Pozwoli to na wyjście z pułapki reagowania post factum – mówi dr hab. nauk medycznych i nauk o zdrowiu Filip Raciborski, kierownik projektu reprezentujący Zespół Projektowy Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Projekt ma również zbadać, co decyduje o podejmowaniu decyzji o szczepieniach, ale i zaproponuje dopasowanie ostatecznego kształtu narzędzi do grup docelowych i to tak, aby spadek liczby odmów szczepień był mniejszy. Oprócz tego

w ramach realizowanego projektu naukowcy podjęli się opracowania spójnych strategii dla młodzieży, rodziców, kadry medycznej i nauczycieli. Chodzi o to, aby wszyscy mówili do siebie podobnym językiem i rozumieli wagę szczepień w zachowaniu zdrowia. Tu mają być wykorzystane znane w psychologii mechanizmy psychospołeczne bazujące na technikach perswazji i wpływu społecznego.

Przygotowany zostanie także model organizacji podstawowej opieki zdrowotnej w zakresie realizacji programu szczepień ochronnych oraz gotowe modele współpracy z samorządem, organizacjami pozarządowymi, instytucjami publicznymi, a także powstaną propozycje zmian legislacyjnych.

Wartością dodaną do realizowanego projektu z wykorzystaniem dostosowanych do odbiorców narzędzi będą prowadzone w mediach społecznościowych działania edukacyjne i promocyjne. Będą to także webinaria, Q&A, podcasty, spotkania w formule stacjonarnej i on-line czy live chaty. Nie zabraknie w nich pytań z rodzaju: Dlaczego potrzebujemy szczepień ochronnych? Czy możemy zrezygnować ze szczepień i co się stanie, gdy tak postąpimy? Dlaczego wierzymy w fake newsy?

Kierownik projektu z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, dr hab. Filip Raciborski, dodaje: - Opracowaliśmy także materiały edukacyjne w postaci komiksów dla dzieci i młodzieży. To *Małgosia i Jaś w gąszczu bzdur i bzdur*, zorientowany na identyfikację prawidłowych i nieprawidłowych zachowań zdrowotnych. Powstał także komiks *Wigor Swada kontra siewcy nonsensów*, w którym tytułowy bohater walczy z niewiedzą i fake newsami dotyczącymi szczepień. Komiksy w lekkiej i ciekawej formie oraz z dużą ilością dobrej grafiki w dynamiczny sposób przeprowadzają dzieci przez świat wiedzy i właściwych zachowań prozdrowotnych. To doskonała zabawa, ale i edukacja. Nie zabrakło również opracowań dla nauczycieli. Powstały scenariusze lekcji dla pedagogów ze szkół podstawowych w nauczaniu wczesnoszkolnym w klasach 1-3. I tak: *Bądź zdrow* – ukierunkowany jest na promowanie zdrowego trybu życia, zwiera



Dr hab. Filip Raciborski

materiały dotyczące zdrowego odżywiania, aktywności fizycznej, profilaktyki zdrowotnej, higieny i zdrowia psychicznego. A dla klas 5 i 6, w zależności od poziomu zaawansowania wiedzy uczniów, są opracowane plany lekcji z biologii pt. *Przepisz, zapakuj i podaj dalej! Czego chcą od nas wirusy i po co nam szczepionki*. Jest też konspekt do realizacji na lekcjach historii, to scenariusz pt. *Kuracja gołębiem, wybuchające żaby, czyli o racjonalności metod leczenia w czasie czarnej śmierci (XIV-wiecznej i jej nawrotach w XVII wieku)*. Stworzono również ofertę edukacyjną dla rodziców: *Świat bez szczepień? Choroby, o których zapomnieliśmy dzięki szczepieniom* to poradnik dedykowany rodzicom, którzy mają podjąć decyzję o zaszczepieniu dziecka. Znajdziemy tu historię immunizacji, opatrzoną dużą ilością elementów graficznych, która w ciekawy sposób opowiada o szczepieniach i chorobach, przed którymi nas chronią. Projekt rozbudowano również o opracowanie materiałów zawartych w pakiecie: *Szczepienia ochronne – aspekty medyczne i prawne skierowane w ramach kursów do lekarzy, ale i do pielęgniarek oraz położnych*, dodaje dr hab. Filip Raciborski.

Jak mówić o szczepieniach, żeby być usłyszonym i zrozumianym?

Ten obszar badań w ramach prowadzonego projektu „Budowanie zaufania do szczepień ochronnych z wykorzystaniem najnowszych narzędzi komunikacji i wpływu społecznego” zagonosporadował Uniwersytet Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej (SWPS). Badania realizował z zespołem dr hab. Tomasz Grzyb, prof. SWPS, z Katedry Psychologii Społecznej na Wydziale Psychologii we Wrocławiu.

Psychologowie o szczepieniach?

Dlaczego nie? Przecież to obszar wiedzy medycznej. I tu: Wojciech Kulesza, Tomasz Grzyb i Dariusz Doliński odpowia-

dają: „*Psychologiczne aspekty szczepień* to książka napisana nie dlatego, że nie mamy zaufania do lekarzy i farmaceutów. Nie podszywamy się również pod te osoby. Przeciwnie, napisaliśmy ją właśnie dlatego, że mamy zaufanie do ludzi z tego środowiska, a szczepionki uważamy za jedno z najbardziej doniosłych odkryć nauki, odkryć, które przyniosły wiele dobrego całej ludzkości. Niestety w geograficznych obszarach biedy są one nadal trudniej dostępne niż w obszarach bogactwa. Problem wszakże w tym, że z różnych powodów nie wszyscy, którzy mogą to zrobić, chcą się szczepić. Ta postawa rodzi tym samym wielkie zagrożenie dla zdrowia publicznego”. Ale sięgnijmy do historii. W roku 1998 na łamach bardzo renomowanego czasopisma naukowego „The Lancet” ukazał się artykuł (jak się potem okazało, jednego z największych oszustów w historii nauki) Andrew

Wakefielda oraz dwunastu innych lekarzy. W artykule tym przedstawiono tezę, że istnieje powiązanie między szczepieniem MMR (odra-świnka-różyczka) a występowaniem u dzieci autyzmu. Dość szybko okazało się jednak, że w pracy tej z premedytacją zaprezentowano sfałszowane i wręcz sfabrykowane dane medyczne. Doprowadziło to do wycofania się z autorstwa wspomnianego artykułu dziesięciu współautorów, a także do usunięcia artykułu z czasopisma. Oczywiście sensacyjna teza Wakefielda nie została przez medycynę zignorowana. Przeciwnie, naukowcy z całego świata przeprowadzili ogromną liczbę badań poświęconych ewentualnej relacji szczepienia MMR z pojawiającymi się zaburzeniami ze spektrum autyzmu. Wyniki tych badań w sposób absolutnie jednoznaczny pokazały, że takiego związku przyczynowo-skutkowego nie ma.

Autorzy twierdzą, że napisali tę książkę, opatrzoną tytułem *Psychologiczne aspekty szczepień*, dla wszystkich ludzi, którym bliska jest idea upowszechniania szczepień, programów edukacyjnych, zahamowania rozpowszechniania kłamstw mówiących o szkodliwości czy też zbędności szczepionek oraz powstrzymanie szaleństwa kryjącego się pod demagogicznymi hasłami osobistej wolności. Książka ma pomóc w zrozumieniu psychologicznych mechanizmów leżących u podstaw sceptycyzmu wobec szczepień i, przede wszystkim, zwiększyć skuteczność argumentacji na rzecz szczepień. Autorzy chcą w ten sposób wpłynąć na ludzkie postawy i zachowania, aby w przyszłości takie książki nie musiały powstawać. Chcą, aby szczepienia były bardziej powszechne.

W 2024 r. obchodzimy 50. rocznicę opracowania przez Światową Organizację Zdrowia (WHO) Rozszerzonego Programu Szczepień, który powstał w celu zapewnienia wszystkim dzieciom na świecie dostępu do szczepionek przeciwko groźnym chorobom zakaźnym.

Skoro mam wybór, to nie

W czasie marcowej konferencji w Centrum Medycznym Kształcenia Podyplomowego prof. Tomasz Grzyb w czasie wykładu analizował skuteczność jednej z technik wpływu społecznego w kontekście promowania szczepień. Technika ta, zwana but-you-are-free (BYAF), a w języku polskim „ale wybór należy do ciebie”, wydawała się (a w każdym razie tak wskazywały wcześniejsze badania) skuteczną kandydatką do miana sensownie promującej szczepionki i zachęcającej ludzi do skorzystania z nich. Okazuje się, że efekty użycia znanych narzędzi wpływu społecznego w kontekście szczepień mogą dawać paradoksalne wyniki. Gdy np. rozmawiamy z rodzicami mającymi podjąć decyzję o szczepieniu dzieci używając techniki „ale wybór należy do ciebie”, możemy uzyskać efekt przeciwny do zamierzonego. Rodzice słyszący, że wybór szczepić czy nie szczepić należy do nich, rzadziej decydują się na zaszczepienie dziecka. Badania prowadzone były przez profesjonalistów medycznych podczas interakcji z 185 rodzicami podejmującymi decyzję dotyczącą szczepienia (np. preparatami Hexacima, Prevenor 13, Synflorix, Rotateq, Act Hib, Boostrix, Pentaxim, DTP, Imovax, Priorix, MMR, Tetracim, Adacel, Euvax B, Fuvax, FSME, Varilix, Nimenrix, Bexero) swoich dzieci w ambulatoryjnych przychodniach w Polsce między styczniem 2022 a lipcem 2022 roku. Badania empiryczne pokazały jednak, że w świecie technik wpływu społecznego nic nie może być używane schematycznie i zawsze wskazana jest daleko posunięta ostrożność.

Kluczową sprawą dotyczącą podjęcia decyzji o szczepieniu jest też dialog, zwłaszcza z osobami nieprzekonanymi. Nawet jeśli jest to dialog prowadzony nie z żywym człowiekiem a z awatarem, to daje lepsze wyniki w zachęcaniu do szczepień niż zwykle przekazanie ulotki o szkodliwości choroby, przed którą szczepionka ma chronić. Okazuje się, że wirtualna asystentka jest skuteczna w przekazywaniu informacji o potencjalnym ryzyku choroby, bo pacjenci jej słuchają. I wirtualna asystentka jest skuteczna w zachęcaniu do szczepień, bo robi to lepiej niż wirtualne kwestionariusze.

Czego możemy się spodziewać w najbliższym czasie z realizowanych badań psychologicznych?

Prof. Grzyb odpowiada: wyników badań na dużej próbie uczniów, którzy byli uczestnikami lekcji o myśleniu krytycznym, podręcznika adresowanego do praktyków, zestawu filmów pokazujących prawdziwe historie osób żałujących, że się nie zaszczepiły.

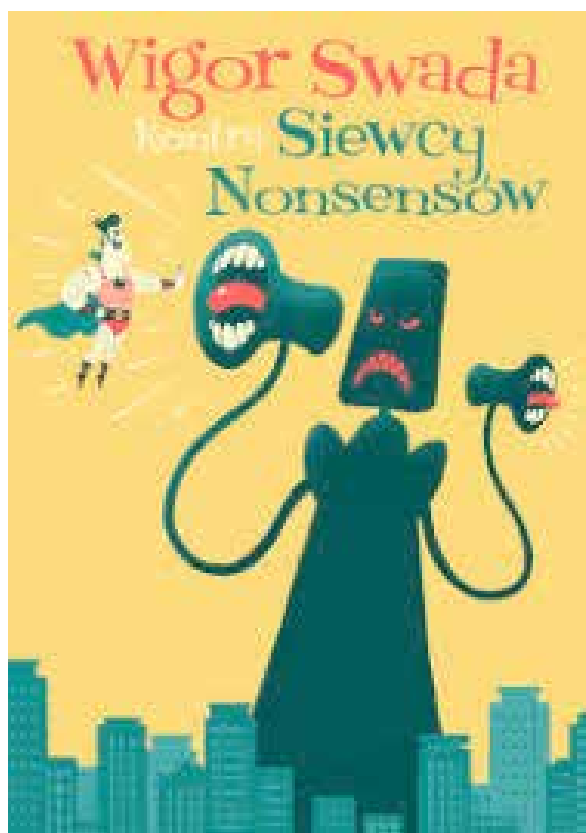
A jakie są wnioski na dziś?

Żadne automatyzmy nie są wskazane w tak delikatnym obszarze jak intencje i prawdziwe zachowania związane ze szczepieniami. Musimy zacząć działać wcześniej – zanim ukształtują się antyszczepionkowe postawy. Najskuteczniejsze są działania skierowane do osób niezdecydowanych, wątpliwych – odpowiada prof. Tomasz Grzyb.

Polska, podobnie jak UE, ma Program Szczepień Ochronnych, ale na populacyjny dostęp do nowych szczepień finansowanych z budżetu publicznego czekamy prawie najdłużej ze wszystkich krajów Unii. Dlaczego?

To pytanie zadaje serwis online PAP MediaRoom. W 2021 r. przeprowadzono analizę europejskich systemów wprowadzania szczepień. W zestawieniu tym wypadliśmy słabo: Polska jest jednym z krajów Unii Europejskiej, w których czas organizacji szczepień populacyjnych jest najdłuższy.

Prof. Marcin Czech, prezes Polskiego Towarzystwa Farmakoeconomicznego, kierownik Zakładu Farmakoeconomicznego oraz osoba odpowiedzialna za epidemiologię w Instytucie Matki i Dziecka, kierownik Interdyscyplinarnych Studiów Menedżerów Farmacji w Szkole Biznesu Politechniki Warszawskiej, powiedział dla PAP: „Na wprowadzenie szczepionki przeciw rotawirusom potrzebowaliśmy 12 lat, a przeciw HPV aż 15 lat: to niechlubny rekord. Na szczęście idziemy w dobrym



kierunku i obserwujemy zmiany na lepsze. Analizę zjawiska oparliśmy na czterech filarach będących podstawą sprawnych procesów decyzyjnych dotyczących finansowania programów szczepień: inkluzywności, terminowości, spójności oraz przejrzystości.

Prof. Jarosław Pinkas, dyrektor Szkoły Zdrowia Publicznego Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego, wyjaśnił w PAP, co oznacza odłożenie w czasie procesu refundacji szczepień. „To gigantyczne koszty, ale także niestety przypadki ciężkich zachorowań, hospitalizacji, a nawet zgonów”. Finansowanie szczepień to działania populacyjne, przez co skala ich efektów jest bardzo duża: jedna refundacja daje setkom tysięcy ludzi istotną szansę na to, żeby być zdrowymi. W związku z tym każde istotne opóźnienie w dostępie do nowych szczepień może być dramatyczne w skutkach” – powiedział w PAP w czasie debaty „Dlaczego tak długo czekamy na dostęp do nowych szczepień w PSO – Program Szczepień Ochronnych”.

Szczepienia z perspektywy pediatrii

Zakażenia meningokokowe rozwijają się bardzo dynamicznie, nieraz w ciągu godzin, a nawet minut, mówi dr hab. n. med. Hanna Czajka, prof. UR z Katedry Pediatrii Kolegium Nauk Medycznych Uniwersytetu Rzeszowskiego oraz z Poradni Chorób Zakaźnych Wojewódzkiego Specjalistycznego Szpitala Dziecięcego im. św. Ludwika w Krakowie. Pani profesor jest członkinią Zarządu Polskiego Towarzystwa Wakcynologii. Świadomość tej choroby i znajomość objawów niejednokrotnie przyczyniają się do uratowania pacjenta. Klasyczny przebieg zakażenia zaczyna się od niecharakterystycznych objawów: gorszego samopoczucia, wzrostu temperatury, bólów stawowych czy mięśniowych albo wymiotów. Takie objawy mogą oczywiście towarzyszyć wielu różnym chorobom. Natomiast w przypadku meningokoków na dalszych etapach choroba przybiera groźny obrót – wyjaśnia prof. Hanna Czajka. Meningokoki są najczęściej przyczyną zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych lub sepsy (posocznicy). Natomiast bakterie pneumokokowe występują w Polsce znacznie częściej, szacuje się, że nawet do 60% dzieci w przedszkolach i żłobkach jest nosicielami. Zakażenie pneumokokami najczęściej prowadzi do zapalenia górnych dróg oddechowych, w tym zapalenia zatok przynosowych czy ostrego zapalenia ucha środkowego. Pneumokokowe zapalenie płuc u seniorów pozostawia też ogromny ślad w postaci osłabienia układu immunologicznego a co za tym idzie i obniżonej odporności po przebytej antybiotykoterapii. Zdecydowanie redukuje się też sprawność fizyczna i oddechowa seniora po przebytej chorobie. Dołącza lub nasila się wielochorobowość. Tak więc szczepienie na meningokoki i przeciwko pneumokokom powinno być podstawą profilaktyki zakażeń u najmłodszych pacjentów, ale i u seniorów – dodaje dr hab. n. med. Ewa Augustynowicz, prof. NIZP-PZH. Ze względu na niebezpieczeństwo, jakie inwazyjna choroba meningokokowa (ICHM) stanowi dla zdrowia i życia, polscy eksperci rekomendują szczepie-



Dr Hab. Tomasz Grzyb

nia przeciwko meningokokom, w pierwszej kolejności dla osób z grup ryzyka. Jest ono całkowicie odpłatne. Ale można już skorzystać z bezpłatnych szczepień przeciwko meningokokom typu B wśród dzieci do drugiego roku życia, w tym kończących dwa lata w roku 2023. Szczepienia zalecane są w szczególności dzieciom przebywającym w dużych skupiskach, takich jak żłobki czy przedszkola. Na stronie Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowy Instytut Badawczy w zakładce szczepienia.pzh.gov.pl znajdziemy adnotację, że w Polsce szczepienia przeciw meningokokom w Programie Szczepień Ochronnych są zalecane, jednak niefinansowane z budżetu ministra zdrowia. Warto więc sprawdzić listę podmiotów realizujących program polityki zdrowotnej szczepień przeciwko meningokokom serogrupy B dla dzieci do lat 3, realizowanych w poszczególnych województwach. Warto wiedzieć, że szczepienia mogą przyjmować też osoby starsze, po 65 roku życia. W bezpłatnym pakiecie dostępne są dla seniorów szczepionki przeciwko grypie, Covid 19, dla osób 65+ i z chorobami towarzyszącymi szczepionka przeciw pneumokokom i z 50% refundacją szczepionka przeciwko półpaścowi – mówiła prof. Ewa Augustynowicz na konferencji *Healthy Ageing – długie życie seniorów – priorytet na dziś*, zorganizowanej przez Stowarzyszenie Dziennikarzy dla Zdrowia. Okazuje się też, że ogromnym wsparciem dla seniora w podjęciu decyzji o szczepieniu jest kontakt z wolontariuszami, którzy ofiarowując swój czas, wiedzę i empatię, spędzają z nimi wiele godzin. Często niezdecydowany senior po rozmowie z wolontariuszem decyduje się na bezpłatne szczepienie np. przeciwko grypie, które wzmacnia jego zdrowie i odpor-

ność – mówiła w Polskim Radiu pani Joanna Mielczarek, dyrektorka i wolontariuszka reprezentująca Stowarzyszenie mali bracia Ubogich.

Zmiany w Programie Szczepień Ochronnych na 2024 r.

W Programie Szczepień Ochronnych na 2024 rok wprowadzono istotne zmiany, które dotyczą osób dorosłych. Chodzi o objęcie obowiązkowymi, bezpłatnymi szczepieniami przeciw niektórym chorobom zakaźnym pacjentów z niedoborami odporności bez względu na wiek. Od 1 stycznia 2024 dla osób z grup ryzyka w wieku 65 lat i starszych Ministerstwo Zdrowia wprowadziło też 50-procentową refundację szczepionki przeciw półpaścowi i neuralgii półpaścowej, o czym wspominała prof. Ewa Augustynowicz.

Półpasiec jest wywołany przez ten sam wirus (VZV), który jest przyczyną ospy wietrznej. Jest on błędnie postrzegany jako choroba łagodna, tymczasem stanowi większy problem zdrowotny niż ospa wietrzna. Ból towarzyszący chorobie może utrzymywać się latami w postaci neuralgii półpaścowej. Szczególnie niebezpieczna jest postać półpaśca dotycząca gałazki ocznej nerwu trójdzielnego, gdyż jej konsekwencją może być owrzodzenie rogówki i utrata widzenia a także porażenie nerwu twarzonego. Szacuje się, że aż jedna trzecia osób, które chorowały na ospę wietrzną, zachoruje też na półpasiec. W tej grupie jedna trzecia będzie zmagająca się z objawami bólowymi, których leczenie będzie trudne. Szczepionka przeciw półpaścowi jest wskazana do profilaktyki półpaśca oraz neuralgii półpaścowej u osób w wieku 50 lat i starszych oraz u dorosłych o zwiększonym ryzyku zachorowania na półpasiec. Znalazła się ona w kalendarzu szczepień zalecanych dla osób dorosłych, zamieszczonym na stronach NIZP PZH – PIB. W badaniach klinicznych jej skuteczność przeciw półpaścowi wyniosła we wszystkich grupach ponad 90 proc., a przeciwko neuralgii półpaścowej ok. 91% u osób w wieku 50 lat i starszych oraz ok. 89% u osób w wieku 70 lat i starszych.

Aby podkreślić znaczenie przyjmowania szczepionek w tegorocznej edycji Europejskiego Tygodnia Szczepień (23-29.04.24) towarzyszyły nam hasła: „Każda dawka się liczy” oraz „Szczepienie o czasie ma znaczenie”.

Na listę szczepień zalecanych dla osób dorosłych wprowadzono też szczepienie przeciw RSV (syncytialny wirus oddechowy), które od 2023 r. jest dostępne w Polsce dla osób w wieku 60 lat i starszych. Z szacunków wynika, że w Europie każdego roku RSV jest przyczyną ponad 270 tys. hospitalizacji i około 20 tys. zgonów wśród osób w wieku 60 lat i więcej. Szczepienie seniorów przeciw temu wirusowi jest ważne, ponieważ nie ma skutecznego leczenia przyczynowego infekcji RSV.

Poza grupami szczególnego ryzyka osoby dorosłe w Polsce muszą przeważnie płacić za szczepienia. Oprócz szczepionki na półpasiec 50-procentową refundacją objęta jest jedna ze szczepionek przeciw wirusowi brodawczaka ludzkiego (HPV) dla wszystkich po 18. roku życia. Szczepienia przeciw HPV są w Programie Szczepień Ochronnych szczepieniami zalecanymi. Od 1 czerwca 2023 r. są one bezpłatne dla dziewcząt i chłopców w wieku 12 i 13 lat. Wykonują je punkty, które zgłosiły się do programu. Natomiast dzieci w wieku 9–18 lat, zarówno te, które kwalifikują się do powszechnego programu ministerialnego, jak i te, które się do niego nie kwalifikują, mogą skorzystać z bezpłatnej szczepionki dostępnej w ramach refundacji w aptece. W tym wypadku potrzebna jest recepta, którą wystawia lekarz. Kwalifikacja do szczepienia i samo szczepienie przebiegają w poradni POZ. Niestety zgłaszalność do programu bezpłatnych szczepień przeciw HPV dla młodzieży w wieku 12–13 lat jest niska i wynosi zaledwie 205. Dlatego eksperci

postulują m.in. zwiększanie wiedzy i świadomości społecznej na temat zagrożeń związanych z wirusem HPV a także idei samych szczepień.

Trochę historii – niepokojące statystyki

W realizacji tej strategii przeszkodziła pandemia COVID-19, która przyczyniła się do zmniejszenia wskaźników wyszczepialności dzieci na całym świecie. Spadły one do najniższych wartości notowanych w ciągu ostatnich 10, a nawet 30 lat. Przykładowo, jak wskazują dane WHO i UNICEF, w 2022 r. liczba dzieci, które nie otrzymały żadnego szczepienia przeciw błonicy, tężcowi i krztuścowi (DTP) była większa o 11% w porównaniu z rokiem 2019 (odpowiednio 14,3 mln i 12,9 mln dzieci). Spadek odnotowano również w przypadku liczby dzieci zaszczepionych przeciw odrze, poliomyelitisi, WZW typu B czy rotawirusom. Równocześnie w 2022 r. na całym świecie liczba zgłoszonych przypadków odry wzrosła o 79% w porównaniu z rokiem 2021.

UNICEF podaje na swojej stronie, że co roku na całym świecie 25 mln dzieci nie jest szczepionych na choroby, które zagrażają ich życiu i zdrowiu. W Polsce również obserwuje się spadek liczby dzieci, które poddawane są obowiązkowym szczepieniom. Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego PZH–PIB podaje, że w ciągu ostatnich pięciu lat liczba uchyleń od szczepień obowiązkowych wzrosła niemal dwukrotnie: z 48,6 tys. w 2019 r. do 87,3 tys. uchyleń w 2023 r.

W naszym kraju przez wiele lat udawało się utrzymać wysoki stan zaszczepienia najmłodszych przeciw odrze – na poziomie 98–99%. Jednak w ostatniej dekadzie odnotowano spadek odsetka dzieci zaszczepionych szczepionką przeciw odrze-świnie-różycze. Z wstępnych danych NIZP PZH-PIB wynika, że w 2022 r. odsetek dzieci, które otrzymały pierwszą dawkę szczepionki przeciw odrze-świnie-różycze, wyniósł 90,9%.

Jest to bardzo niepokojące, zwłaszcza w przypadku odry, która jest jedną z najbardziej zakaźnych chorób. Z badań wynika, że aby utrzymać odporność populacyjną, konieczne jest zaszczepienie co najmniej 95% populacji dzieci w kraju. Zagrożone odrą są nie tylko dzieci, których rodzice odmawiają szczepień, ale też ci najmłodszy, którzy nie mogą być zaszczepieni ze względów zdrowotnych lub zbyt młodego wieku.

Edukacja kluczem do zmian

O tym, jak istotna jest rzetelna wiedza na temat szczepionek i możliwości zaszczepienia dziecka, świadczy raport opublikowany 20 kwietnia 2024 r. przez Biuro UNICEF ds. Reagowania na Potrzeby Uchodźców w Polsce. Zawarto w nim wyniki badania na temat przyczyn niskiej wyszczepialności wśród dzieci ukraińskich, które z powodu wojny na Ukrainie przyjechały z matkami do Polski. Raport współtworzyły: Fundacja Instytutu Matki i Dziecka, Uniwersytet Yale oraz Europejskie Centrum ds. Prewencji i Kontroli Chorób (ECDC).

Z badania wynika, że ponad jedna trzecia ukraińskich matek, których dzieci nie ukończyły siódmego roku życia, nie wie, jak może zaszczepić w Polsce swoje dziecko. Dlatego autorzy raportu podkreślają, że konieczne są działania zwiększające zaufanie do szczepień, ich skuteczności i bezpieczeństwa, ale też promocja szczepień wśród rodzin uchodźców żyjących w naszym kraju.

Jednym z najbardziej wiarygodnych źródeł informacji o szczepieniach jest portal Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego PZH–PIB (<https://szczepienia.pzh.gov.pl>), gdzie można znaleźć informacje o aktualnym kalendarzu szczepień, o tym, dlaczego szczepienia są ważne i przed jakimi chorobami chronią, a także dane na temat ich bezpieczeństwa.

Red. Artur Wolski, komentator naukowy

Frangas non flectes

Żywot człowieka poćwiwego z rodu Wielopolskich

Jesienią roku 1936 dwudziestopięcioletni inżynier rolnictwa rusza na podbój Ameryki z dobrze ukrytą okrągłą sumką dziesięciu tysięcy dolarów. Trafia do Buenos Aires i staje się jednym z kolonizatorów rolniczych oraz nadzorców polskich placówek osiedleńczych w argentyńskiej selwie nad potężną Paraną.

Dzieło Antoniego hrabiego Wielopolskiego *Nie tylko moje życie* (Ostrowiec Świętokrzyski 2023) to zbiór wspomnień potomka jednego ze świetnych rodów dawnej Rzeczypospolitej. W niejednym przypomina staropolską silva rerum, choć spisana wiele lat po zaistnieniu zdarzeń, o których opowiada, skonfrontowaną z dokumentacją historyczną i obszerną literaturą przedmiotu, niczym opracowanie naukowe, choć bez przypisów. Wydanie wzbogaciły pamiątki fotograficzne i inne archiwalia, jak tablice genealogiczne tudzież obszerny aneks o ponadpięćsetletnich dziejach rodu (*Rodzinną prehistoria*), w sumie przeszło 1200 stron druku. Trochę brakowało mi indeksów, szczególnie nazwisk i miejsc, co zapewne można będzie uzupełnić przy następnym wydaniu dzieła. Rzecz uporządkował, kompozycyjnie ustrukturyzował, opatrzył wprowadzeniem, posłowiem i dodatkami oraz zredagował na potrzeby druku syn Antoniego Wielopolskiego – Wojciech, pracownik naukowy Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Ten rodzaj opowieści historycznych jest mi najbliższy i ma moc poruszenia zarówno zapału czytelniczego, niezależnie od objętości pracy, jak też woli podzielenia się refleksjami, które takie pisarstwo może budzić. Dla mnie to historia w postaci najczystszej, kreślona z perspektywy losów czy wspomnień konkretnej osoby. Historia przez tę osobę (narratora, gawędziarza, bajara) doświadczana, zapamiętana (w mięśniach, nerwach, duszy), a spisana na wieczną rzecz pamiątkę, ad majorem Dei gloriam, molom na uciechę.

Przy nazwisku autora – Antoni Wielopolski (1911–1995) – zawahałem się, czy i o czym będę czytał. A trafiły do mnie (czy przypadkowo?) dwa słusznej okazałości tomy zapisków emerytowanego profesora, dokładniej: docenta, ale z habilitacją, przeprowadzoną w 1972 roku w Wyższej Szkole Rolniczej w Szczecinie. Tej uczelni ofiarował on swoją niezwykłą pamięć, wiedzę, doświadczenie i niecodzienną prawość charakteru. Pracował tu ponad dwadzieścia lat, co stanowiło w jego burzliwym życiu akt najdłuższy, choć o dziwo, najkrócej opisany, a właściwie zdumiewająco pominięty. W szczecińskiej WSR pracował od 1956 roku – po rozlicznych przejściach „czasów stalinowskich” z programowym maltretowaniem przez UB – jako absolwent warszawskiej SGGW (dyplom Wydziału Rolniczego uzyskał 28 kwietnia 1936 roku). Na tej WSR jako pierwszy pracownik

naukowy uzyskał doktorat obroniony w roku 1960, a następnie habilitację. W roku 1978 przeszedł na emeryturę. „Skończyło się tak, jak się skończyło, czyli pośpiesznym udaniem się na emeryturę, by oddalić się od bagna, w którym trwałem przez lata” (*Moje życie*, t. II, s. 461 – dalej po cytatach skrót: MŻ, tom, strona).

Początek drogi ku szczytom

Moje „wstępne” zawahanie, czy powinienem książkę tę czytać, wzięło się z towarzyszących mi od lat skojarzeń: margrabia Wielopolski – branka – powstanie styczniowe – do wtóru pogardliwej odpowiedzi cara Aleksandra II na entuzjastyczne powitanie Jego Wysokości w maju 1856 roku na dworcu w Warszawie: „Żadnych marzeń, panowie, żadnych marzeń”, czyli bez złudzeń, miraży i tym podobnych bredni o niezależności, drodzy Polacy. Nie omyliłem się, Aleksander margrabia Wielopolski (1803–1877) jest w tych wspomnieniach ciągle, choć jakby nieco mgławicowo, obecny. Trochę jak to całe „margrabstwo”, wyprocesowane dzięki związkowi małżeńskiemu z przedstawicielką rodu zmarłego bezpotomnie siódmego ordynata „margrabstwa pińczowskiego” Józefa Władysława Myszkowskiego (+1727). Odziedziczone dobra ordynacji rodowej Myszkowskich – tych od sławnego i niebywale majątnego Piotra (1505–1591; jego grobowiec znajduje się w kaplicy Myszkowskich w kościele parafialnym w Książu Wielkim), biskupa płockiego a następnie krakowskiego, mecenasa Jana Kochanowskiego – wyniosły ród Wielopolskich na wielkopańskie szczyty oraz ozłociły go jedynym w Rzeczypospolitej tytułem margrabiowskim, odziedziczonym przez Wielopolskich wraz z ordynacją po wygasłych w sensie prawnym Myszkowskich. Początek drogi ku szczytom wiążemy z Zygmuntem Myszkowskim, bratankiem biskupa Piotra. Zaczęło się od adopcji do mantuańskiego rodu Gonzaga. Tenże Zygmunt Gonzaga Myszkowski następnie otrzymał od papieża tytuł rodowy margrabiów na Mirowie (dziś ruiny zamczyska w łańcuchu obronnym Orlich Gniazd na pograniczu śląsko-małopolskim), piszących się Gonzaga-Myszkowski (herbu Jastrzębiec), a w roku 1601 zezwolenie sejmu Rzeczypospolitej na utworzenie ordynacji z rozlicznych majątności (Książ Wielki z zamkiem Mirów, Pińczów z tzw. „Nowym Miastem Mirowem” (dziś to część Pińczowa), Chroberz i in.). Po wyga-



Źródło: Wikimedia

Aleksander Wielopolski

śnięciu męskich spadkobierców Myszkowskich tytuły, zamki, dobra miejskie i ziemskie oraz nazwisko Myszkowskich wyprośował i objął jako ósmy ordynat Franciszek na Żywcu i Pieskowej Skale z Wielopolskich margrabia na Mirowie Myszkowski. Działo się to w roku 1729. Głównym tytułem „ordynatów pińczowskich” stał się Mirów, ten śląski (obok Mirowa pińczowskiego). Tak tedy Wielopolscy weszli do wąskiego grona najznakomitszych rodów magnackich (arystokratycznych) Rzeczypospolitej. Ich pozycję dobrze ilustruje popularne w XVIII wieku porzekadło: „Kto ma Chroberz, Książ i Szaniec, może iść z królową w taniec” (MŻ III 568 n.). Ordynacja Wielopolskich obejmowała kilka miast na czele z Pińczowem oraz kilkaset wiosek. Nb. jeden z Wielopolskich – Jan (1630–1688) – nieco wcześniej ożenił się z siostrą królowej Marysieńki (1638–1728), Marią Anną de la Grange d’Arquien (1640–1728), a jeszcze wcześniej tenże Jan hrabia Wielopolski zawarł znaczące związki małżeńskie z Anielą Febronią Koniecpolską, a następnie z Konstancją Krystyną Komorowską i to „przez nią ordynacja Pińczowska i tytuł margrabiów Gonzaga Myszkowskich trafiła do Wielopolskich” (MŻ II 590).

Zwieńczeniem, na dobre i na złe, tej wspinaczki rodu na szczyty drabiny społecznej stały się dni „panowania” Aleksandra hrabiego Wielopolskiego margrabi Gonzaga Myszkowskiego, który w latach 1861–1863 z łaski carskiej pełnił doniosłą rolę naczelnika Rządu Cywilnego Królestwa Polskiego (obok dzierżącego faktyczną władzę gubernatora wojennego, wówczas generała Michaiła Gorczakowa) i w wyniku niepolitycznych okoliczności przedwcześnie zdetonował – myślę dziś, że w „dobrej wierze” – powstanie styczniowe (obszerne wyjaśnienia w aneksie: MŻ II 569–580). W dziejach Wielopolskich a zarazem w dziejach naszej ojczyzny margrabia Aleksander zapisał się oczywiście nie tylko nieszczęsnym sprowokowaniem powstania, które zresztą od początku nie miało szans powodzenia, ale nieopatrznie rozpalając żądzę czynu rosyjskiej soldateski,

pragnącej w dość łatwy sposób – jak wszystkim się wydawało – zetrzeć z siebie piętno klęski w Wojnie Krymskiej. Margrabia sformułował przede wszystkim w sposób wyrazisty fundament ówczesnej „polskiej racji stanu”, która do dziś krąży nad niektórymi głowami wykręconymi na Wschód. Była w tym konsekwencja definitywnego rozczarowania polityką Zachodu wobec zniewolonej i bezwzględnie rozgrabianej Polski, a także intensywnych poszukiwań możliwości modernizacji kraju poprzez uzyskanie jakiejś autonomii Królestwa Polskiego w ramach Imperium Romanowów. Tworu bezwzględnie lojalnego wobec rosyjskiego caratu, ale łudzącego mirażem realizacji najważniejszych reform społecznych, nieodzownych i niecierpiących zwłoki wobec osuwania się Królestwa w coraz głębszą zapaść cywilizacyjną. Jak czytamy w aneksie, Wielopolski w okresie burzliwych demonstracji patriotycznych 1860 roku przedstawił rosyjskiemu namiestnikowi jednoznacznie deklarację: „Przy uznaniu władzy carskiej domagał się ów projekt uznania praw narodu, czyli polskiej administracji, polskiego szkolnictwa średniego i wyższego oraz odrębności Królestwa z granicą na Bugu. Poza nią cesarz był cesarzem rosyjskim. Ale na ziemiach po Bug – tylko królem polskim. Wielopolski nie żądał konstytucji z wyborami, armii polskiej oraz zwrócenia Kresów, wiedział bowiem, że Petersburg tego nie odda” (MŻ II 571). Te plany margrabię odrzuciło opozycyjne stronnictwo „białych”, skupione wokół Towarzystwa Rolniczego z Andrzejem Arturem Zamoyckim na czele (1800–1874), a zresztą większość politycznie zaangażowanych patriotów parła raczej do siłowej konfrontacji niż ugody. Mimo wewnętrznej opozycji i grania „znaczonymi kartami” urzędników dworu petersburskiego, margrabiemu udało się osiągnąć pewne pozytywne owoce swego „panowania”, szczególnie ważne było powołanie Szkoły Głównej Warszawskiej (1862–1869) oraz zapoczątkowanie procesu reform samorządowych i agrarnych (zniesienie pańszczyzny i oczynszowanie chłopów), nadanie Żydom pełnych praw obywatelskich i in. Dramat tych działań polegał na tym, że „gdy zaczęto realizować konkretne plany reform: szkolnej, żydowskiej, chłopskiej oraz urzędniczej, po stronie margrabię Wielopolskiego nie stał naprawdę nikt, a może tylko nieliczni. Co ciekawe – reformy chwalono, ale człowieka, który je konsekwentnie wprowadzał – nienawidzono” (MŻ II 572). Ostatecznie margrabia, którego kilkakrotnie próbowano zabić, w lipcu 1863 roku opuścił kraj i udał się wraz z rodziną na Zachód na „dobrowolną” emigrację. Po okresie poszukiwań miejsca stałego pobytu osiadł w Dreźnie, gdzie zmarł w 1877 roku.

Arystokratyczna choroba

O margrabię we wspomnieniach *Nie tylko moje życie* mówi się właściwie niewiele, a choć to postać na pewno pierwszoplanowa, to przecież opisana i opisywana namiętnie przez tak wielu badaczy, znawców naszej historii i publicystów, że w pewnym sensie należąca bardziej do „legendy narodowej” niż „legend rodowych”, czyli w jakimś stopniu uwalniająca autora wspomnień od obszerniejszych uwag o tej postaci. Zresztą Antoni hr. Wielopolski, praprawnuk margrabię, znalazł w linii „młodszej” Wielopolskich, swojej „tylko” hrabiowskiej, postać mogącą być jakąś przeciwwagą „czarnej legendy” margrabię; był nim pradziad Antoniego, Zygmunt hr. Wielopolski (1863–1919), wnuk margrabię. To on kontynuował wysokie ambicje polityczne Wielopolskiego, a dzięki swej konserwatywnej i pro-rosyjskiej orientacji w ramach Narodowej Demokracji uzyskał wpływy i wysokie stanowiska w rosyjskich kręgach dworskich (m.in. jako koniuszy dworu carskiego) i w gremiach doradczych ówczesnego państwa carów, m.in. był wiceprezesem Koła Polskiego w Radzie Państwa. W okresie pierwszej wojny mocno zaangażowany w odbudowę Polski, początkowo w ramach



Źródło: muzeumostowiec.pl

imperium rosyjskiego, z czasem przekonał się do dążeń polskich do pełnej niepodległości. Ożeniony z Marią z Laskich (z bogatej, spolonizowanej rodziny żydowskiej z mazowieckiego Łaska), wszedł w posiadanie pałacu w Częstocicach pod Ostrowcem Świętokrzyskim i rozległych okolicznych dóbr. Jako pan na Częstocicach etc., etc. był nowoczesnym, bardzo dobrym gospodarzem; założył m.in. cukrownię i wszedł do spółek przemysłowych intensywnie rozwijającego się Ostrowca. Kwitnące gospodarstwo zmarnowali jego spadkobiercy. Ziemia i lasy poszły na parcelacje, jedynie pałac ocalał jako siedziba Muzeum Historyczno-Archeologicznego (jednego ze sponsorów wydania wspomnień Antoniego Wielopolskiego), utworzonego po II wojnie. Podobnie stało się też z inną własnością rodziców hrabiego Antoniego – podwarszawską majątnością Grzmiąca. Było to wiano matki Antoniego, Anieli (Nelly) z Riesenkampów hr. Wielopolskiej (1886–1963), córki wysokiego postawionego generała w służbie rosyjskiej. Przyczyny niechlubnej utraty zarówno pałacu i dóbr Grzmiąca, jak i włości częstocickich autor wspomnień wielokrotnie i na różne sposoby próbował zrozumieć i opisać. Zasadniczą przyczynę widział w zupełnej niezaradności gospodarczej ojca (Józefa, zwanego „Jojo”, wym. „Żożo”) i matki (Nelly), którzy nie bacząc na błyskawicznie zmieniające się uwarunkowania cywilizacyjne (intelektualne, polityczne, gospodarcze), prowadzili życie w stylu quasi-feudalnej socjety – rozrzutnie i niefrasobliwie. W świetle ostrych ocen pamiętnikarza jego rodzice, ale też wielu jego krewnych, to ofiary anachronicznej, „arystokratycznej choroby”, czyli nieróbstwa i jego pochodnej – przemożnej nudy (MŻ I 574). Jakże inaczej potoczyły się losy ich syna Antoniego, autora przywoływanych tu wspomnień.

Od pałacyku Tyszkiewiczów do Szczecina

Opowieść zawarta w zbiorze *Nie tylko moje życie* mogłaby obsłużyć niejedną ciekawą i nawet burzliwą biografię. Ta jedna, najważniejsza zamyka się pomiędzy rokiem 1911 a 1994/5, czyli w datach życia autora wspomnień. Zaczyna się w Warszawie: „Przyszedłem na świat 27 września 1911 roku około godziny

5 rano w pałacyku Tyszkiewiczów w Warszawie, wynajmowanym przez moich dziadków, hrabiostwo Zygmunta oraz Marię z Laskich Wielopolskich [...]. Najczęściej przebywali tutaj w okresie jesienno-zimowym, pozostały czas spędzając w swoich dobrach Częstocicko-Ostrowieckich w ziemi kieleckiej. Zamieszkali z nimi także zaraz po ślubie w 1910 roku moi Rodzice [...]. Teraz – po niespełna 83 latach – piszę w Szczecinie w swoim domu przy ulicy Czorszyńskiej. Jest 4 maja 1994 roku, godzina 20.00” (MŻ I 38). To była jedna z ostatnich notatek Antoniego Wielopolskiego w ramach już kończonych wspomnień. Zaczął je spisywać po wielokrotnych namowach swojego syna Wojciecha, kończącego polonistykę na UAM, mniej więcej od roku 1974, czyli w ciągu około dwudziestu lat. Jak czytamy we wstępie do tej rozległej opowieści jego ojciec „Powracając w dawne czasy, stworzył chronologicznie ułożoną narrację podporządkowaną jego biografii [...] a całość nazwał

»błyskami wspomnień« wydobytymi siłą z mgieł przeszłości» [...] Ostatnie stronice tego rękopisu, tworzone dzięki intensywnej i nieprawdopodobnie wzmoczonej pracy podczas ostatniego pobytu Ojca u nas w Poznaniu, powstawały jeszcze pod koniec listopada 1994 roku, trzy miesiące przed śmiercią Autora. Potem Ojciec wyjechał do Szczecina, a 10 lutego 1995 roku powrócił na kilka dni do Poznania, gdzie zmarł 17 lutego po krótkim pobycie w szpitalu” (MŻ I 33).

Naczelną zasadą kompozycyjną tych wspomnień jest chronologia życia głównego bohatera, Antoniego hr. Wielopolskiego. I co ciekawe, spełnia tu ona rolę właśnie „taktu, nie wędzidla”, ale też raz po raz bywa przełamywana dygresjami wybiegającymi w przyszłość lub cofającymi narrację w głęboką przeszłość. Te wycieczki (ucieczki) z „kalendarzowej” chronologii w nieznaną las zdarzeń i przemyśleń wcale księżce nie szkoda, wręcz przeciwnie – urozmaicają i umilają swymi niespodziewanymi rozbłyskami tę niespieszną „spowiedź generalną”. Granice owych wycieczek (dygresji) wyznacza rama główna wspomnień, czyli dzieje rodu Wielopolskich spełniające się oto w losach hrabiego z „młodszej linii”. Stylistycznie i kompozycyjnie wspomnienia rozgrywają się pomiędzy staropolską silva rerum, a „przywołaniami z pamięci”. Powstał twór w niejednym przypominający *Żywot człowieka pościwego* Mikołaja Reja, rozmiłowany w detalach, zdumiewający szczegółowością opisu i pamięci o „drobiazgach”, ale też w niejednym nawiązujący do ciągle popularnej „powieści awanturniczej”. A przy tym autorowi nie drży ręka, gdy pragnie (czy wręcz musi) wyrazić mocne oceny moralne czy intelektualne; dostaje się tu szczególnie jego najbliższym – ojcu, matce – a równocześnie ta jego „weredyczność” wcale nie nuży; toczy się ciekawie i nieustannie dzięki jędrnej, wyrazistej, plastycznej polszczyźnie, którą autor włada z talentem i swadą. Znać wybitnego wykładawcę. Zresztą, jak dowiadujemy się z wprowadzenia Wojciecha Wielopolskiego, jego ojciec przygotowywał się niezwykle starannie do zajęć akademickich: m.in. nagrywał je i krytycznie przesłuchiwał, szlifując wykład nie tylko w warstwie informacyjnej, ale

także w brzmieniu i kompozycji; i w jego wspomnieniach „słychać” tę potoczność żywej mowy, która niesie spokojnym rozlewnym nurtem tysiące błysków pamięci o zdarzeniach, spotkaniach, przeżyciach i przemyśleniach. A zdarzyło się w życiu Antoniego Wielopolskiego naprawdę wiele.

Najpierw trafił w wir pierwszej wojny światowej i związanej z nią ewakuacji, przenosin, niepewności i zagrożeń. Potem, po powrocie do kraju, nastąpiły szczęśliwe chwile dostatniego dzieciństwa z dziadkami, rodzicami, w licznym towarzystwie krewnych i znajomych; dzieciństwo i młodość rozpięte pomiędzy Warszawę, Petersburg, Grzmiącą, Częstocice, i znów Warszawę, edukację, podróże po Europie, studia, miłości, polowania... I wreszcie decyzja opuszczenia kraju.

Najwięcej czasu zajęła mu Argentyna

Jesienią roku 1936 dwudziestopięcioletni inżynier rolnictwa rusza na podbój Ameryki z dobrze ukrytą okrągłą sumką dziesięciu tysięcy dolarów (MŻ I 663). Trafia do Buenos Aires i staje się jednym z kolonizatorów rolniczych oraz nadzorców polskich placówek osiedleńczych w argentyńskiej selwie nad potężną Parana. Zwiedza bliższe i dalsze okolice, m.in. wspaniałe wodospady Iguacu. Podejmuje ryzykowne wyprawy w poszukiwaniu złota, ale dorobi się jakiejś takiej pozycji finansowej dzięki pracy agronoma (doradcy rolniczego) i swoim pomysłom agrarnym, by móc dzięki temu zafundować sobie wielomiesięczne podróże „krajoznawcze”. Zwiedził wspaniałe zabytki Peru z Machu Picchu na czele. Schodził i zjeździł w zasadzie niemal całą Amerykę Południową: od peruwiańskiej Limy po Cieśninę Magellana, i z Patagonii na powrót do polskiej kolonii „Wanda” nad Parana. Najwięcej czasu zajęła mu Argentyna, ale poznał też co nieco z dzikich uroków Brazylii, Urugwaju, Paragwaju, Boliwii. Aż nadszedł rok 1939 i wybuch wojny w Europie. Jeszcze w Buenos Aires spotkał Gombrowicza, który próbował się tu zadomowić i „nie planował wracać do Europy” (MŻ II 196 n.): „Wspominał swoje wizyty w polskim poselstwie tuż po wybuchu wojny. Nie pamiętam, co mówił, ale ja sam nie zachowałem w dobrej pamięci spotkania z »żelaznymi tyłkami« czy też mówiąc z rosyjska – »taburetną kawalerią«, czyli konnicą na urzędniczych stołkach. [...] Ciekawe, że parę miesięcy później spotkałem niektórych z tych panów w Paryżu. Byłem wtedy już zweryfikowanym podporucznikiem broni pancerniej, a oni »żelazne vel mosiężne tyłki« tkwili w ośrodku zapasowym [...] Naturalnie nikt z nich nie służył nigdy w wojsku [...]” (MŻ II 197).

Kilkumiesięczne uczestnictwo Wielopolskiego we francusko-niemieckiej „dziwnej wojnie”, w której początkowo wruszono ramionami wobec tak stawianej kwestii: „mourir pour Dantzig – pourquoi?”, a później przyszło połknąć własny język, krztusząc się przy słowach: Dunkierka, Paryż, Vichy... Ostatecznie hrabia Wielopolski dostał się do niemieckiej niewoli w Szampanii w okolicach miasta Sezanne w dniu swoich imienin 13 czerwca 1940 roku. Po różnych paskudnych przygodach podczas konwoju na niemiecki Wschód znalazł się wraz z innymi Polakami zagarniętymi na froncie zachodnim w oficerskim obozie jenieckim pod miejscowością Woldenberg (Dobiegów) nad jeziorem Wielgie na Ziemi Lubuskiej w pobliżu Strzelców Krajeńskich, na północ od szosy Poznań – Berlin. W obozie Kriegsgefangenenoffizierslager OIIC Woldenberg przesiedział resztę wojny, tj. od lipca 1940 do ewakuacji obozu pod koniec stycznia 1945 roku (w związku ze zbliżającą się armią radziecką). Podczas ewakuacji na Zachód przy dwudziestostopniowym mrozie kolumna jeńców dotarła do miasteczka Berlinchen (Barlinek) i w jego okolicy została uwolniona, tzn. porzucona przez niemiecką eskortę. Jak wspomina Wielopolski, „te pierwsze chwile wolności [...] przyjęte zostały ze zdziwieniem, że to tak szybko i bez kłopotów się odbyło. Był 31 stycznia 1945 roku” (MŻ II 344).

Praca na północy kraju

Rozpoczął się powrót „do domu”. Wielopolski po wielu dniach podróży dotarł do Skierniewic, a następnie Milanówka, gdzie – ku swemu szczęśliwemu zaskoczeniu – spotkał w punkcie PCK swoją matkę, pracownicę tej organizacji w czasie wojny i powstania. Nie widzieli się od dziesięciu lat. Z czasem udał się do Miasta Ruin i Grobów, by poddać się procedurze rejestracji i skierowania do pracy. W marcu 1945 otrzymał pracę w urzędzie powiatowym w Gostyninie jako instruktor rolniczy, a po niespełna roku wyjechał na Ziemie Odzyskane, najpierw do Gdańska, gdzie znalazł pracę w Instytucie Bałtyckim. Pracował tu w Archiwum Morskim, a że znał kilka języków (francuski, angielski, hiszpański, niemiecki), więc zajął się „gromadzeniem cennych wydawnictw naukowych, związanych z historią Pomorza Gdańskiego” (MŻ II 413). Praca na północy kraju przyniosła mu wiele satysfakcji i jedną niespodziankę – spotkanie z bliską, przedwojenną znajomą (sympatią) Teresą Kosko, „wdową po zamordowanym w Katyniu mężu Wacławie [Lippomanie]” (s. 419). Wkrótce doszło do „matrymonialnego finału”, a po pewnym czasie małżonkowie przenieśli się do Szczecina i tu od czerwca 1947 roku zaczęli budować swoje nowe gniazdo rodzinne. Doczekali się dwóch synów (Wojciecha i Pawła), a sam Antoni Wielopolski także wnuków. Teresa, jego żona, zginęła w 1971 roku potrącona przez samochód.

Autor wspomnień odbył jeszcze jedną ciekawą wyprawę kombatancką wraz z członkami klubu byłych wojskowych Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie poprzez kontakty z zarządem ZBoWiD, w 1983 roku (czyli w stanie wojennym) udał się do Anglii. Przyjmowani tu byli w dość dziwny sposób, jakoby obce ciało w patriotycznym organizmie angielskiej Polonii. Autor wspomnień odpowiednio podsumował swoją przygodę. Podziw budził niezwykle ład i uprzejmość Anglików: „Chciałoby się powiedzieć, że Imperium przepadło, ale trawniki i żywopłoty miały się doskonale” (MŻ II 503).

Na koniec kilka słów o użytym w tytule tego szkicu zawołaniu rycerskim rodu Wielopolskich herbu Starykoń: „Frangas non flektes”. Antoni hr. Wielopolski przywołał je, objaśniając swoje „archaiczne” przywiązanie do tradycji rodu: „Czasem wydaje mi się, że jestem reliktem, który jest niepotrzebny. Może cała moja mentalność zamroziła się gdzieś przed laty, co nie pozwalało zaadaptować się i naginać do okoliczności. Może zgodnie z odwiecznym rycerskim zawołaniem mojego rodu »Frangas non flektes«, co można tłumaczyć jako »Co nie zegniesz złam, lecz się złamać daj nim się zegniesz sam«” (MŻ II 463). W innym miejscu dodaje: „Cóż mieliśmy czynić, my ludzie Zachodu, teraz zmuszeni do życia w kałmuckiej atmosferze przesyconej machorką, kłamstwem i służalstwem, czyli tym, co Żeromski nazwał w jednej ze swych nowel »ruskim duchem«. [...] Kiedyś stanąłem przed decydującym wyborem – wracać z niewoli na Zachód czy podążyć na Wschód. Wiadomo, co uczyniłem. [...] Tak więc po dziesięciu latach znowu mogliśmy zasiadać przy wspólnym stole i nieodmiennie, mając zawsze własne zdanie we wszelkich kwestiach, wspominać dawne czasy przez obie siostry idealizowane [mowa o niezamężnej Annie i Marii, zamężnej Roguskiej, siostrach Wielopolskiego – przyp. J.F.], natomiast przeze mnie konsekwentnie krytykowane” (MŻ II 473). I ostatnie zdanie autora wspomnień: „Mimo zmęczenia, a nieraz i zniechęcenia nadal piszę pamiętnik ożywiany nadzieją, że wszystkie dotąd napisane strony, a także te, które zamierzam jeszcze stworzyć, ktoś złoży w całość” (MŻ II 476).

Prof. dr hab. Józef Franciszek Fert, historyk literatury polskiej, kierownik Katedry Teologii i Edytorstwa, Wydział Nauk Humanistycznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II.

Psychiatra, naukowiec, filozof, człowiek

Antoni Kępiński zostawił po sobie dziedzictwo w postaci licznych książek i żyje we wspomnieniach kolegów po fachu, pacjentów i licznych przyjaciół. O naturze ludzkiej wiedział więcej niż Freud, Heidegger i Levinas razem wzięci. Drugi człowiek nigdy się mu nie nudził.

Antoni Ignacy Tadeusz Kępiński urodził się 16 listopada 1918 roku w Dolinie (obecnie teren Ukrainy). Miejscowość znajduje się między Bieszczadami a Gorganami w Beskidach Wschodnich. Ród Kępińskich to szlachecka rodzina legitymująca się herbem Nesobia. Ojciec, Tadeusz Kępiński, był prawnikiem zatrudnionym w administracji państwowej. Został też starostą w Dolinie. Matką Antoniego była Wanda de Turczynowicz z domu Suszycka z Boguchwały nad Wisłokiem. Rodzice pobrali się w 1912 roku. Jako pierwsza urodziła się siostra Łucja w 1914 roku. Brat cztery lata później, z czym wiąże się dramatyczna historia.

Przyszły psychiatra przyszedł na świat w niespokojnych czasach, podczas walk Ukraińców z Polakami. Rodzina musiała uciekać z Doliny. Zdecydowano się na Węgry. Sądono, że niemowlę nie przeżyje podróży zimą przez góry, więc zostało z ukraińską nianią. Dziecko razem z kobietą zostało uwięzione na kilka miesięcy, ale szczęśliwie zwolniono oboje po wymianie na dwóch innych jeńców – oficerów ukraińskich. W czerwcu 1919 roku niania wraz z niemowlęciem dotarła do Bielska, gdzie odnalazła rodzinę Kępińskich. Akurat był dzień św. Antoniego, więc chłopca ochrzczono na jego cześć. Jeśli się zastanowić nad historią, dziecko musiało mieć bardzo oddaną nianię i dużo szczęścia, że przeżyło.

W trakcie konfliktu polsko-ukraińskiego Kępińscy nie byli w stanie nigdzie osiąść. Pierwszym miejscem, w którym zamieszkali na dłużej, stał się Nowy Sącz. Ojciec Antoniego został tam starostą. Rodzina mieszkała w budynku urzędu przy ul. Jagiellońskiej 33. Tu upłynęły pierwsze lata dzieciństwa przyszłego psychiatry. Siostra wspominała, że Antoni był spokojnym i wrażliwym chłopcem. Wkrótce ojciec Kępińskiego popadł w niełaskę władz i musiał przejść na wcześniejszą emeryturę. Wtedy ratowaniem rodzinnego budżetu zajęła się matka Antoniego. Otworzyła pensjonat w Krynicy, a później kolejne. Młodemu Kępińskiemu niezbyt się podobało mieszkanie wśród obcych wczasowiczów, ale lubił chodzić po górach, pływać i łowić pstrągi, więc dało się to „nowe” życie jakoś znieść.

Szkoła podstawowa i średnia

Gdy miał sześć lat, zapisano go do Męskiej Siedmioklasowej Publicznej Szkoły Powszechnej im. Adama Mickiewicza

w Nowym Sączu. Siostra trafiła do sióstr urszulanek w Krakowie. Już wtedy Antoni był zdolnym uczniem, choć niezbyt pilnym. Wstawał zawsze wcześniej, co pozostało mu na resztę życia. Duży wpływ wywarł na niego ojciec – wykształcony, kulturalny, o szerokich horyzontach, krytyczny wobec polityki. Wpajał synowi pracowitość i uczciwość. Dbał o rozwój intelektualny i moralny. Matka była opiekuńcza i także bardzo pracowita. Oboje byli religijni i tradycyjni.

W 1928 roku Kępińscy przenieśli się do Krakowa, gdzie Antoni został uczniem renomowanego Gimnazjum im. Bartłomieja Nowodworskiego. Była to wymagająca szkoła, z najdłuższą historią na ziemiach polskich (sięgającą XVII w.), ale chłopiec dosyć szybko zaczął się wyróżniać osiągnięciami w nauce, a także rzetelnością, koleżeńskością i kulturą. Gimnazjum zostało nowoczesnie zorganizowane. Młodzież miała samorząd. Stworzono też specjalistyczne gabinety do nauki poszczególnych przedmiotów. W dzieciach rozwijano samodzielne myślenie i wrażliwość społeczną, szykując je do objęcia w przyszłości ważnych funkcji państwowych. W gimnazjum Antoni zaprzyjaźnił się – jak się później okazało, na całe życie – ze Stanisławem Kłodzińskim (1918-1990). Ze szkoły pochodziła także znajomość z przyszłym profesorem nefrologii Zygmuntem Hanickim (1919-1995). Jako nastolatek poznał Karola Wojtyłę. Spotkali się pierwszy raz w pociągu, jadąc na zjazd Sodalizacji Mariańskiej. Obaj byli prezesami lokalnych sodalicyj: Kępiński w Nowogródku, Wojtyła w Wadowicach. Spędzili całą noc na rozmowach i jedzeniu czereśni.

Przyszły psychiatra nie przepadał szczególnie za sportem i przysposobieniem wojskowym. Lubił jednak pływanie i górskie wędrówki. Pisał piękne wypracowania z języka polskiego. Zawsze wybierał trudniejsze tematy. Jego profesor przechował niektóre z nich i faktycznie świadczą one o talencie literackim. Przedmioty ścisłe absorbowały go w mniejszym stopniu. Miał ciemne włosy, był dosyć wysoki, dobrze zbudowany, raczej nieśmiały, ale nie ponury. Zawsze miał poczucie humoru. Unikał sytuacji sztywnych i formalnych.

W czerwcu 1936 roku zdał egzamin dojrzałości dawnego typu klasycznego. Na świadectwie są oceny z języka polskiego,

łaciny, matematyki, języka greckiego, niemieckiego, historii, przyrodoznawstwa, religii, filozofii, fizyki, wychowania fizycznego i higieny. Przeważały oceny bardzo dobre. Na wniosek uczniów wyróżniono młodego Kępińskiego pierścieniem z wrytym herbem Gimnazjum Nowodworskiego. W historii szkoły tylko dwóch uczniów otrzymało taki pierścień. Kępiński zaproponował, żeby środki na ten cel przeznaczyć na wspomnienie uczniów najbiedniejszych, co dużo mówi o tym, dlaczego to akurat jego koledzy chcieli wyróżnić.

Początek studiów medycznych

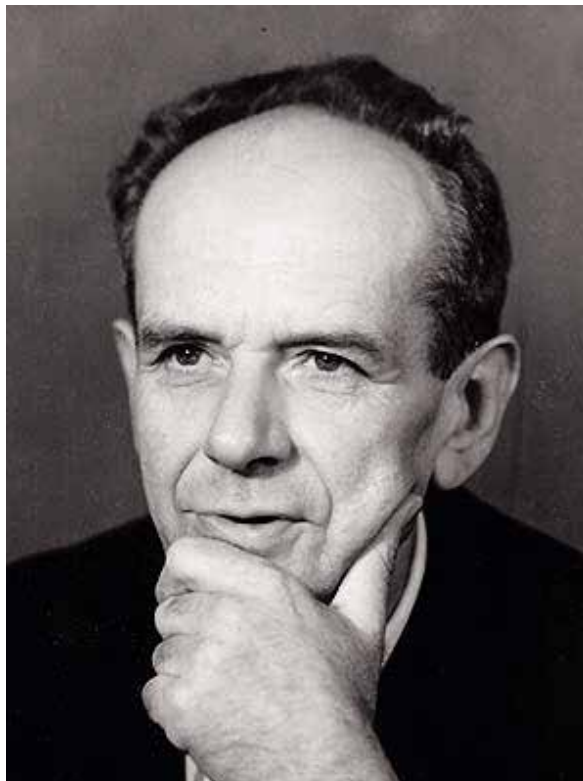
Kępiński zapisał się na studia medyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1936 roku. Kierunek uchodził za trudny i wymagający, ale Antoni miał bardzo dobrą pamięć, ponadprzeciętną inteligencję i był wytrwały, więc radził sobie bardzo dobrze. Od początku jednoznacznie reagował na zachowania antysemitki. To były czasy numerus clausus i getta ławkowego, którego młody Kępiński nie umiał i nie chciał zaakceptować. Ujmował się za studentami pochodzenia żydowskiego i ostentacyjnie siadał przy nich podczas wykładów. Bliższe mu były przekonania socjalistyczne i lewicowe. Działaczkę bojówek nie lubił, ponieważ nie akceptował prymitywnej przemocy. Raz zresztą został przez nich poważnie pobity w 1938 roku. Ciemnoczerwona czapka studenta medycyny została wzięta za symbol lewicowych poglądów. Młody Kępiński spędził w szpitalu prawie cztery miesiące. Do nauki wrócił dopiero w kolejnym semestrze, ale rok studiów zaliczył.

Z Polski do Hiszpanii

Wojna okazała się dla Kępińskiego ośmioletnią odyseją. W momencie jej wybuchu był studentem i miał zaledwie 21 lat, zaczynał czwarty rok medycyny. Już 1 września zgłosił się w Rejonowej Komendzie Uzupełnień, ale tego dnia zabrakło umundurowania. Pomagał więc najpierw w opiece nad pierwszymi ofiarami wojny. 6 września oddziały niemieckie wkroczyły do Krakowa, a młody Kępiński wycofywał się wraz z żołnierzami i personelem szpitalnym. Szli w kierunku Węgier. Tam zostali umieszczeni w miejscowości Leva, gdzie pozostawali przez trzy miesiące. Klęska kampanii wrześniowej była dla młodego człowieka przynębiającym doświadczeniem. Na Węgrzech czuł się samotny i chciał wrócić, ale jednocześnie czuł, że powinien wypełnić obywatelski obowiązek. W listach prosił o książki do nauki języków i podręczniki medyczne. W marcu 1940 roku, po tułaczce z miejsca na miejsce, zbiegł do Budapesztu. Postanowił dostać się do Francji i dołączyć do formowanego tam wojska polskiego.

Kępiński brał udział w wojnie francusko-niemieckiej, a po kapitulacji Francji postanowił przedostać się do Wielkiej Brytanii. Wybrał drogę przez Hiszpanię i Portugalię. Wraz z trzema towarzyszami pokonali Pireneje jesienią 1940 roku. Nie zdawali sobie sprawy z natury reżimu Franco. Po przekroczeniu granicy młodzi żołnierze zostali aresztowani, a potem przeniesieni do obozu Miranda de Ebro. Kępiński spędził tam aż dwa i pół roku.

W tym miejscu przetrzymywano wiele tysięcy mężczyzn dwudziestu kilku narodowości. Polaków było najwięcej, ale byli tam też Hiszpanie: dezertery, przeciwnicy polityczni, przestępcy. Nie był to obóz zagłady, jak te niemieckie, ale warunki nie były też najłatwiejsze. Za najmniejsze przewinienia bito i umieszczano w karczerze. Uciezki karano śmiercią. Organizowano mordercze apele i bezsensowną katorżniczą pracę w rodzaju przenoszenia kamieni z miejsca na miejsce. Warunki sanitarne były złe. Brakowało wody. Do kranu stały w kolejce setki mężczyzn. Jedzenie dawano skromne, głównie warzywne. Kępiński ratował się przed depresją, angażując się w zajęcia dla więźniów. Pracował w zorganizowanym niższym gimna-



Zdjęcie: Wikipedia

zjum obozowym i wykładał biologię na kursie licealnym. Sam chętnie uczył się języków i przedmiotów ścisłych. Raz dostał w paczce z Czerwonego Krzyża podręczniki medyczne, z których bardzo się cieszył.

Z początkiem 1943 roku więźniowie zainicjowali strajk głodowy przeciwko przetrzymywaniu ich bez wyroku w tych trudnych warunkach. Może powodzenie protestu, a może zmiana sytuacji na frontach spowodowała, że powoli zaczęto wypuszczać więźniów z obozu. Kępiński pozostał w nim do 20 marca 1943 roku.

Droga na Wyspy

Po zwolnieniu z obozu przyszedł psychiatra próbował kontynuować pierwotny plan. 4 lipca 1943 roku spotkał gen. Sikorskiego, który akurat trafił na Gibraltar po wizytacji wojsk polskich na Wschodzie. Kępiński czekał tam wraz z wieloma innymi ochotnikami na transport na Wyspy. Generał Sikorski zwrócił uwagę Kępińskiemu, że ma gorączkę. Przyszedł psychiatra dwukrotnie zaprzeczył, obawiając się, że go wykluczą z potencjalnego uczestnictwa w dalszej walce. Wtedy też zrobił zdjęcie generałowi. Okazało się ono jednym z ostatnich. Tego samego wieczoru gen. Sikorski wsiadł do samolotu, który spadł po szesnastu sekundach lotu. Kępiński był obecny na pogrzebie generała.

Jeszcze w tym samym miesiącu Antoni trafił do ośrodka werbunkowego dla lotników w Szkocji. Został przyjęty do Royal Air Force, co było spełnieniem marzeń z dzieciństwa. Opanował wiedzę teoretyczną, jednak podczas lotu ćwiczebnego omal nie doszło do tragedii, bo okazało się, że Kępiński nie ma orientacji w przestrzeni powietrznej. Prawie rozbił samolot. Potem instruktor zabronił mu latać. Początkowo to bardzo przeżywał, z czasem opowiadał jako żart.

W tej sytuacji postanowił kontynuować studia medyczne w Wielkiej Brytanii. Na Uniwersytecie w Edynburgu funkcjonował Polski Wydział Lekarski. Ukończył go w listopadzie 1946 roku. Od tej pory mógł stawiać po nazwisku litery MB i ChB, czyli Bachelor of Medicine i Bachelor of Surgery (skrót pochodzi od

łacińskich: *Medicinae Baccalaureus, Chirurgiae Baccalaureus*). O Brytyjczykach wyrażał się przychylnie, choć czasem trudno mu było nawiązać z nimi kontakt. Odbył też w tym kraju w różnych placówkach praktykę psychiatryczną, która zajęła mu rok.

W lipcu 1944 roku zmarł ojciec Antoniego. Mówiło się, że przez depresję albo z tęsknoty za synem. Kępiński o śmierci ojca dowiedział się z rocznym opóźnieniem. Mimo że wiadomość go bardzo zasmuciła, znalazł jeszcze siły, żeby pocieszać matkę.

W kwietniu 1947 roku polski szpital im. Paderewskiego miał zostać ewakuowany do kraju. Pozwolono Kępińskiemu wrócić z tym transportem. 15 maja zdał swoje wyposażenie RAF-u i pozalał wszystkie formalności. Do Polski wrócił 27 lipca 1947 roku. Wysiadł na ląd w Gdańsku. Wrócił do ojczyzny bez pieniędzy, za to z dyplomem, doświadczeniem życiowym i zawodowym i wieloma książkami, w tym zbiorem dzieł Szekspira. W porcie czekała tylko matka. Bał się, jak poradzi sobie w nowej, innej Polsce.

W domu

Po powrocie do Krakowa Kępiński zamieszkał wraz z matką w kamienicy przy ul. Warszawskiej 1. To było ich przedwojenne gniazdo, Antoniemu jednoznacznie kojarzące się z domem. Pracę otrzymał w Klinice Neurologiczno-Psychiatrycznej UJ przy ul. Botanicznej. Szybko awansował na starszego asystenta. W 1950 roku wydzielono z UJ Akademię Medyczną. Z Kliniki Neurologiczno-Psychiatrycznej powstały: klinika neurologiczna, neurochirurgiczna i psychiatryczna. Kępiński został pracownikiem tej ostatniej. Była zlokalizowana w Szpitalu św. Łazarza przy ul. Kopernika 21a. W swoim skromnym mieszkaniu Kępiński uruchomił też prywatną praktykę. Odtąd co piątek ustawiała się przed jego drzwiami kolejki chorych.

W pierwszej kolejności po powrocie do Krakowa odszukał Stanisława Kłodzińskiego, kolegę z czasów gimnazjalnych. Oświadczył się jego młodszej siostrze Jadwidze. Pod koniec 1947 roku podjęli decyzję o małżeństwie. Pani Jadwiga studiowała historię sztuki na UJ, ale jej nie ukończyła. Ślub cywilny wzięli w Chorzowie 31 stycznia 1948 roku. Ślub kościelny odbył się dziesięć dni później w kościele św. Krzyża w Krakowie. Początkowo zamieszkali u ciotki Jadwigi przy ul. Szpitalnej 34. Po śmierci matki Antoniego Kępińskiego w 1957 roku wprowadzili się do mieszkania przy ul. Warszawskiej 1. Byli tradycyjnym małżeństwem. Mąż pracował, a żona zajmowała się domem. Dbała też o przyziemne

sprawy, jak ubrania czy posiłki. Organizowała życie towarzyskie. Dzieci nie mieli.

Mówiono, że Kępiński miał dar zjednywania sobie ludzi. Pamiętał o urodzinach, imieninach, ważnych rocznicach. Cieszył się z sukcesów przyjaciół. Prowadził bogatą korespondencję. Psychiatra często przyjmował u siebie gości. Odwiedzali go: dr Stanisław Kłodziński (szwagier, przyjaciel ze szkoły, lekarz), dr Władysław Stryjeński (szef, nauczyciel psychiatrii), Janusz Benedyktowicz (były nauczyciel z gimnazjum), prof. Adam Krzyżanowski (ekonomista), Lidia Zamkow i Leszek Herdegen (krakowscy artyści), prof. Waław Kubacki (literat i historyk literatury), Edyta Sicińska (tłumaczka) i wielu innych.

Nie lubił opuszczać Krakowa i żony, jakby po wojennej tułaczce miał podróży dosyć na całe życie. Nie chciał jeździć na konferencje ani inne spotkania służbowe. W Polsce Ludowej przymuszono go do uczestnictwa w obozach „Służby Polsce”. W 1958 roku wyjechał do Maudsley Hospital w Wielkiej Brytanii, głównego ośrodka szkolenia psychiatrów w tym kraju. Zwiedził też kilka innych szpitali angielskich. Czas wykorzystał skrupulatnie, a wnioski opublikował. Z zagranicy przywiózł przekonanie o sensowności psychoterapii grupowej, ale to był jego jedyny dłuższy wyjazd.

Lata powojenne

Oprócz pracy w Klinice Psychiatrii przy ul. Kopernika 21a był też konsultantem w Miejskim Szpitalu Chorób Płucnych, trzy razy w tygodniu przyjmował w Wojewódzkiej Przychodni Zdrowia Psychicznego, dwa popołudnia w Rzemieślniczej Przychodni Lekarskiej. Wykładał psychiatrię studentom psychologii UJ i w Państwowej Szkole Pielęgniarskiej. Nie przepadał za rolą biegłego sądowego. Był członkiem Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia i Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej. Pracował od rana do nocy, jednak nigdy nie przyjął oferty pracy – nawet intratnej – poza Krakowem. Nie interesowały go specjalnie sprawy materialne ani kariera administracyjna.

Pracę doktorską obronił w 1949 roku. Był to jeden z pierwszych powojennych doktoratów z psychiatrii. Rozprawa miała tytuł *Okres zamęcenia po wstrząsie elektrycznym, czas jego trwania a typ konstytucjonalny i rasowy*. Promotorem pracy był prof. Eugeniusz Brzezicki. W 1952 roku Kępiński został specjalistą drugiego stopnia z psychiatrii i zaczął myśleć o habilitacji. Rozprawa habilitacyjna miała tytuł *Odruch orientacyjny*



w otępieniu organicznym. Stopień naukowy docenta został mu nadany w 1960 roku przez Radę Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej. Tytułowano go „docentem” do końca życia, nawet gdy był już profesorem.

Zwyczajne psychiatry

Kępiński do kliniki przychodził jako pierwszy, około szóstej rano. Rozmawiał z chorymi, potem uzupełniał protokoły pacjentów. O ósmej ruszał na obchód, a potem omawiał przypadki z asystentami. Od dziesiątej miał konsultacje na innych oddziałach i w klinikach. O dwunastej uczestniczył w codziennych zebraniach naukowych zespołu swojej kliniki. Potem zwykle brał kąpiel, bo we własnym domu nie miał łazienki. Później zajmował się nowymi pacjentami. Na swój gabinet wybrał ciemną suterенę. Z chorymi witał się ciepło, potem zwykle siedział i słuchał z zakrytą twarzą. Nie lubił bywać na zebraniach ani uroczystościach uczelnianych. Był zaangażowany w pracę Klubu Oświęcimskiego, który badał zdrowotne konsekwencje pobytów w obozach koncentracyjnych. Wyniki badań publikowano w „Przeglądzie Lekarskim”. Kępiński wywarł wpływ na ks. Józefa Tischnera, z którym odbył wiele rozmów.

Można powiedzieć, że był reformatorem w zakresie psychiatrii. Pacjentów traktował humanitarnie. Chciał, żeby szpital bardziej przypominał azyl niż więzienie. Docenił działanie neuroleptyków – leków, które pomagają łagodzić stan psychozy. Postulował jednak, żeby na pacjentów oddziaływać na płaszczyźnie biologicznej, społecznej i psychologiczno-emocjonalnej. Najważniejszym lekiem dla chorego jest sam lekarz. Był przekonany o skuteczności psychoterapii, w tym jej grupowego wariantu. Stworzył Klub Pacjentów, gdzie można było spędzić miło czas, oderwać się od trosk, poczuć wspólnotę doświadczeń z innymi. Wierzył, że chorzy psychicznie mogą wrócić do „normalnego” życia. Najwięcej czasu poświęcał w trakcie swojego dnia chorym i kontakt z nimi cenił sobie najbardziej. Żaden przypadek nie był dla niego zbyt banalny czy nudny.

Publikacje i poglądy

Od 1953 roku pisał artykuły, które miały popularyzatorski charakter. Redakcje nie zawsze akceptowały jego literacki styl i czasem odrzucały mu teksty. Myślał o napisaniu własnego podręcznika psychiatrii. W 1963 roku zaczął

pisać *Psychopatologię życia seksualnego*. Robił notatki w cieniach szkolnych zeszytach. Napisał ogółem ponad 140 prac. Najbardziej znane książki Kępińskiego to: *Refleksje oświęcimskie* (1968), *Psychopatologia nerwic* (1972), *Rytm życia* (1972), *Schizofrenia* (1972), *Z psychopatologii życia seksualnego* (1973), *Melancholia* (1974), *Psychopa-*

tie (1977), *Lęk* (1977), *Podstawowe zagadnienia współczesnej psychiatrii* (1978), *Poznanie chorego* (1978). Książki autora mimo upływającego czasu i postępów w medycynie były wznawiane, ponieważ bardzo dobrze się je czyta. Są napisane przystępnym językiem i zrozumiałe dla przedstawicieli innych dyscyplin czy zwykłych czytelników zainteresowanych zagadnieniami zdrowia psychicznego.

W październiku 1969 roku Kępiński został powołany na Kierownika Katedry i Kliniki Psychiatrycznej Akademii Medycznej. Prawdopodobnie był już wtedy chory, ale o tym jeszcze nie wiedział. Zdiagnozowano u niego szpiczaka mnogiego. Wtedy uznał, że pisanie książek jest dla niego ważne, że zostawi po sobie coś, co będzie trwałym śladem. Prawie wszystkie książki napisał będąc chorym, ale tylko jedną zobaczył wydaną za życia (*Psychopatologię nerwic*). Przeprowadził się wraz z żoną i dwoma kotami do Kliniki Psychiatrii, gdzie w miarę swoich sił wypełniał obowiązki. Odwiedzało go tam wielu ludzi, bo zawsze był towarzyski i miał mnóstwo przyjaciół.

O schizofrenii pisał całościowo jako pierwszy Polak. Uważał, że oddala ona chorych od rzeczywistości, a najlepszym lekiem jest obecność drugiego człowieka, jego życzliwość, miłość i zrozumienie. Sądził, że współczesne społeczeństwa mają charakter schizofreniczny, że zamykamy się coraz bardziej na otaczający świat. Depresję przedstawiał jako niewyobrażalne dla zdrowych cierpienie. Ludzi XX wieku coraz częściej dotyka „smutek spełnionej baśni”, czyli takie swoiste rozczarowanie nowoczesnością, która przymusza do bierności i bezrefleksyjnego konsumowania. Lęk zdaniem Kępińskiego jest komponentem każdej choroby psychicznej. Gdy działa prawidłowo, jest mechanizmem ratującym życie, ale w chorobie przybiera zbyt intensywne rozmiary, żeby człowiek mógł go znieść. Staje się czynnikiem dezorganizującym funkcjonowanie. Nie ma ludzi, którzy nie przeszliby choćby epizodu nerwicowego. Uważał, że cechą dobrego psychoterapeuty jest umiejętność wzmacniania w drugim człowieku wiary w sensowność kontaktu z bliźnimi. Nie przepadał za pacjentami z nerwicą, bo łączył ją z egoizmem i egocentryzmem. Nigdy jednak nie okazywał im dezaprobaty czy niechęci.

Uznawał leczenie biologiczne (leki, elektrowstrząsy), psychologiczne (terapia indywidualna) i społeczne (włączanie w nurt życia). Zastanawiał się nad tym, jak to mogło stać, że wielu normalnych ludzi dopuszczało się okrucieństw podczas wojny. Źródłem było jego zdaniem techniczne postrzeganie człowieka i posłuszeństwo. Rytm życia człowieka Kępiński porównywał do rytmu życia przyrody. Starość, czyli zima życia, to odbierająca nadzieję depresja. Za psychopatie odpowiadają geny, ale też czynniki środowiskowe, zwłaszcza te oddziałujące w okresie dojrzewania. Samopoczucie człowieka zależy od jego nastawień uczuciowych. Utrwalenie postawy negatywnej utrudnia współżycie z otoczeniem. Niedostatek pozytywnych uczuć łączy się często z poczuciem krzywdy. Nienawidząc innych, nienawidzimy samych siebie. Poczucie winy jest czymś, co nas łączy z innymi ludźmi. Lepiej jest dawać niż brać, bo jest to korzystniejsze dla jednostkowego autoportretu i jest to swoiste kryterium dojrzałości. Tłem ludzkiej egzystencji jest lęk przed śmiercią. Ta ostatnia jest złagodzona przez transcendentne dążenia człowieka, np. wiarę.

Profesor Kępiński zmarł w nocy z 7 na 8 czerwca 1972 roku, gdy dyżur miał przy nim kolega po fachu. Odszedł zdecydowanie zbyt prędko. Mógł pomóc jeszcze wielu ludziom i dużo osiągnąć w polskiej psychiatrii. W testamencie cały majątek przekazywał żonie. Pogrzb miał być bez kwiatów i przemówień. Chciał być pochowany w zwykłej ziemnej mogile, a kolegom z kliniki prosił postawić cwiartkę swojej ulubionej śliwownicy.





Piotr Müldner-Nieckowski

Nowa ortografia polska

Dnia 10 maja 2024 r. Rada Języka Polskiego przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk (RJP) ogłosiła wprowadzenie nowych, zdecydowanie uzasadnionych uzusem i historią polszczyzny, a także ulepszonych i ułatwiających pisanie zasad ortografii. Niezależnie od tych zmian, dokonanych przez grupę badaczy pod przewodnictwem Piotra Żmigrodzkiego, opracowano zawierającą je wraz z pozostałymi zasadami, ale kompletny (w stylu podręcznikowym) przewodnik po całej polskiej ortografii i interpunkcji, swoisty *kodeks pisowni*, który z mocy prawa (sic!) będzie obowiązywał w polszczyźnie od 1 stycznia 2026 roku. RJP ma ustawowe uprawnienia w tym względzie. Termin wdrażania celowo został pomyślany tak, aby nie niszczyć pracy już wykonanej podczas przygotowywania publikacji dużych dzieł, aktualnie redagowanych. W wydawnictwach można więc bez kłopotu dokończyć je według dotychczasowych zasad pisowni.

Jednak uczenie się języka i obecne pisanie tekstów lepiej od razu przestawić na nowe tory. Łatwiej wejdą w krew, pozostało sporo czasu (półtora roku) i nie wywoła to konfliktów.

Opis nowości oraz kodeks można pobrać ze stron www.rjp.pan.pl. Polecam, warto. Bezpлатnie. Do codziennego zaglądania.

Wielu czeka teraz mnóstwo pracy. Redaktorów, pisarzy, profesorów, nauczycieli, lekarzy, dziennikarzy, maturzystów, uczniów młodszych i w ogóle całą rzeszę szanujących się Polaków, o których wiemy, że aż 45% z nich uważa, że język polski należy do najtrudniejszych na świecie. Nie bez powodu więc 40% tych osób przynajmniej raz pokłóciło się o jakieś kwestie językowe. Wcale nie mniej sądzi, że na podstawie sposobu i jakości mówienia lub pisania można określić, z kim się ma do czynienia – z osobą myślącą, godną uwagi, zasługującą na szacunek, czy też z chamek, nieukiem, głupcem i nierobem. Tak jakby język był swego rodzaju wizytówką ludzi. Takie oceny wystawiamy dla siebie i odruchowo. Myślę, że słusznie. Nieraz ratują nas przed przykrymi niespodziankami.

Dużo w tej postawie racji, ma bowiem uzasadnienie pochodzące z czasów, kiedy obce a sąsiedzkie kraje chciały likwidować polskość, a język pod wpływem ich agresji coraz bardziej stawał się bodaj najważniejszym nośnikiem naszej tożsamości i pozostawał nim nawet w niedawnej drugiej połowie XX w., kiedy nowo opracowywane przez językoznawców zasady ortografii bez widocznej przyczyny były wyrzucane do kosza, tak jakby miały komuś lub czemuś zagrażać. Zapewne w ten sposób były potajemnie oceniane przez niezbyt polskie władze. Cała prawda na ten temat nigdy nie została wyjaśniona.

Należy też zauważyć, że publiczność, nawet ta najwyższasta, nie zawsze była w stanie do końca przyswajać zasady polskiej pisowni. Do dziś spotyka się osoby, które nie mogą się powstrzymać przed dodawaniem literowych końcówek przy liczbach porządkowych pisanych cyframi (jak choćby na tabliczkach „Ul. 3-go Maja” zamiast *Ul. 3 Maja*; kilka takich jest w pobliżu mojego domu, brrr!).

Z licznych niedających się przez długie lata przyswoić zmian w ortografii była wprowadzona pod koniec lat 90. XX w. niemal (ale tylko „niemal”) bezwyjątkowa zasada łącznej pisowni partykuły „nie” z imiesłowami przymiotnikowymi (które można poznać po tym, że się odmieniają przez przypadki). Ludzie nadal piszą „nie mający” zamiast *niemający*, a przecież to się odmienia: *niemającego, niemającemu...* Teraz całą zasadę uproszczono tak, że wszystkie wyrażenia tego typu mamy pisać łącznie, a co dany wyraz znaczy, prawie zawsze wynika z kontekstu, z jego treści, ze zdania, z akapitu.

Cząstkę „nie” będziemy już pisać łącznie nie tylko ze wszystkimi imiesłowami przymiotnikowymi, ale i z przymiotnikami i przysłówkami wszystkich stopni oraz z rzeczownikami.

Nazwy mieszkańców miast i ich dzielnic, osiedli i wsi będziemy teraz pisać wielką literą, np. *Warszawianin* albo *Warszawiak*, *Krakowianin* albo *Krakowiak*. Dopuszczono dowolną pisownię (dużą lub małą literą) nieoficjalnych nazw etnicznych, np. *Żabojad* albo *żabojad*, *Szkop* albo *szkop*, *Rusek*, *rusek* albo *ruski*. Nazwy firm i marek będzie należało pisać wielką literą, np. *Podjechał Fiat*, *Piorę ubrania w swojej Amice*, i w ten sposób od teraz są honorowane nie tylko firmy, ale także ich pojedyncze produkty.

Do dziś pisaliśmy cząstkę *by* łącznie ze spójnikami. Obecnie to z ortografii znika. Przysłowie *Świnia nie ma rogów, boby bodła*. napiszemy teraz: *...bo by bodła*.

Rzeczowniki utworzone od nazwiska i zakończone na *-owski* (odpowiadające na pytanie *czyj?* lub *jaki?*) będą pisane małą literą, np. *polonez chopinowski*, *poemat norwidowski*, a zakończone na *-owy* (odpowiadające na pytanie *czyj?* lub *jaki?*) będą pisane dowolnie, małą lub dużą literą, np. *poemat Nowakowy*, *poemat nowakowy*.

Jest tych zmian więcej, polecam studiowanie, przyjazne poznanie.

e-mail: lpj@lpj.pl

Political correctness – studium pojęcia



Źródeł political correctness autorzy upatrują w XX-wiecznym komunizmie w wydaniu chińskim i radzieckim, znaczenie terminu było jednak rażąco odmienne od współczesnego, gdyż „chodziło o dogmatyczne posłuszeństwo wobec aktualnie obowiązującej linii partii komunistycznej”. Czym jest obecnie poprawność polityczna? Trudno o pełną i jednoznaczną definicję zjawiska, na co badacze zwracają uwagę, a sytuację bez wątpienia utrudnia fakt, że samo znaczenie pojęcia ulega wartościowaniu w zależności od tego, kto i w jaki sposób próbuje je wykorzystać. Political correctness weszła do języka publicznego na przełomie lat 80. i 90. za sprawą sporu na uniwersytetach w USA, jaki toczyli ze sobą akademicy zwolennicy szeroko rozumianej lewicy i prawicy. Ci ostatni czuli się zdominowani przez „lewicowych radykałów”, stąd też termin „politycznie poprawny” stał się (i tak chyba funkcjonuje do dzisiaj) synonimem braku wolności wypowiedzi. O dziwo bojownikami „PC” często nie są osoby dotknięte jakimkolwiek rodzajem ostracyzmu (płeć, kolor skóry, wyznanie), ale bywają nimi biali, pochodzący z dobrze sytuowanych rodzin. Zdaniem przeciwników „PC” jej obecne neomarksistowskie i postmodernistyczne, a zarazem bardziej radykalne oblicze, to efekt studenckiej obyczajowej rewolty lat 60.-70., której uczestnicy piastują teraz kluczowe stanowiska. Stąd też możemy mówić o instytucjonalizacji zjawiska, gdyż głoszone wcześniej hasła stały się obowiązującym prawem bądź formalnymi zaleceniami.

Wiele miejsca poświęcają badacze analizie stosunków panujących na uniwersytecie w kontekście political correctness, wprawdzie rzecz dotyczy szeroko pojmowanej akademickości w wydaniu amerykańskim, ale myślę, że uniwersalność pewnych też czy też przypadków wziętych z kampusów w USA bez wątpienia ma idealne przełożenie na warunki europejskie. Badacze konkludują, że walcząca mniejszość (zarówno studentów, jak i wykładowców) wygrywa najczęściej w starciu z licniejszą, ale zdecydowanie mniej aktywną większością. „W ideologii tej grupy fakt bycia mniejszością jest bowiem uznawany za wystarczającą legitymację do sprawowania władzy”. Rzecznicy „PC” często nadgorliwie tropią jej objawy tam, gdzie jej nie ma, bądź forsują swoje tezy w środowisku nieukształtowanych jeszcze studentów i zastraszonych wykładowców, którym, paradoksalnie, odbiera się prawo głosu w imię głoszonej wolności słowa i tolerancji. Jednocześnie studenci stali się grupą nacisku, choć nie zdobyli tej pozycji dzięki dobrowolnej zgodzie ciała pedagogicznego. „Szykany, jakie spotykają niepoprawnych politycznie czy po prostu niepokornych profesorów, często spadają na nich w efekcie działań »przebudzonych« studentów. (...) Tym, co trzyma w szachu wielu profesorów, jest prawdopodobnie strach. Szeregowi wykładowcy mogą obawiać się na przykład postępowań dyscyplinarnych, utraty grantów czy zatrudnienia w związku z treścią prowadzonych przez siebie zajęć czy głoszonymi publicznie poglądami”. Lubelscy uczeni podają konkretne przykłady z amerykańskiego podwórka, gdy dokonania naukowe i wieloletnia kariera profesorska okazywały się nader kruche wobec oskarżeń o polityczną niepoprawność, a uszczerbku doznawała nie tylko naukowa rzetelność, ale zwykła ludzka wrażliwość i zdrowie psychiczne. Autorzy zwracają także uwagę na coraz większą rolę uczelnianej administracji, gdy konsultanci ds. różnorodności mają większy wpływ na zatrudnianie naukowców niż ich koledzy po fachu.

Aksiuto, Wallner i Pomarański z naukową uczciwością i skrupulatnością analizują omawiany temat, zachowując fachowy obiektywizm; stawiają pytania, wysuwają tezy, ale wystrzegają się stosowania wartościujących sądów czy też opowiadania się po którejjkolwiek ze stron.

Jacek Hnidiuk

Kamil AKSIUTO, Michał WALLNER, Marcin POMARAŃSKI, **Poprawność polityczna. Źródła, przejawy, kontrowersje**, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2023.

Mieszkańcy kultury



W debatach na temat edukacji stosunkowo rzadko – przynajmniej w jej głównym nurcie, a nie w dyskusjach fachowców – stawiane jest pytanie, po co uczyć uczestnictwa w kulturze, zarówno biernego, jak i czynnego. Wątki tego typu najczęściej pojawiają się przy formułowaniu poglądów na temat kanonu lektur w edukacji polonistycznej, a konieczność istnienia kanonu jest z reguły uzasadniana tym, że jeśli należymy do kręgu tej samej kultury narodowej, powinniśmy znać te same podstawowe teksty, aby móc

się do nich odwoływać. Czasami pojawia się także uzasadnienie powiązane bardziej z historią niż literaturą – że dzieła te zaświadczać o dziejach Polaków. Warto jednak zwrócić uwagę, że w takich ujęciach dzieła sztuki – szczególnie literatura – są zawsze wehikułem czegoś, nie są zaś postrzegane jako mające wartość same w sobie.

Dorota Sieroń w *Śladach wdzięczności* traktuje analizę egodokumentów – przede wszystkim listów – wymienianych przez Jerzego Giedroycia, Czesława Miłosza, ks. Józefa Sadzika, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Józefa Czapskiego, Barbarę Toruńczyk, Zygmunta Mycielskiego, Thomasa Mertona, Josifa Brodskiego i kilka innych osób – jako punkt wyjścia do wskazania, w jaki sposób literatura (zaliczamy tu do niej rzecz jasna także korespondencję) może ukazywać wartości w działaniu. Jej ujęcie nie ma jednak nic wspólnego z parenetycznością, gdzie postępowanie postaci literackiej jest wzorcem określonej postawy moralnej. W listach poeci i animatorzy życia artystycznego mówią we własnym imieniu – i okazują sobie tytułową wdzięczność nawet w mało oczywistych sytuacjach. Wielkie osobowości jawią się tu przede wszystkim jako ludzie dojrzały, dla których czynne uczestnictwo w kulturze jest także formą pracy nad sobą. Nie traktują innych wielkich jako konkurentów, ale wspierają ich – radą lub czynem – gdy tylko jest to potrzebne, a z kolei obdarowani, umieją nazwać otrzymane dobro.

Autorka nazywa relacje – szczególnie właśnie te oparte na wdzięczności – tkanką łączną kultury. I właśnie taka perspektywa przekłada się na obecność kultury w edukacji. Uczestnictwo w kulturze czyni edukowanych lepszymi ludźmi nie poprzez powierzchowną rafinację (która wytwarza „kulturalnych ludzi”, którym „wypada” uczestniczyć w kulturze), ale poprzez wartości, którymi przesycone są dzieła i relacje między ich twórcami. W tak rozumianej edukacji uczeń od początku traktowany jest jako podmiot i stopniowo jeszcze bardziej staje się podmiotem poznającym, a nie jedynie „odbiorcą” widzianym jako ktoś, kto otrzymuje wytyczne i gotowe odpowiedzi. Skutkuje to zarówno pragnieniem ciągłego samodoskonalenia, jak i dialogicznym podejściem do drugiego człowieka, pełnym szacunku, a nie wynikającego z lęku respektu. Człowiek autentycznie czerpiący z dzieł, z którymi się zapoznaje, nie może traktować kultury jako wieży z kości słoniowej, w której zamyka się w poczuciu wyższości. Umie być wdzięczny twórcom, których dzieła w jakiś sposób go ukształtowały, nawet jeśli ujawniali także swoje bolesne ograniczenia – znakomitym przykładem w książce Sieroń jest Josif Brodski i jego napisany pod koniec życia, słynny dziś wiersz *Na niepodległość Ukrainy*. Samoświadomy odbiorca nadal będzie doceniał to, co zachwyciło go w poezji Brodskiego – utwory, które pozwoliły mu coś zrozumieć, uchwycić coś, co nie dawało się ująć w słowa albo wywołały głębokie przeżycie estetyczne. Nie skreśli go jako kolejnego wielkorosyjskiego szowinisty – a jednocześnie będzie umiał nazwać po imieniu to, co odbierze jako pogubienie się wielkiego człowieka lub tę cechę jego rosyjskości, której nie przyjmuje. Będzie umiał być krytyczny – ale nigdy nie brutalny.

Marek Misiak

Dorota Sieroń, **Ślady wdzięczności. Inspiracje dla edukacji kulturalnej utrwalone w literaturze dokumentu osobistego XX wieku**, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2024.

Podróż śladami Humboldta



Otrzymaliśmy drugą polską edycję fenomenalnej biografii Humboldta, która zdobyła nagrodę Costa Biography Award 2015. Jej autorka wykonała ogrom pracy, przeskukując źródła na temat życia i badań jednego z najsłynniejszych przyrodników na świecie. Po Humboldcie zostało mnóstwo tekstów naukowych, opisów podróży i listów. Jego biografia zawiera więc nie tylko relacje z życia samego przyrodnika, lecz także przedstawia ciekawostki na temat innych sławnych postaci współczesnych Humboldtowi. Do grona jego przyjaciół zaliczał się

Johann Wolfgang Goethe, który opowiadał Fryderykowi Schillerowi, że badacz „obudził z letargu” jego zainteresowania naukowe. Inspiracje pracami przyrodnika widać w wielu utworach pisarza, ale niektóre jego teorie i dla Goethego były zbyt rewolucyjne. Kiedy Humboldt już w 1807 roku zwrócił uwagę na fakt, że Afryka i Ameryka Południowa musiały być kiedyś jednością (co zostało potwierdzone dopiero w połowie XX wieku), pisarz uznał to za absurd. Nie wierzył też, że „Himalaje i Andy mogłyby wyłonić się nagle z brzucha Ziemi”. Humboldt fascynował się wulkanami i wnioskował, że gdzieś w głębi Ziemi muszą łączyć się w jeden system.

Przyrodnik znał również prezydenta Stanów Zjednoczonych Thomasa Jeffersona, który nazwał go jedną z najwspanialszych ozdób epoki. Dla Jeffersona Humboldt był skarbnicą informacji na temat Ameryki Południowej, w której uczony spędził pięć lat, badając skały, rośliny i zwierzęta oraz gromadząc wiedzę na temat żyjących tam ludzi. Towarzyszem jego podróży po tym kontynencie był Simón Bolívar, przyszły przywódca walk o wyzwolenie Wenezueli.

Chociaż Humboldt pochodził z Prus, dużo lepiej czuł się w Paryżu, który skupiał naukowców z całego świata. Oficjalnie był jednak przez wiele lat szambelanem króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III, dlatego sam Napoleon Bonaparte podejrzewał go o szpiegostwo. Badacz uważał jednak, że nauka powinna być ponadpaństwowa i w politykę angażował się tylko po to, by móc podróżować po obcych krajach. Przez lata marzył o wyprawie w Himalaje, ale nie uzyskał pozwolenia Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Za to car Mikołaj I udzielił mu zgody na wyprawę w głąb Rosji, po tym jak Humboldt napisał opinię dla jego ministra finansów na temat możliwości wykozystania platyny jako środka płatniczego. W ciągu pół roku Humboldt przemierzył 16 tysięcy kilometrów z Petersburga do gór Altaj i z powrotem. Szukał „związków, które łączyły wszystkie fenomeny i siły natury”. „Pił herbatę z chińskimi komendantami na mongolskiej granicy i kumys z Kirgizami. [...] Widział suhaki pędzące przez kazachskie stepy, węże wygrzewające się na wółzańskej wyspie oraz nagiego fakira w Astrachaniu. Przewidział obecność diamentów na Syberii, wbrew rozkazom rozmawiał z wygnańcami politycznymi i poznał nawet Polaka, który został wywieziony do Orska [...]” (według tłumacza polskiego wydania chodzi tu o Jana Prospera Witkiewicza, współtwórcę organizacji uczniowskiej „Czarni Bracia”).

„Ciekawość Humboldta brała się z jego pragnienia zrozumienia natury jako całości, jako sieci sił i wzajemnych zależności”. Pierwszy opisał strefy i piętra geograficzne. Interesowała go przemiana środowiska naturalnego pod wpływem działalności człowieka i postulował ochronę przyrody.

Prace Humboldta miały ogromny wpływ na rozwój nauki. Jego pięciotomowy *Kosmos* stał się bestsellerem. Sam Darwin, młodszy o 40 lat, pisał, że bez dzieł Humboldta nie wsiadłby na Beagle i nie stworzył *O powstawaniu gatunków*. Z jego wiedzy czerpał również Ernst Haeckel, młodszy o kilkadziesiąt lat niemiecki zoolog i twórca pojęcia ekologii jako powiązania organizmu i środowiska, w którym on żyje.

Justyna Jakubczyk

Andrea WULF, *Człowiek, który zrozumiał naturę*.

Nowy świat Alexandra von Humboldta, tłum. Piotr Chojnacki, Katarzyna Bażyńska-Chojnacka, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023.

Sowiecki eksperyment



Od wielu lat polski historyk z Ukrainy Henryk Stroński zajmuje się losami rodaków w XX i XXI wieku na ukraińskich kresach. Jednym z obszarów badań profesora jest Marchlewszczyzna. Powołana do życia 1 września 1925 roku przez działających w ZSRR polskich komunistów, Marchlewszczyzna zlokalizowana została w Sowieckiej Republice Ukrainiejskiej w rejonie żytomierskim. W chwili założenia Polacy, głównie chłopcy i drobni rzemieślnicy, stanowili większość (ponad 70% wszystkich mieszkańców: 42 161). Mar-

chlewszczyznę zamieszkiwali nadto Ukraińcy, Niemcy, Żydzi. Stolicą regionu obwołano miasto Dołbysz, które niebawem przemianowano na Marchlewsk.

Zorganizowanie Marchlewszczyzny było eksperymentem przeprowadzonym przez sowiecką władzę, po to by przygotować w przyszłości podłoże komunistyczne do rewolucyjnego przejęcia innych narodów sąsiadujących ze Związkiem Radzieckim. Nie był to jedyny obszar eksperymentalny z przeznaczeniem dla Polaków. Na Białorusi powstanie w 1932 r. niedaleko Mińska tzw. Rejon Dzierżyński. Władze obydwu rejonów starały się indoktrynować mieszkańców poprzez wpajanie idei komunistycznych w zakładach pracy, szkołach, przeprowadzając liczne komunistyczne agitacje.

Ludność Marchlewszczyzny realizowała sowiecki pięcioletni plan gospodarczy. Prawie 40% ludności pracowało w produkcji chemicznej przy wyrobie fajansu, porcelany bądź szkła, blisko 20% przy wyrobach dachówki i cegły, pozostała część zatrudnienie znalazła przy wydobywaniu torfu, pozyskiwaniu drewna i jego przetwórstwie, w produkcji skórzaney, obuwniczej i w rolnictwie.

Znaczącą rolę w szerzeniu propagandy komunistycznej na Marchlewszczyźnie odgrywali nauczyciele. Zmuszano ich do agitowania nie tylko w szkole, ale także poza nią. Chodziło o objaśnianie bieżącej polityki władzy bolszewickiej, układanie kolektywizacji, mobilizowanie do zwiększenia dostaw zboża czy nakłanianie do zapisania się na pożyczkę industrialną. Nauczyciele prócz tego tradycyjnie zwalczali analfabetyzm i wdrażali obrzędowość partyjno-państwową, przygotowując przedstawienia teatralne i gazetki. Szkoły były tu przeważnie trzy- bądź czteroklasowe. Obsługiwał je zazwyczaj jeden nauczyciel. Pełna szkoła siedmioklasowa była tylko jedna. Edukacja odbywała się w języku polskim.

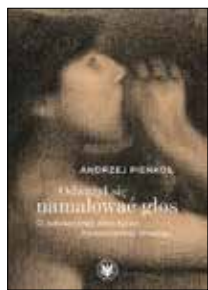
Funkcjonowanie Marchlewszczyzny, mimo starań władz, nie przyniosło oczekiwanego efektu politycznego. Polski rejon nie stał się inkubatorem rewolucji komunistycznej. Ani wykształcenie komunistycznych kadr, ani tuba propagandy głosząca szczęśliwość życia w Kraju Rad nie odbiły się szerszym echem w społeczeństwie polskim. Nawet lokalizacja przy granicach Polski zawiodła. Również na sowieckiej Ukrainie nie udało się zaszczepić Polakom wrogięgo stosunku do Polski, a skutek był wręcz odwrotny – w miarę pogarszania się sytuacji gospodarczej i społeczno-politycznej w Związku Radzieckim na Marchlewszczyźnie sympatia do Polski rosła. Cały eksperyment skończył się dla Polaków źle. Zostali masowo deportowani do wschodnich obwodów Ukrainy, a następnie do Kazachstanu. Tych, których nie wywieziono, ukarano w latach Wielkiego Terroru 1937-1938 poprzez osadzanie w więzieniach, zsyłkę do łagrów czy rozstrzelanie. Likwidacja Marchlewszczyzny zapoczątkowała operację polską NKWD. Do wybuchu II wojny światowej deportacją na sowieckiej Ukrainie objęto ponad 150 tys. osób, zlikwidowano polskie szkoły, instytucje kulturalne, wyeliminowano działalność Kościoła katolickiego.

Praca Henryka Strońskiego jest chlubną kontynuacją publikacji Mikołaja Iwanowa *Pierwszy naród ukarany: Polacy w Związku Radzieckim 1921-1939* (1991). Autor niemało uwagi poświęcił w niej polskim regionom w ZSRR, nagłośnił kwestię i zapoczątkował badania nad losami Polaków, którzy byli obywatelami ZSRR.

Bogdan Bernat

Henryk STROŃSKI, *Marchlewszczyzna 1925-1935. Polski rejon narodowościowy na sowieckiej Ukrainie*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2023.

Bezgłósne brzmienie



Najnowsza książka profesora Piętkosa dotyczy problemu korespondencji sztuk. To zdanie tylko pozornie wyjaśnia treść książki, bowiem stajemy wobec licznych zagadnień, które omawia autor. Warto jednak zdać sobie sprawę, że jeszcze większa liczba problemów nie została wytłumaczona, a nawet wskazana. Tekst zakłada erudycję i wiedzę czytelnika, co, mimo że stawia nas wobec sporych wyzwań, jednak jest odświeżające. Mamy do czynienia z tekstem, który zamiast powielać znaną wiedzę, prowadzi ku nowym

pytaniom i próbom udzielania na nie odpowiedzi.

Zrozumienie, dlaczego zagadnienie powinowactwa sztuk plastycznych i muzyki lub jego braku jest szczególnie doniosłe w okresie kształtowania się nowoczesności, wymaga pojęcia, dlaczego nie ujawniło się jako istotny problem w czasach wcześniejszych. W dziejach sztuki pojawiały się wielokrotnie przedstawienia grających muzykantów, a nawet alegorycznego przedstawiania wszystkich ludzkich zmysłów w jednym obrazie. Niektórzy wielcy mistrzowie pędzla byli także muzykami. Zatem w najbardziej powierzchownej warstwie trudno odnaleźć różnicę pomiędzy sztuką nowożytną a nowoczesną, i ich przedstawieniami muzyki. Istnieje jednak pewne istotne zagadnienie, które wskazuje nie tylko na te różnice, ale także ukazuje zasadniczą różnicę pomiędzy sztuką nowoczesną a dawniejszą.

W dziewiętnastym stuleciu, a przede wszystkim na przełomie dwudziestego, jednym z istotniejszych problemów artystycznych było poszukiwanie powiązań między sztukami oraz możliwości powstania i wskazania łączącego je tak zwanego „dzieła totalnego”. Samo to pojęcie miało wiele wariantów i mogło być mylące, relacje pomiędzy sztukami są w gruncie rzeczy relacjami między różnymi i właściwie niemożliwymi do pogodzenia sposobami myślenia o sztuce. Należy pamiętać, co bardzo podkreśla Andrzej Piętkos, że kwestia dotyczy nie tylko sposobu malowania dźwięku, ale także prób ukazania wizualnych impresji za pomocą dźwięku. Relacje pomiędzy muzyką a sztukami plastycznymi są bardzo rozbudowane, widać to wyraźnie na przykładzie *Obrazków z wystawy Modesta Musorgskiego*, utworu zainspirowanego wystawą obrazów i rysunków, który z kolei zainspirował plastyków, w tym Wassily'ego Kandinsky'ego.

Ową próbę dokonania niemożliwego, czyli zwizualizowania dźwięku, gdyż chodzi nie tylko o muzykę, autor prezentuje w czterech rozdziałach: *Głos w obrazie. Klątwa Marsjasza, czyli luźne uwagi o kłopotach sztuki XIX wieku*, *Próba Félix'a Vallottona. Instrumenty muzyczne, znaki ciszy, bezgłósne obrazy*, *„Jak jakiś potężny poemat...”. Niemożliwy pomnik Beethovena?*, *Experiment egzystencjalny Arnolda Schönberga. Malarstwo zamiast muzyki?*

Jest to zbiór odrębnych szkiców, prezentujących związki pomiędzy sztukami wizualnymi a muzyką, obrazem a dźwiękiem. Samo przywołanie satyra Marsjasza i jego losu w tytule pierwszego rozdziału jest dowodem na to, że te związki niekoniecznie muszą przynosić dobre owoce. Figura Marsjasza jest zatem znakiem niemożliwości. Zaś jej najlepszym przykładem jest prezentacja prób stworzenia „idealnego” pomnika Ludwiga van Beethovena. Po wstępie referującym historię upamiętniania i przedstawiania Beethovena autor prezentuje okoliczności i przebieg pokazu prac słynnej grupy rzeźbiarskiej Maxa Klingera podczas wystawy wiedeńskiej Secesji w 1902 roku. Klęska artystyczna zamierzania, opisana w tym rozdziale, ukazuje dobitnie, że próby stworzenia „dzieła totalnego”, nawet jeżeli jej poszczególne części, czy to muzyczne, czy wizualne, są udane, jest skazana na niepowodzenie.

Książka jest ciekawym przyczynkiem do dziejów sztuki nowoczesnej oraz istotnym wkładem w wyjaśnianie zjawiska zwanego „nowoczesnością”. Przyczynkiem istotnym i dlatego godnym polecenia.

Juliusz Gałkowski

Andrzej PIĘTKOS, *Odwążył się namalować głos. O odwiecznej albo tylko nowoczesnej analogii*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2024.

Dowartościowanie baśni



W ramach słynnej serii Biblioteka Myśli Współczesnej ukazało się niedawno kolejne wydanie fundamentalnej pracy na temat roli baśni. Mowa o książce Brunona Bettelheima (austriacko-amerykańskiego psychoanalityka dziecięcego), którą w języku polskim wydawano już wprawdzie trzy razy, ale bardzo szybko stawała się ona nieosiągalna, zarówno na rynku księgarskim, jak i antykwarycznym.

Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni od lat 70. XX wieku wciąż inspirowało wielu specjalistów z różnych dziedzin i krajów. Obecne wydanie, tak jak wcześniejsze, zostało przygotowane przez prof. Danutę Danek (uznaną historyczkę literatury, eseistkę i tłumaczkę z Instytutu Badań Literackich PAN), która nie tylko wprowadziła zmiany w swoim wcześniejszym przekładzie pracy, ale też skomentowała ją oraz inne książki autora. Otrzymujemy więc nową edycję klasycznej monografii o terapeutycznych walorach baśni.

Przypomnijmy, że tego typu opowieści powstawały znacznie wcześniej, niż wykształciło się samo pojęcie baśni. Ich rodowód sięga mitów i archaicznych obrzędów inicjacyjnych, które z jednej strony wprowadzały człowieka w problematykę egzystencjalną, z drugiej zaś porządkowały wiedzę o świecie, nadawały mu pewne ramy, a tym samym oswajały go. Przez wieki słuchaczami baśni byli przede wszystkim lub tylko dorośli, którzy znajdowali w tych historiach swoje troski, marzenia i fantazje.

Od początku upowszechniania baśni ludowych w formie książkowej aż do dziś towarzyszą im kontrowersje. Wśród najczęściej powtarzanych zarzutów są oskarżenia o drastyczność i okrucieństwo, negatywne stereotypy. Ponadto przeciwnicy czytania dzieciom i przez dzieci baśni ludowych zwracają uwagę na ich często archaiczny (czyli niezrozumiały) język oraz obce współczesnemu odbiorcy realia historyczno-kulturowe.

Omawiana książka wyrasta z psychoanalizy Freuda i – jak podkreśla autorka przekładu – jest potrzebna szczególnie dziś „w czasach zatrważającej fali dziecięcych i młodzieńczych depresji i samobójstw” (t. 1, s. 8). Bettelheim zwrócił uwagę na wartość fantazjowania. „Baśnie pomagają dziecku w odkrywaniu własnej tożsamości i własnego powołania, wskazując zarazem, jakich ono potrzebuje doświadczeń, aby rozwinąć swój charakter. [...] Baśnie dają do zrozumienia, że pomyślne, pełne satysfakcji życie jest dostępne każdemu, mimo życiowych przeciwności – lecz jedynie wówczas, gdy nie ucieka się przed pełnymi niebezpieczeństwami życiowymi zmaganiem, bo tylko one pozwalają odkrywać nasze prawdziwe ja”.

Można powiedzieć, że baśnie zachęcają do bycia odważnym, gdyż ich „punktem wyjścia” bardzo często jest sytuacja, która zmusza bohatera do odbycia podróży obfitującej w rozmaite przeszkody. Postacie baśniowe aktywnie podchodzą do problemu, tzn. żeby go rozwiązać, zwykle wyruszają w świat (np. w celu znalezienia pożywienia, lekarstwa, miłości). Po prostu nie pozostają bierni, a przy tym walczą nie tylko z przeciwnościami losu, lecz także z własnymi słabościami.

Bettelheim podkreślał m.in. wagę zakończenia opowieści, w której zło zostaje ukarane, dzięki czemu dziecko może czerpać z historii nadzieję na zwycięstwo sprawiedliwości w życiu. Poza tym może nabrać przekonania o właściwym sposobie postępowania. Autor przypominał też, że nie każda opowieść nazwana baśnią ma opisane w książce właściwości.

W kwestii kontaktu młodego odbiorcy z baśniami Bettelheim doradzał, że lepiej jest opowiadać niż czytać dziecku baśnie, „bo opowiadanie daje większą swobodę w uwzględnianiu reakcji dziecka”. A jeśli już baśń czytamy, to powinno temu towarzyszyć emocjonalne zaangażowanie w sens historii i uwzględnienie reakcji dziecka.

Marcin Lutomiński

Bruno BETTELHEIM, *Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni*, t. 1–2, tłum., wprowadzenie, objaśnienia i postowie Danuta Danek, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023, seria: Biblioteka Myśli Współczesnej.



Leszek Szaruga

Uczyć się, studiować

Wszystko wskazuje na to, że jeśli się coś nagle nie zawali i nie popłaczę, od nowego roku akademickiego nasza Katedra Studiów Interkulturowych Europy Środkowo-Wschodniej przy Wydziale Lingwistyki Stosowanej UW przekształcona zostanie, podjętą już decyzją Rady Wydziału, w Instytut. A to oznacza konieczność przemyślenia na nowo naszej działalności naukowo-badawczej, podjęcia próby podsumowania dotychczasowych przedsięwzięć, które mają też swój wyraz w publikacjach pracowników, a wreszcie nakreślenia dalszych perspektyw działań na polu pozornie już niezłe zagospodarowanym, lecz w zmieniających się okolicznościach, zarówno politycznych, jak metodologicznych, wymagających czasem nawet bardzo daleko idących przewartościowań, które zależne są od wyszukiwania nowych perspektyw badawczych.

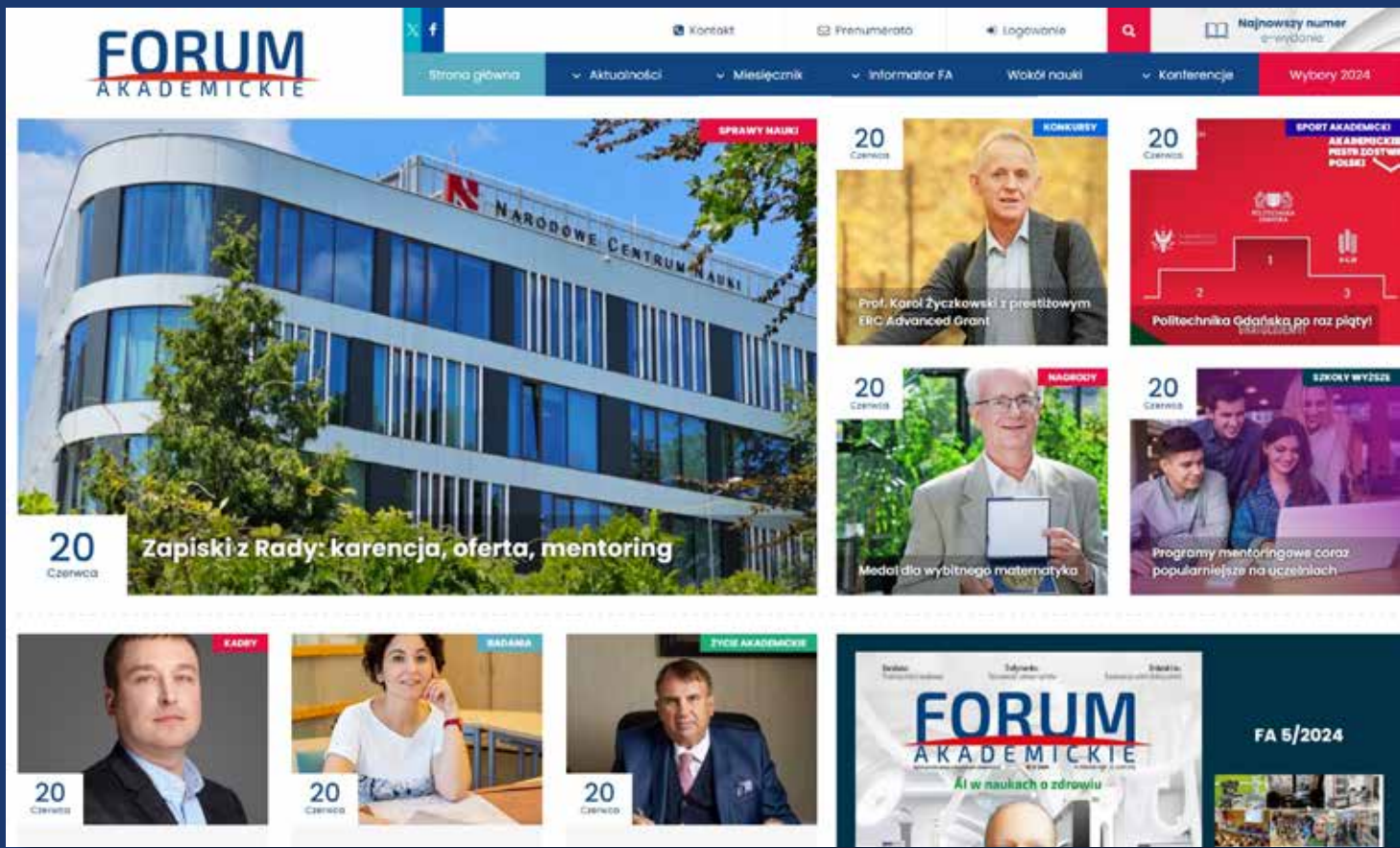
O problemach związanych z kwestią określenia przedmiotu naszych zainteresowań, jakim jest Europa Środkowo-Wschodnia, już tu niedawno pisałem. W moim przekonaniu mamy do czynienia ze zjawiskiem już historycznym, co nie znaczy, że z punktu widzenia współczesności zamkniętym w czasie przeszłym. Może nawet ma ona do odegrania ważną rolę w kształtowaniu przyszłości kontynentu, co oczywiście wymaga reinterpretacji dotychczasowych ustaleń, być może nawet głębokiej dekonstrukcji poczynionych rozpoznań, uwzględnienia czynników w ich podejmowaniu pomijanych bądź niedostrzeganych, a z dzisiejszego punktu widzenia zmuszających do ich ponownienia. Takim czynnikiem jest choćby – by przy tym tylko pozostać – próba odpowiedzi na pytanie o to, czy i jaką rolę odgrywa w obecnych okolicznościach pamięć pozbawienia krajów tego regionu przez dwa stulecia politycznej podmiotowości: jaki ma wpływ na poczucie tożsamości społeczeństw tych państw i jak wpływa na relacje z partnerami, którym podobnych doświadczeń historia oszczędziła.

Jednocześnie, gdy myślę o perspektywie prac Instytutu, zastanawiam się nad kondycją intelektualną naszych przyszłych studentów. Nie chodzi o to, że są słabo wykształceni – szkoła do matury właściwie wciąż jeszcze wyłącznie naucza, dostarcza materii, której esencja zawarta jest w słynnych „podstawach programowych” poszczególnych przedmiotów, programy zaś polegają na ogół na opanowywaniu materiału „odtąd-dotąd”, na co zresztą wciąż brakuje czasu i zwłaszcza w przedmiotach humanistycznych na ogół do współczesności się nie dochiera. Niemniej szkoła lepiej lub gorzej uczy, ale w niemal żadnej mierze nie przygotowuje do studiowania. Rzecz wychodzi na

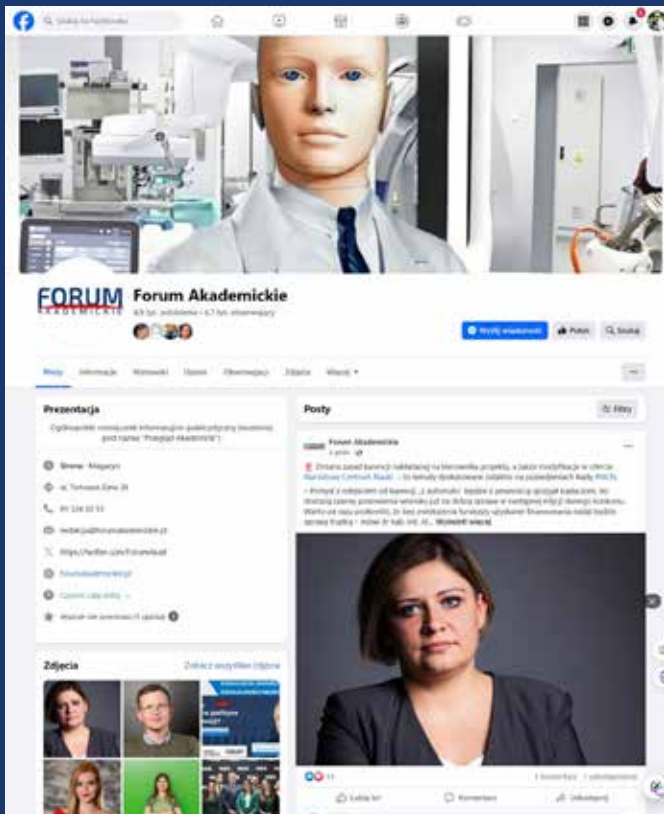
jaw w momencie, w którym studentki i studenci mają określić temat pracy licencjackiej (diabelski wynalazek) czy magisterskiej. W olbrzymiej większości są wobec takiego wyzwania bezradni i oczekują podsunęcia im jakiegoś interesującego tematu.

Nie mogę zapomnieć chwili, gdy przed laty, w trakcie takiej rozmowy studentka zadecydowała, że owszem, z chęcią napisze pracę magisterską o stosunkach polsko-niemieckich po II wojnie światowej. W dalszym przebiegu dyskusji zorientowałem się ze zdumieniem, że dziewczyna nie wie nic o istnieniu NRD. Tak po prostu – nie wiedziała. Gdy natomiast zaproponowałem, by napisała pracę (no przecież nie doktorat, a zatem bez konieczności dowodzenia wysokich kompetencji „w temacie”) nie tylko o stosunkach polsko-niemieckich, ale jednocześnie też o stosunkach niemiecko-polskich, przerażona wycofała się z tego projektu, obawiając się, że taka asymetryczność może okazać się nie do opanowania. A przytaczam tę anegdotę – podobnych zapewne koleżanki i koledzy mogą cytować bez liku – nie po to, by narzekać na „niski poziom” studentki, lecz po to, by podnieść nie tylko braki w wiedzy dotyczącej faktów (na tym można złapać prawie każdego, założę się, że połowa naszego środowiska nie zdawała sobie sprawy z faktu, że stała granica polsko-turecka istniała od 1678 do pierwszego rozbioru Polski, zresztą przez Turcję nieuznawanego), ale także po to, by zwrócić uwagę na to, że nasi studenci mają od biedy pojęcie o uczeniu się, ale już o samodzielnym studiowaniu niewiele wiedzą, stąd domaganie się podyktowania im tematów prac.

Nie lubię tych chwil, gdyż dowodzą, że większość przychodzi na uczelnię bez skonkretyzowanych planów, a nawet bez jakichś rozwiniętych zainteresowań, nie mówiąc już o pasji. Dyktowanie tematów to jakby przymuszanie ich do „odrobienia lekcji”, gdy w moim, może naiwnym pojmowaniu sprawy, właśnie pisanie owych prac winno sprawiać im przyjemność, być wyrazem ich autentycznych poznawczych aspiracji. I tak sobie myślę, że byłoby wspaniałą rzeczą, gdybyśmy potrafili tak głęboko zreformować cały system szkolnictwa – a była na to szansa w swoistej luce historycznej w okresie transformacji – by szkoła uczyła studiować, była wprowadzeniem na ścieżkę samodzielnego zdobywania i spożytkowywania wiedzy. Nie znaczy to, że zmniejszyłoby to obciążenia, zapewne nawet by je zwiększyło, ale też byłoby źródłem autentycznej satysfakcji nie tylko ze zdobycia dyplomu licencjackiego bądź magisterskiego, ale przede wszystkim ze sprostania wyzwaniu, które się rzuciło samemu czy samej sobie.

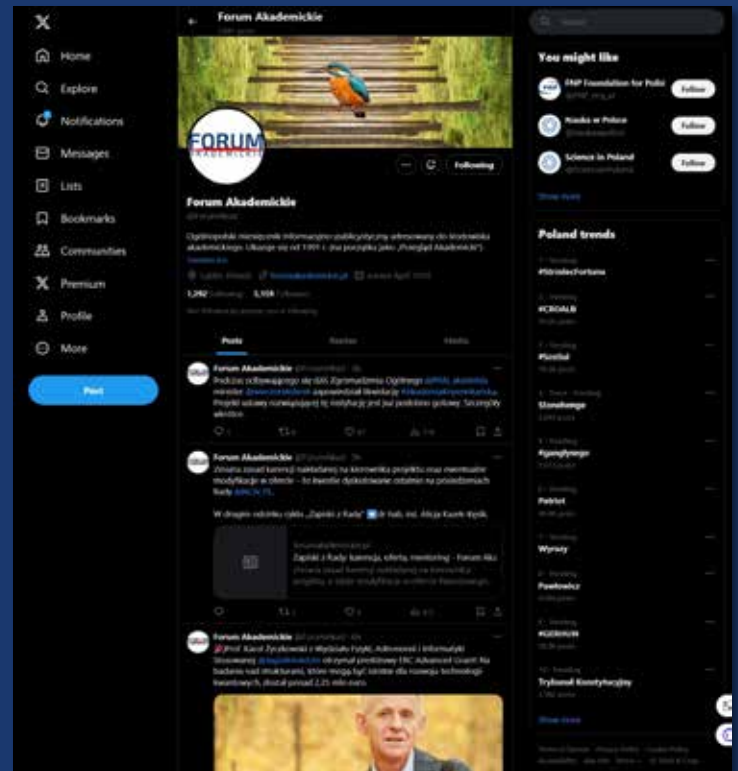


www.forumakademickie.pl



[f @ForumAkademickie](https://www.facebook.com/ForumAkademickie)

[X @ForumAkad](https://twitter.com/ForumAkad)





Fundacja na rzecz
Nauki Polskiej

Wręczenie stypendiów START Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej 8 czerwca 2024

Fot. Paweł Kula

